ATENEUM.

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XII

ROK III.

TOM IV — ZESZYT I.

Październik.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1878.

SPIS RZECZY.

ATENEUM,

nie zmieniając dotychczasowego programu, wychodzić będzie w roku 1879 w zeszytach miesięcznych, obejmujących najmniej 12 arkuszy druku a ukazujących się w pierwszych dniach każdego miesiąca.

Przedpłata wynosi!

w Warszawie, na prowincyi, w Cesarstwie i we wszystkich krajach związku pocztowego,

Rocznie	**Rs.**	**12.**
Półrocznie	„	**6.**
Kwartalnie (tylko w Warszawie)	„	**3.**

Przedpłatę wnosić można **głównie**

w REDAKCYI ATENEUM,

Niecała, Nr. 7,

oraz we wszystkich księgarniach Warszawskich i prowincyonalnych;

w St. Petersburgu — u B. M. Wolffa, Newski Prospekt w Gościnnym dworze;

w Paryżu — Librairie du Luxemburg, rue de Tournon, Nr. 16.

PP. Prenumeratorów z prowincyi uprasza się o nadsélanie przedpłaty *bezpośrednio*.

DO REDAKCYI.

Redakcya, trzymając się stale wytkniętej przez siebie drogi, starała się o podnoszenie ze wszystkich gałęzi umiejętności ważniejszych kwestyj, za dowód czego służyć może drugostronnie zamieszczony *spis rzeczy* zawartych w „Ateneum“ za rok 1878.

Wydawca, **W. Spasowicz**. Redaktor, **J. Trejdosiewicz**.

SPIS RZECZY

zawartych w ATENEUM za rok 1878.

V. PRAWO.

VI. NAUKI SPOŁECZNE I POLITYCZNE.

VII. BELLETRYSTYKA.

VIII. NAUKI PRZYRODNICZE.

IX. PEDAGOGIKA I TOWARZYSTWA NAUKOWE.

X. ŻYCIORYSY.

XI. ROZBIORY I KRYTYKI.

Korzon Tadeusz: Źródła dziejowe w wydaniu A d o l f a P a w i ń s k i e g o i A l e k s a n d r a J a b ł o n o w s k i e g o. Warszawa 1876 i 1877.

„ Rewizya zamków ziemi wołyńskiej w połowie XVI wieku. Wydał i szkicem historycznym poprzedził A l e k s a n d e r J a b ł o n o w s k i. 1877.—Tom V. Lustracye Królewszczyzn ziem ruskich Wołynia, Podola i Ukrainy z pierwszéj połowy XVII wieku. Wydał A l e k s a n d e r J a b ł o n o w s k i.

„ O starostwach w Polsce do końca XVIII wieku z dołączeniem wykazu ich miejscowości. Skreślił A l e k s a n d e r W e j n e r t. Warszawa, 1877.

Kryński Ad. Ant.: Brus jazyka českého, jejž sestavila komisse sirsim sborem Matice české zrizenà. Pomoci Matice české, V Praze, 1877.

Ł. St.: Źródła dziejowe. Tom II. Dzieje zjednoczenia Ormian polskich z kościołem rzymskim w XVII wieku, z dwóch rękopisów włoskiego i łacińskiego, w przekładzie polskim wydał A d o l f P a w i ń s k i. Warszawa, 1876.

„ Źródła dziejowe. Tom III. Stefan Batory pod Gdańskiem w r. 1576—7. Listy, uniwersały, instrukcye wydał i szkicem historycznym poprzedził A d o l f P a w i ń s k i. Tom IV. Początki panowania w Polsce Stefana Batorego r. 1575—1577. Listy, uniwersały, instrukcye wydał i rozprawką o synodzie Piotrkowskim z r. 1577 poprzedził A d o l f P a w i ń s k i. Warszawa, 1877.

Monografia Lublina. Napisał W ł a d. Z. Z i e l i ń s k i. Tom I. Dzieje miasta Lublina Lubl. 1878.

Od autora rozprawy p. t. „Kwestya domu zarobkowego w Warszawie tudzież zaradzenia ubóstwu w kraju.“ Słówko objaśnienia na recenzyą téj pracy, umieszczoną w zeszycie Ateneum za r. b.

O. A.: Kwestya domu zarobkowego w Warszawie tudzież zaradzenia ubóstwu w kraju przez J u s t y n a W o j e w ó d z k i e g o. Warszawa, 1877.

Papée Fryd. Dwie prace z dziedziny dyplomatycznéj: 1) R o m. M a u e r: Urzędnicy kancelaryjni Wł. Jagiełły, studyum dyplomatyczne. 2) Codex diplomaticus majoris Poloniae, wydany staraniem Towarzystwa Przyj. Nauk. Pozn. Poznań, 1877.

Revue Slave seule publication periodique en langue française, uniquement consacrée à la literature, aux sciences et aux beaux arts des pays slaves paraissant de 1 et le 15 de chaque mois.

Witkowski Feliks: Biblioteczka obrazkowa dla grzecznych dzieci.— 1) Baśnie i podania ludu polskiego, K. Wł. W ó j c i c k i e g o. Z ilustr. W ł a d. S z y m a n o w s k i e g o, Pan Twardowski. Warszawa, 1879 — 2) Powiastki i nauczki dla Stasia i Jadwisi przez Z o f. z R y m a n o w a. Warszawa, 1879. 3) Pamiętnik Laury Upominek babuni dla dorastających dziewczynek, naśladowany przez F e l. S z y m a n o w s k ą. Warszawa, 1877. 4) Ziemia i jéj mieszkańcy. T. I. Europa północno-wschodnia przez S t. S t r o y n o w s k i e g o. Warszawa, 1879.

„ **Teodor**. Kleinere Geschichtsquellen Polens im Mittelalter. Eine Nachlese von Dr. H. R. v o n Z e i s b e r g. Wien 1875.

XII. ROZMAITOŚCI.

A. R. Towarzystwo kredytowe ziemskie. Wnioski przez stowarzyszonych na wyborach do Dyrekcyi Głównej przedstawione.

Głowacki Aleksander. Kronika miesięczna.

Holewiński Wacław. Wystawa paryska.

Karłowicz Jan: Ruch Spółek zaliczkowo-wkładowych w guberniach północ.-zachodnich.

Łapicki Juljan: Kongres leśny w Warszawie.

Rejchman Bronisław i **Abakanowicz Bruno**: Kronika naukowa.

Sztuka na wystawie powszechnéj w Paryżu.

W kwestyi taryfy przewozowéj na kolejach żelaznych.

Дозвол. Ценз. Варшава, 20 Ноября 1878 г. Druk K. Kowalewskiego, Królewska, 23.

KWESTYA WSCHODNIA
W NOWEJ FAZIE

SKREŚLIŁ

T. T. Jeż.

Ucichł tedy w posiadłościach padyszachów szczęk oręża, który, z nieznaczącemi wyjątkami, świat cały utrzymywał w natężeniu wyczekiwania. Ucichł szczęk oręża, ustępując miejsca kongresowi; kongres zakończył prace swoje, sporządził dokument pokojowy, mimo to, natężenie wyczekiwania nie ustało: przeciwnie, przeszło w nową fazę i w takowéj wzmogło się. Jak długo trwała wojna, póty przejścia wojenne odwracały uwagę od właściwéj kwestyi wschodniéj. Zapominano o téj ostatniéj, dla Plewny, dla Karsu, dla Szypki, dla marszów i kontramarszów armij na europejskiéj i azyatyckiéj szachownicy bojowéj, dla strategicznych kombinacyj i taktycznych rozstrzygnień, jakie kolejno następowały po sobie na obu teatrach, na których zapaśnicy za bary się wodzili. Gdy to jednak usunęło się z uwagi publicznéj, stało się tak, jakby opadło rusztowanie, zasłaniające przed oczami widzów wznoszoną pracowicie przez znanych architektów budowlę o przeznaczeniu zagadkowém. Rusztowanie opadło; tłumy się zbiegły: Co?.... jak?... do czego to służy?.... a czy długo będzie trwało?....

Odpowiedzi na te pytania napróżno poszukiwalibyśmy w dziennikarstwie, w którém, po ogłoszeniu rezultatu obrad kongresowych, dziwna zapanowała rozterka. Nie zadziwia rozmaitość zdań i poglądów. *Quod capita tot sensus.* Zadziwia to, że nie masz w prasie europejskiéj dziennika, któryby w sądzie o wypadkach, jakie spro-

wadziła sprawa wschodnia, zdobył się na potrzebną zimną krew. Nie mówimy o zainteresowaném osobiście dziennikarstwie angielskiém i rosyjskiém, ani o znajdującém się w takiémże położeniu austro-węgierskiém, ani nawet o poczuwającém się do odpowiedzialności moralnéj niemieckiém, ale.... francuskie, ale.... włoskie.... Kiedy panowie Waddington i Corti do Berlina się wybierali, towarzyszyło im zastrzeżenie opinii publicznéj Francyi i Włoch, ażeby nie ważyli się brać na siebie roli innéj, jak tylko rolę sekundantów w pojedynku dyplomatycznym, zapowiadającym się z góry pod postacią boju samoczwart w przyłbicach zapuszczonych. Do boju stawały, a raczéj zasiadały: Rosya, Anglia, Austrya i Turcya. Niemcy w rozjemczym występowały charakterze. Francya i Włochy znajdowały się tam li w celu przestrzegania, ażeby pojedynek odbył się wedle prawideł sztuki zapaśniczéj i nie wyrządził krzywdy jakiéj Europie: miały więc w zanadrzu *veto* i więcéj nic, niczego się nie domagały, do niczego pretensyi nie rościły. Mimo to dzienniki francuskie i włoskie z wielkiém rozdrażnieniem przyjęły wyrok kongresu. Nawet poważny *Journal des Debats* wyskoczył z zawiasów i dał uczuć czytelnikom gorączkę, któréj go nabawiły wieści z Berlina. Więc, powtarzamy, napróżno w dziennikarstwie europejskiém poszukiwalibyśmy wyjaśnienia sytuacyi, wytworzonéj przez wojnę wschodnią. Wyjaśnić ją musimy sobie sami, stojąc na punkcie objektywnym, i rozpatrując sprawę wschodnią w jéj nowéj fazie.

Zanim atoli do rozpatrywania przystąpimy, nie od rzeczy będzie słów kilka jeszcze wstępnemu poświęcić omówieniu, zaznaczając po raz nie wiemy już który, że sprawa wschodnia ważną jest nie dla żadnych względów polityki sentymentalnéj, ale dla ukrywających się w niéj bardzo realnych i bardzo pozytywnych korzyści. Konstantynopol, Bosfor, morze Marmora, Dardanele: wszystko to razem wzięte stanowi środkowy punkt polityczno-handlowo-strategicznéj ciężkości starego świata. O punkt ten dobijały się państwa od wieków, osłaniając dobijanie się rozmaitemi pozorami, pomiędzy któremi przedostatnim była religia, wysunięta naprzód od czasu zawojowania półwyspu Bałkańskiego przez Turków. Gdyby religia nie służyła za pretekst tylko, to wyrzucenie Turków z Europy od dawna byłoby faktem dokonanym. Potęga turecka czerpała siły swoje w tém mianowicie, że porozumieniu się państw chrześciańskich przeszkadzało jabłko niezgody, przedstawiające się pod postacią widoków na posiadanie ciaśnin, oddzielających Europę od Azyi. „Dla niezgody słońc, królem został miesiąc“. Antagonizm międzypaństwowy, dzięki któremu marniały wysiłki pojedyncze, był najlepszym sprzymierzeńcem Ottomanów. Potęga ich, jeżeli w końcu

osłabła, to sama przez się, przez to, że opierając się głównie na chwiejnéj podstawie, na ostrzu miecza, uledz musiała w końcu rozkładowi, który w łonie swojém hodowała. Rozkład ten byłby ją obalił rychléj, gdyby nie ów antagonizm, który Turcyą ratował, ile razy znalazła się nad brzegiem przepaści. Zawsze w razie takim na pomoc jéj przychodził aliant jakiś, spiesząc z ratunkiem, nie dla niéj, ale dla powstrzymania spółzawodnika na drodze powodzenia. Przymierza nawet przeciwko niéj antagonizm neutralizował, pozwalając jéj wychodzić cało, często zaś ze względnym tryumfem z wojen, w których oręż jéj niepowodzenia doznawał. Pamiętném jest w historyi zwycięstwo pod Lepantem, po którém dla sprzymierzonych otworem stanęła droga do Konstantynopola; nie poszli jednak, poróżnili się; zwycięstwo świetne zachwiało wprawdzie potęgę ottomańską, nie pozbawiło atoli Turcyi panowania na morzu Śródziemném i byłoby bez smutnych pozostało następstw, gdyby sama ona nie starała się usilnie o upadek własny. I aż do czasów ostatnich powtarzała się jedna i taż sama historya, objaśniająca się troskliwością o równowagę polityczną, która byłaby w rzeczy saméj grubo nadwerężoną, gdyby jedno z mocarstw, czy to na własną rękę, czyli téż przy podziale łupów, pochwyciło lwią część. Celem zapobieżenia temu zawiązywały koalicye na korzyść Turcyi: w r. 1840, Rosya, Austrya, Anglia i Prusy, w 1854 Francya, Anglia i Piemont. W roku bieżącym, 1878, akcya dyplomatyczna, o któréj późniéj pomówimy, Turcyą już powaloną dźwignęła i na nogi postawiła.

W rozważaniu kolei, przez jakie sprawa wschodnia przechodziła, jeżeli o sprawie téj jasne urobić sobie chcemy pojęcie, rozróżniać należy pozory od przyczyn, hasło od istoty rzeczy, środki od celów. Celów innych nie było nigdy, tylko państwowe, odporne lub zaczepne, stosownie do tego, kto i śród jakich okoliczności przedsiębrał akcyą, brzemienną kwestyą wschodnią. Państwa słabsze, przez Turcyą napadane, broniły się; państwa mocniejsze miały na widoku spadkobierstwo byzantyńskie w perspektywie bliższéj lub dalszéj. „*Pour ce qui est de la prise de Constantinople*—pisała Katarzyna II-a do Woltera, śród wojny rozpoczętéj 1769—*je ne la crois pas si prochaine, cependant il ne faut, dit-on, désespérer de rien.*" Co do hasła, w miarę jak się zużywałojedno, miejsce onego zastępowało drugie, odpowiedniejsze wymogom chwili. W ten sposób na sztandarach pojawiały się kolejno: religia, sprawiedliwość, cywilizacya, narodowość, które nastręczały się same. przynosił je duch czasu, służyły atoli tylko jako hasla bojowe, posiadające moc i urok w oczach téj części poddanych Wysokiéj Porty, co niechętnie jarzmo jéj dźwigała. Dzięki tym to hasłom, cesarsko-niemieckie ar-

mie naprzykład, ile razy granice posiadłości padyszachów przekraczały, zawsze miały na rozporządzenie swoje ludność miejscową wyznania chrześciańskiego, dostarczającą przewodników pewnych, eklererów gorliwych i waleczne oddziały ochotnicze, wspierające działania wojskowe wojną partyzancką. Na téj drodze urabiało się powoli to, co bynajmniéj nie wchodziło do kwestyi wschodniéj, branéj z tego punktu, z jakiego się na nią gabinety zapatrywały. W zamiarach cesarstwa Niemieckiego nie postała nigdy intencya wyzwalania Serbii. Wyzwolenie Serbii nastąpiło wbrew zamiarom państwowym gabinetu cesarskiego, dzięki hasłom, które lubo dla państwa niemieckiego były tylko sposobem, fortelem bojowym, w stosunku atoli do ludności miejscowéj stały się ziarnem rodzajném, padającém na grunt odpowiedni. Nieprzewidziany ten wypadek skomplikował znacznie sprawę, od czasu zwłaszcza jak w rozwiązywaniu onéj wziął udział nowy, potężny spółzawodnik, cesarstwo Rosyjskie. Na drodze do Konstantynopola stanęła niby nowa przeszkoda, niby nowy etap, przeszkoda do obejścia, czyli téż do usunięcia, etap do zatrzymania się w pochodzie. Nowy ten żywioł pojawia się dopiéro w naszém stuleciu. Pierwéj o nim słychać wcale nie było. Urzędowne uznanie uzyskuje on nie rychléj, jak w r. 1812 i to uznanie połowiczne, wyrażone w jednym z artykułów traktatu Bukareskiego, zastrzegającym dla Serbów pewne ulgi, odnoszące się do administracyi wewnętrznéj. Odtąd występuje coraz to wyraźniéj, posługując gabinetowi petersburskiemu, jako słabizna turecka, w którą téż on ustawicznie uderza. Odtąd téż żywioł ten wchodzi do obrachowań politycznych, jako istotna kwestyi wschodniéj część, wchodzi atoli nie inaczéj, tylko, w znaczeniu materyału surowego, dającego się naginać tak lub inaczéj, stosownie do widoków w danéj chwili gabinetu tego lub gabinetu owego.

Czy to słuszne? Zapewne, w obec moralności bezwzględnéj, tak by być nie powinno. Tak jednak jest. Stosunki międzynarodowe, układane i określane przez dyplomacyą, bite są nie od dziś falami krytyki, mimo to opierają się jeszcze na téj podstawie, jaką dla nich urobił i nam po sobie w spadku przekazał świat starożytny. A jest to podstawa państwowa. *Salus imperii prima lex esto.* W obec niéj narody są niczém inném, jeno pionami na szachownicy politycznéj. Interesa i potrzeby narodowe podporządkowują się interesom i potrzebom państwowym, służąc tym ostatnim za rodzaj podszycia, dobrego tak długo, póki się zużytkować daje. Czy traktat jaki innéj trzymał się reguły? Kongres Westfalski zakreślał granice, wkładał zobowiązania, a nadawał prawa i przywileje, bez względu na co innego, tylko na dwory. Kongres Wiedeński w téż poszedł tro-

py. Po kongresie Berlińskim spodziewano się czegoś, coby bodaj na pozór wyglądało inaczéj; i ten atoli poszedł drogą utorowaną, zawodząc nadzieje tych, co się spodziewali.

Sprawa przeto wschodnia ma dwie strony: stronę państwową i stronę narodową. Odnośnie do stron tych dwa są punkta widzenia, z których ją rozpatrywać należy: punkt dyplomatyczny i punkt polityczny.

Dawniejszemi czasy, kiedy cesarstwo Niemieckie stanowiło środek ciężkości politycznéj Europy, dwór austryacki najbardziéj bezpośrednio interesowanym był w kwestyi wschodniéj. Około dworu tego grupowały się czynności i ruchy dyplomatyczne, nastawiając się raz przyjaźnie, znów nieprzyjaźnie, w stosunku do stałéj onego w tym kierunku dążności. Osią, około któréj grupowanie się odbywało, było spółzawodnictwo pomiędzy dworami austryackim a francuskim, rywalizacya, która, wszczęta przy schyłku wieku XV, zajmuje sobą cały okres dziejów aż do wieku XIX. Ona to sprowadza pierwsze zbliżenie się Francyi do Turcyi, najpierwszy przyjazny z dyplomatycznym charakterem stosunek pomiędzy mocarstwem Ottomańskiém a jedném z najprawowierniejszych państw rzeszy chrześciańskiéj. Mocarstwo Ottomańskie zyskuje, po za plecami najniebezpieczniejszego przeciwnika swego, sprzymierzeńca poważnego, pozostającego w zatargach ustawicznych z Niemcami, z Hiszpanią, mianowicie zaś z Anglią, któréj interesowanie się późniejsze losami Turcyi przeczuwać się wcale nie dawało, pozostającego w stosunkach, zapewniających wpływy dyplomatyczne, ze Szwecyą, wglądającą w sprawy niemieckie, i z Polską, która dyplomatką nie była nigdy a zajmowała jak względem Turcyi, tak również względem Niemiec ważną pozycyą flankową, wyzyskiwaną przez innych, nie przez nią. Nastawienie się to w ochronńczy na Turcyą oddziaływało sposób; sprowadzało ono na nią gromy niekiedy, jak np. pogrom tureckiéj armii pod Wiedniem, dokonany przez Sobieskiego, pioruny wszakże, co by ją powalić mogły, zatrzymywało w chmurze. Ramieniem zatrzymującém było ramię francuskie.

Ten stan rzeczy zmienił się z upływem czasu. Nastąpiło to w skutek dwóch wielkiéj doniosłości faktów: opanowania Indyj Wschodnich przez Anglią i wzmożenia się potęgi państwowéj rosyjskiéj, wzmożenia się zarówno w Europie, gdzie ona, przez Polski zajęcie odnośnie do Turcyi, tę flankową pozycyą zajęła, jaką Polska zajmowała, jako téż w Azyi, gdzie posuwanie podbojów ku źródłom Amu-Daryi zbliża ją ku posiadłościom angielskim, a posiadanie Syberyi z krajem Nadamurskim zagraża przyszłości handlu angielskie-

go. Nowa ta postać rzeczy zarysowała się nie odrazu. W epoce wojen wielkich napoleońskich, Anglia uważała jeszcze Francyą za spółzawodniczkę swoję w Indyach i nie widziała wcale zalewu, płynącego powoli przez Kaukaz i morze Kaspijskie. Stepy kirgizkie i turkomańskie wydawały się jéj snadź nie do przebycia, a to z téj przyczyny, że zmysł jéj patrzenia politycznego zaćmiewały zamiary i pogróżki francuskie. Wyprawa do Egiptu zatrwożyła ją wielce i na czas długi stała się wytyczną w jéj działalności politycznéj na Wschodzie. Lata upływały na wyrabianiu się w umyśle mężów stanu Wielkiéj Brytanii nowego poglądu, który, w ostatnich już czasach, po wojnie wschodniéj (1853—56) nie był jeszcze sformowanym ostatecznie, kiedy gabinet angielski dał się zaniepokoić popieranemu przez rząd francuski projektowi przekopania międzymorza Suez. Trzeba było żeby projekt stał się rzeczywistością, ażeby się Anglia uspokoiła i, trzeźwém okiem rozpatrzywszy się w dążeniach istotnéj spółzawodniczki swojéj, oceniła położenie należycie.

Jakże się położenie to z punktu widzenia angielskiego przedstawia?

Przedstawia się ono wcale groźnie. Rosya olbrzymiem, obejmującém połowę Azyi i połowę Europy ciałem, cięży z północy na południe. Ciążeniu temu, które jest naturalném, brak w kierunku tym wylotów, będących dla kompleksu państwowego tém, czém dla organizmu wszelakiego są otwory do oddéchania. Cóż bo ma za wyloty? Morze Czarne—tam drogę zastępuje Turcya; morze Kaspijskie, to powinnoby chyba sięgać do zatoki Perskiéj; ujścia Amuru—tego, jako zbyt oddalonego, a znajdującego się w stronie bocznéj, w rachunek brać nie można. Wylot jedyny, praktyczny, sam się niejako nastręczający, leży u ujścia morza Czarnego, jako przedłużenie a zarazem uzupełnienie onego, otwiérające wyjście na Archipelag i na morze Śródziemne. Posiadać ciaśniny łączące morze Czarne z Archipelagiem, a nie posiadać Konstantynopola, jest fizyczném niepodobieństwem, jedno zaś i drugie stanowi konieczność, bez zadośćuczynienia któréj państwowy kompleks rosyjski obejść się nie może. Domagają się tego względy handlowe, ekonomiczne, szczególnie zaś polityczne, których istota polega na ustawicznem spółzawodnictwie, na spółubieganiu się z innemi państwami o supremacyą, opartą na podstawach pewnych, rozporządzającą punktami ogniskowemi, zapewniającemi przewagę w razach starcia. Taką właśnie podstawą, takim punktem, w stosunku do Rosyi, jest Konstantynopol. Kto posiada Konstantynopol, ten panuje nad Małą Azyą. Panowanie nad Małą Azyą, opierające się o rezerwę, liczącą 90 milionów głów, a zajmującą ze względów geograficznych, pozycyą, która tak w Europie jak w Azyi

nie wiele przedstawia punktów dostępnych dla nieprzyjaciela zewnętrznego, jest—czém? W warunkach takich Mała Azya staje się, w stosunku do Europy i w stosunku do Azyi czémś, na wzór i na podobieństwo utwierdzeń cytadelami zwanych, a obok miast wielkich wznoszonych, za pomocą których władza zapewnia sobie posłuch i spokój ludności. W warunkach takich Rosya uzyskałaby stanowczą w starym świecie przewagę, zostałaby nowoczesnym Rzymem i w najbliższém następstwie dosięgłaby wpływami swojemi do Indyj angielskich, rychléj i pewniéj, aniżeli to uczynić zamierzała Francya. Anglii przeto zagraża niebezpieczeństwo wielkie, dotykające zbliska interesów, które ona za najżywotniejsze uważa.

To tłómaczy nam powód, dla którego gabinet angielski tak żywo zajmuje się kwestyą wschodnią.

Jest bowiem ona dla niego kwestyą życia niemal, lub śmierci.

Zapewne—Anglia, w przypuszczeniu nawet, iżby Indye postradała, nie utraciłaby przez to jeszcze stanowiska mocarstwowego. Postradała przecię Amerykę Północną. Ażeby jednak na ujmę tego rodzaju zgodzić się mogła dobrowolnie a z góry, posiadać by musiała w duszy swojéj tyle skromności narodowéj, tyle rezygnacyi państwowéj i tyle filozofii politycznéj, że byłaby w dziejach pierwszym przykładem mocarstwa skromnego, zrezygnowanego i filozoficznego. Że o tém ani myśli, dowodem na to służy przyjęcie przez królowę angielską tytułu cesarzowéj Indyj. Tytuł ten nie dla dogodzenia uczuciu próżności przybranym został. Monarchia angielska stała się przez to monarchią angielsko-indyjską, zlała się w znaczeniu państwowém w całość olbrzymią i na sztandarze całość tę osłaniającym napisała, dla wiadomości wszech w obec i każdego z osobna, wyrazy: *noli me tangere*. Interesa nakazują jéj bronić Indyj do upadłego, bronić nie wówczas, gdy stanie *Hannibal ante portas*, lecz zawczasu, z góry, na prowadzących do nich drogach. W tym to, nie w innym celu, w przewidywaniu potrzeby militarnego zbliżenia zasobów angielsko-indyjskich, gabinet angielski sprawił był Europie niespodziankę, występując nagle jako najpoważniejszy akcyonaryusz przekopu sueskiego. Pamiętném jest wzburzenie, jaką ta niespodzianka sprawiła w kołach politycznych, gdy się ujawniło, że droga na kanał sueski otworem stanęła dla sił zbrojnych, jakiemi Anglia w Indyach rozporządza. Był to manewr bardzo zręczny; był to krok, świadczący, że mężowie stanu Wielkiéj Brytanii do praktyki stosować umieją definicyą: *la politique c'est la prévoyance*. Wzburzenie uspokoiło się niebawem, a do uspokojenia przyczyniło się, błędne jak się pokazało późniéj, przeświadczenie o niewielkiéj doniosłości zaso-

bów wojennych, jakie by się z nad wybrzeży Indu i Gangesu, Nerbuddy i Godavery wyciągnąć dały. Przeświadczenie to, rzecz uwagi godna, rząd angielski sam szerzył i sam pierwszy onemu potakiwał, podając się, w stosunku do kanału sueskiego, za prostego, za zwyczajnego, za nieróżniącego się niczém od pierwszego lepszego kapitalisty, akcyonaryusza i wypierając się stanowiska strategicznego, jakie za gotówkę nabył.

W nabyciu i zabezpieczeniu sobie stanowiska tego szukać należy powodów nieprzyjaznego na pozór względem Turcyi zachowywania się Anglii w czasach ostatnich. Aż do chwili ogłoszenia traktatu sanstefańskiego, zwłaszcza gdy się po za kulisy nie zaglądało, wydawać się mogło, że Anglia Turcyą własnemu pozostawia losowi. Zastrzeżenie, co do interesów angielskich, uczynione na początku wojny przez gabinet St. James gabinetowi petersburskiemu, o ile było nie jasne, o tyle nie stanowcze i wcale nie zapowiadało zejścia z téj drogi dyplomatycznéj, na któréj... „wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.“ Zachowywanie się to inaczéj trochę wyglądało za kulisami. Anglia sprzyjała Turcyi, sprzyjała jéj szczerze i na konferencyi w Konstantynopolu pełnomocnik jéj, markiz Salisbury, innego nie miał celu, tylko, za pomocą nacisku europejskiego, przyprowadzić Wysoką Portę do upamiętania się na drodze do ruiny, jaką ona wytrwale podążała. Cel ten osiągniętym być nie mógł. Upór, zaślepienie może tureckich mężów stanu, liczących na to że państwo ottomańskie w ostateczności nie znajdzie się w osamotnieniu, uczyniły wojnę nieuchronną. Wojna wybuchła. W obec faktu tego Anglia urzędownie przybrała postawę napół obojętnego widza; na drodze zaś nieoficyalnéj i półurzędowéj agitowała w Wiedniu, w Peszcie, w Kairze, w Teheranie, wszędzie gdzie jeno rozbudzić się spodziewała bądź antagonizm, bądź téż nieprzyjaźń w stosunku do Rosyi, w celu wykrzesania z takowych dywersyj na korzyść Turcyi. Nie szło to. Nie zaniedbywała téż przytém i akcyi dyplomatycznéj. Kołatała i do gabinetów. Cóż jednak! W gabinetach znajdowała grunt, albo już przez Rosyą zajęty, albo jałowy. W Berlinie powodowano się, jeżeli nie sprzyjaniem Rosyi, odnoszącém się do tak zwanego „trójcesarskiego przymierza,“ będącego dziś jeszcze zagadką dyplomatycznego sfinksa, to zupełną, nieco nawet obrażającą obojętnością dla kłopotów angielskich; w Wiedniu od początku zagięto parol na Bośnią z Hercegowiną, która dla Austryi, posiadającéj wąziutki, śmieszny a kosztowny pasek wybrzeży dalmackich, stanowi od czasu kongresu wiedeńskiego przedmiot najgorętszych jéj pragnień i westchnień i wyczekiwano—wyczekiwano na obrót, jaki wojna wezmie, właściwie, zaś na moment ów, w którym

będzie można tak lub inaczéj pragnienie austryackie wyrazić i jak najtańszym kosztem zaspokoić. W Paryżu ogłoszono neutralność i trzymano się onéj oburącz, ulegając we względzie tym potrzebie oglądania się na potężnego sąsiada, nieżyczącego sobie wcale tego, ażeby Francya dawniejszy w polityce odzyskała głos. W Rzymie neutralność przedstawiała się jako naturalny wynik położenia młodego królestwa, odegrywającego jeszcze rolę dodatkową w politycznych kombinacyach. Nigdzie przeto nie była w możności Anglia wykołatać akcyi przeciwko Rosyi, ani nawet w takich państewkach jak Serbia i Rumunia, których, ani wprost, ani ubocznie, powstrzymać nie zdołała od wzięcia w wojnie udziału czynnego po stronie rosyjskiéj.

Nastręcza się tu pytanie: czemuż, w obec takich dyplomatycznych trudności, Anglia nie wystąpiła w obronie Turcyi w czasie toczącéj się wojny? czemuż, gdy pupilka jéj walczyła, dobywając sił ostatki, nie rozwinęła potęgi swojéj i nie wymówiła owego „stój!“ które tak dumnie w ustach lorda Beaconsfielda po powrocie z Berlina zabrzmiało?

W obec zapytania tego, wejść musimy na chwilę na pole domysłów. Nie wierząc w nieomylność angielskich mężów stanu, przypuszczamy przedewszystkiém, że się omylili oni w rachubie na siłę odporną, z jaką Turcya do wojny stanąć mogła. Omylili się we względzie tym, przez pół jednak tylko, w rzeczy saméj bowiem Turcyi zbrakło nie na siłach, lecz na umiejętności zużytkowania takowych. O cóż bo jéj chodziło?—o obronę, to znaczy, o znużenie przeciwnika uporem odporu tak, ażeby go narazić na straty i ofiary, czyniące dalsze prowadzenie wojny coraz to trudniejszém. Dla dopięcia celu tego posiadała poddostatkiem i wojska i oręża i prowiantu, panowała wyłącznie na morzu Czarném, miała przytém w rozporządzeniu swojém, w Europie dwie linie obronne, w warownie zaopatrzone, w Azyi pozycye, dzięki którym długo można zatrzymywać przeciwnika w pochodzie do Erzerumu. W warunkach takich kwalifikowała się do obrony dostatecznie i Anglia liczyć mogła na to, że Turcya, w bycie swoim zagrożona, tyle z własnego łona wydobędzie energii, iż się obejdzie bez czynnéj pomocy angielskiéj. Jakoż, w początkach wojny, pomimo niedołężnéj obrony Dunaju i pomimo utraty Bajazytu i Ardahanu, zanosiło się na to. Turcy niby z letargu rozbudzeni, postawili czoło na obu teatrach. W Europie ukazała się Plewna, jakby z pod ziemi wyrosła. W Azyi armie rosyjskie odstąpiły od oblężenia Karsu. Któż mógł przypuszczać, że są to błyski dogory-

wającéj lampy? Któż mógł spodziewać się takiego w wykonywaniu operacyj wojennych niedołęstwa i takiego w pełnieniu rozkazów naczelnych nieposłuszeństwa, jakie okazali wodzowie wojsk tureckich? Anglia—zapewne—ani przypuszczała, ani spodziewała się czegoś podobnego, a liczyła na to, że znużony trudną wojną gabinet petersburski przystępnym się w końcu stanie, bądź dla wysłańca tureckiego, bądź też dla pośrednika dyplomatycznego, kołaczącego do podwoi jego z propozycyami pokojowemi w zanadrzu. Mogło to nastąpić przed przekroczeniem przez wojska rosyjskie Bałkanów i przed zdobyciem Erzerumu, tak że drażliwe dla Anglii punkta, Erzerum, otwierający wstęp w dolinę Eufratu i Konstantynopol, klucz cieśnin, pozostawałyby po za doniosłością ramienia zwycięzcy. Nie nastąpiło to jednak. Upadek Karsu tam, upadek Plewny tu, stały się dla Turków hasłem rozprzężenia ogólnego. Dwa te ciosy złamały siłę oporu. Wojska tureckie nie ustępowały już, lecz uciekały—uciekały w Azyi, uciekały w Europie—pierwszą pozostawiały bez możliwéj obrony, w drugiéj odsłoniły stolicę państwa. Następstwem obrotu, jaki ostatecznie wojna wzięła, było ułożenie punktów pokoju w San Stefano i wpłynięcie floty angielskiéj na morze Marmora.

Rozpatrzymy dwa te fakta, każdy oddzielnie.

Wyznać należy, iż akcya gabinetu petersburskiego w sprawie wschodniéj prowadzoną była jaknajbardziéj poprawnie w znaczeniu dyplomatyczném. Poprawność akcyi tego rodzaju zależy przedewszystkiém od umiejętności trafnego wyzyskania czasu i okoliczności. Nieboszczyk Cesarz Mikołaj rozpoczął był wojnę wschodnią wbrew téj regule i naraził też państwo na dotkliwe a bezowocne straty. Dzieło jego pozostawało do poprawienia i uzupełnienia. Do rozwiązania zadania tego przystąpiono w chwili jak najsposobniejszéj, korzystając z zaburzeń, jakie, wynikłszy pierwotnie w Hercegowinie, rozlały się na kształt pożogi na półwyspie Bałkańskim i wywołały wojnę czarnogórską, wojnę serbską, powstanie w Bośni, wybuchy powstańcze w Rumelii i krwawe dzikiém okrucieństwem nacechowane odwety, za pomocą których Turcy powstania poskramiali. Te ostatnie, w jaskrawém wykazywane świetle, oburzały do głębi opinią publiczną Europy, marzącéj o korzyściach i słodyczach pokoju wiecznego. W Anglii mianowicie, poczuwającéj się niejako do odpowiedzialności za niegodną konduitę państwa Ottomańskiego, oburzenie znajdowało wyraz swój najgłośniejszy. Zbierały się mityngi liczne i na takowych głos zabiérali mówcy popularni, śród których występował, stając po stronie uciśnionych i prześladowanych, przewódca opozycyi liberalnéj, po kilkakroć minister, mąż stanu w służbie publicznéj i w sporach parlamentarnych osiwiały, W. E. Glad-

stone. Dzięki głównie jemu opinia publiczna angielska przybrała wyraziście nastrój antyturecki, oddziaływając u siebie na rząd, ster którego spoczywał w rękach torysów, i na opinią na kontynencie. Potępiano Turków powszechnie, bez względu nawet na obrzynanie nosów i uszów, którego się dopuszczali Czarnogórcy; potępiano Turków szczególnie—i słusznie jako takich, od których wychodziły pierwotne, źródłowe okrucieństw przyczyny. Że w występowaniu Gladstona przebijał się whig, korzystający ze sposobności uwiązania grzechotki gabinetowi torysowskiemu, to nie było tajemnicą dla nikogo. Rząd wszelako potakiwać się zdawał opinii publicznéj, szedł jéj w ład i dla dogodzenia jéj wyprawił do Konstantynopola markiza Salisbury, opatrzywszy go w instrukcye, polecające mu działać zgodnie z przedstawicielami mocarstw w duchu rozciągnięcia nad Turcyą kontroli europejskiéj. Zachowywanie się w całym przeciągu czasu od wybuchu powstania w Hercegowinie do konferencyi konstantynopolskiéj rządu rosyjskiego, cechowało to, co byśmy nazwali europeizmem. I w Rosyi zamanifestowała się opinia publiczna. Odprawiano modły, zbierano składki i wyprawiano ochotników do Serbii, Temu ostatniemu jeno znalazłoby się nieco do zarzucenia, ale nie z punktu widzenia europejskiego. Anglia, naprzykład, gdyby się w niéj uorganizował był pochód ochotniczy, nie miałaby prawa przeszkadzać takowemu. Postawa przeto Rosyi była, w znaczeniu dyplomatycznem, ściśle poprawną: wypadkom na półwyspie pozostawiała rozwijanie się swobodne, popychane może za kulisami, ale w sposób wcale nieoficialny, Serbom walczącym udzielała rad pokojowych, nie przeszkadzała im zgoła zawrzeć z Turcyą traktatu pokojowego i stawiła się na konferencyi w tym samym charakterze i z tego samego tytułu, co każde z mocarstw, podpisanych na traktacie paryskim. Konferencya celu nie dopięła. Gabinet petersburski i w tym jeszcze razie utrzymał się w granicach poprawności dyplomatycznéj. Wydał Turcyi wojnę, wydał ją atoli nie wprost od siebie i nie na rachunek własny, ale w charakterze egzekutora odrzuconych przez dywan postanowień konferencyi, podpisanych przez Francyą, przez Włochy, przez Niemcy, przez Austryą i przez Anglią. Charakter egzekutorstwa był dla Rosyi rodzajem konduktora w obec wszelkich możliwych piorunów, jakie by na nią z dyplomatycznego nieba spaść mogły i pozwoliły jéj doprowadzić dzieło jeżeli nie do końca, to do punktu, z którego by do końca nie daleko już było. Pojął to gabinet londyński i nie przyznał spółzawodniczce swojéj charakteru egzekutorskiego. Za przykładem Londynu poszły gabinety inne. To atoli nie przeszkadzało gabinetowi petersburskiemu przyznawać się do charaktę-

ru, który, acz zaprzeczany, posiadał wszakże racyą bytu mogącą być wysyllogizowaną i w żadnym razie szkody przynieść nie mógł.

Dotąd wszystko dobrze; odtąd wszakże pojawiać się poczynają skazy niejakie na działalności gabinetowéj, skazy które powodzenia orężnego nie dopuściły do harmonii, z powodzeniem dyplomatyczném. Drugie nie dopisało pierwszemu, a dla czego — p ostaramy się to w krótkości wykazać.

Akcya dyplomatyczna, w pierwszym, to jest w przedkonferencyjnym peryodzie, rozwijała się na polu humanitarném. Mniejsza o to, jak tam humanitaryzm ów pojmował dwór ten, albo gabinet ten, dosyć że on stanowił grunt spólny, na którym gabinety się porozumiewały, który opinia publiczna uznawała i który obejmował wszystkie bez wyjątku narody, plemiona i wyznania, mające z W. Portą rachunki. Europa nie rozróżniała Greków i Słowian, ani téż śród tych ostatnich Bólgarów, Serbów, Bośniaków. Dla niéj istniały, na pierwszym niejako planie, ludności chrześcijańskie bezpośrednio W. Porcie podległe, na drugim—państewka lenne, roszczące do państwa zwierzchniczego mniéj lub więcéj uzasadnione pretensye, na trzecim—Grecya, królestwo niepodległe, przejęte państwowémi pragnieniami. Gabinet petersburski, za pierwszém w wojennym szyku wystąpieniem, wysunął naprzód odróżnienie, działając w sprawie specyalnie słowiańskiéj, a przeważnie bólgarskiéj, raczéj zaś, bólgarsko-czarnogórskiéj. Jakkolwiek Bólgarowie, po macoszynemu przez losy traktowani, na szczególne zasługiwać mogli względy, wyróżnienie to zafrapowało gabinety i osłabiło doniosłość owego, jaki gabinet petersburski brał na siebie, charakteru egzekucyjnego, o którym mówiliśmy powyżéj. Podejrzliwość angielska w tém uspecyalizowaniu sprawy dopatrzyła specyalne zamiary i widoki. Anglicy, znając wschód doskonale, wiedzą jaki z którego plemienia użytek zrobić można, wnet przeto posądzili Rosyą o zamiar uzyskania powolnego narzędzia w potulnych Bólgarach, zajmujących północne i południowe stoki Bałkanów i dopierających aż do bram Konstantynopola.

Faworyzowanie Bólgarów stanowi pierwszą skazę. Drugą jest traktat San Stefański, który pierwszą pogłębił i uwyraźnił, czyniąc w ten sposób z dwóch jedną, wielką. Zamiar, co do którego istniało już posądzenie, wystąpił, w oczach tych co posądzali, na jaw prawie, gdy okiem rzucono na południowe granice, jakie traktat dla Bólgaryi nakreślił, wyznaczając oraz dla Rosyi, w zamian za koszta wojenne, indemnizacyą terytoryalną, zagrażającą dolinie Eufratu. Turcya w ten sposób istnieć *de facto* przestawała, jako państwo niezależne.

W Azyi pozostawały jéj obszary zaszachowane, w Europie same sporne okrawki, oskrzydlone ze stron wszystkich przez nieprzyjaciół. Pozostawał jéj jednak Konstantynopol z obwodem. Pozostałość ta atoli obejść by się nie mogła bez protektoratu, który *a priori* sama siła rzeczy, ze względu bodaj na sąsiedztwo bólgarskie, oddawała w ręce Rosyi. Faktycznie przeto ta ostatnia opanowywała stolicę padyszachów, klucz mało-azyjski, stanowisko strategiczno-polityczno-handlowe w starym świecie najważniejsze, punkt drażliwość angielską rozbudzający w stopniu najwyższym.

Traktowanie o pokój w San Stefano, wiosce położonéj nieopodal od bram Konstantynopola, nad brzegiem morza Marmora, odbywało się pod działami angielskiemi. Téj to może okoliczności przypisać należy względne umiarkowanie zwycięzcy, który, mogąc dla siebie zabrać wszystko, zamieniając wzręcz własném panowanie ottomańskie, poprzestawał na zapewnieniu przewagi wpływom swoim politycznym. Eskadra angielska sama przez się groźną nie była; znamionowała jednak czuwanie Anglii, a względnie i Europy, i nawoływała niejako negocyatorów rosyjskich do umiarkowania, które, gdyby było nieco większe, byłoby nie rozbudziło posądzeń o daleko sięgające zamiary. Miarkować się jednak w takiém, jaki oręż osięgnął, powodzeniu—czy to łatwo? Trudność wynikała z tryumfów bezpośrednio i w obec niéj, na podziw zasługuje wstrzemięźliwość rosyjska.

Nie była to wszakże trudność jedyna.

Flota angielska na morzu Marmora wyobrażała sześć milionów funtów szterlingów kredytu, którego uzyskanie przez lorda Beaconsfielda oznaczało przełamanie się opinii publicznéj w Anglii ze strony rosyjskiéj na stronę turecką. Gladstoniści upadli, beaconfieldziści poszli w górę. To dawało do myślenia. Okrom tego zaś hrabia Andrassy, Beaconsfield austryacki, zażądał kredytu sześćdziesiąt milionów zł. r., który mu udzielony został. I Austrya przeto zamanifestowała się, dając niejako zwycięskim szeregom rosyjskim ostrzeżenie, jako rozporządza siłą orężną poważną, zagrażającą flankom, tyłom i liniom komunikacyjnym armii rosyjskiéj, zajmującéj Rumelią po Konstantynopol. Austrya nie odważyłaby się na krok podobny bez skazówek z Berlina. To dawało również do myślenia.

Negocyacye san-stefańskie toczyły się przy drzwiach zamkniętych pomiędzy Rosyą a Turcyą wyłącznie. Ogłoszenie układów sprawiło wrażenie ogromne i wywołało układy poufne pomiędzy Rosyą a Anglią i Anglią a Austryą. Chodziło, jak to każdy w świeżéj ma pamięci, o traktat, którego Anglia nie tylko uznać, ale nawet dyskutować nie chciała, stawiając sprawę w sposób drażliwy, wyzy-

wający, zuchwały, wystawiając cierpliwość rosyjską na próby a uwagę pokoju pożądającéj Europy, na istne męki wyczekiwania. Czuć w niéj było lwicę do żywego rozdrażnioną. Rozdrażnienie to służy za dowód, do jakiego stopnia Anglią kwestya wschodnia obchodzi, a obchodzi bez względu na to, czy na czele rządu stoi lord Beaconsfield, czy też p. Gladston. Ten ostatni byłby zapewne inny rozwojowi sprawy nadał obrót--byłby więcéj dołożył starań we względzie niedopuszczenia do wojny, byłby się brutalniéj z Turcyą obszedł, byłby bardziéj faworyzował Greków: zadraśnięty atoli w Konstantynopolu, uciec by się musiał do tychże samych ostatecznych argumentów, co i naczelnik partyi torysów. Różnica odnosiłaby się do szczegółów i do tonu w postępowaniu, nie zaś do istoty rzeczy, dotyczącéj interesów Anglii, w obec których Anglik każdy, czy to torys, czy whig, zarówno jest drażliwym.

Układy poufne pomiędzy Rosyą a Anglią, rozgłoszone przedwcześnie dzięki niedyskrecyi urzędników angielskich w biórze ministerstwa spraw zagranicznych, i układy pomiędzy Anglią a Austryą doprowadziły do kongresu berlińskiego. Traktat san-stefański uległ z gruntu zmodyfikowaniu, przeistaczającemu całkowicie postać rzeczy. Turcya, przez cofnięcie południowych granic Bólgaryi do linii Bałkanów i przez dozwolenie ufortyfikowania linii téj, odzyskała w Europie stanowisko państwowe, oddane pod straż Austryi, obdarzonéj Bośnią i Hercegowiną, azyatyckie posiadłości sułtana dostały się pod protektorat Anglii, zajmującéj administracyjnie i militarnie wyspę Cypr; Rosya odzyskała część Besarabii, ustąpioną w r. 1856, uzyskała część Armenii z Batumem, Ardahanem i Karsem, uzyskała przyznanie kosztów wojennych z zastrzeżeniem pierwszeństwa dla dawniejszych W. Porty wierzycieli i prawo zajmowania Bólgaryi przez dziewięć miesięcy korpusem pięćdziesięciotysięcznym. Są to główne punkta traktatu berlińskiego. Do nich dodać należy: wykrojenie księstwa Bólgarskiego z Turcyi i przyznanie niepodległości wraz z nieznaczném powiększeniem terytoryalném Rumunii, Serbii i Czarnogórza, a także postanowienie uregulowania granicy lądowéj pomiędzy Turcyą a Grecyą, mającą przez to dostać część Tessalii i część Epiru.

Turcya straciła dużo: w Europie linię obronną dunajską, 2.650 mil kwadratowych i półczwarta miliona poddanych, w Azyi trzy silne pozycye, 600 mil. kw. i 800.000 mieszk. Rosya zyskała to co Turcya straciła w Azyi i obok tego 150 m. kw. ze 135 tysiącami mieszkańców w Besarabii, odgraniczonéj na południu niespławném kilijskiém ramieniem Dunaju i oddzielonéj od Bólgaryi ustąpioną na rzecz Rumunii Dobrudżą.

Porównywanie atoli strat Turcyi z zyskami Rosyi ustępuje na plan drugi, w obec porównania pomiędzy traktatem san-stefańskim a traktatem berlińskim.

Co w tym ostatnim uderza, to ta szczególność, że na gruncie kwestyi wschodniéj zjawiają się związane jedno z drugiem nakształt braci Siamskich, dwa państwa: Anglia i Austrya. Związanie to zanosi się na długo—powiedzielibyśmy na wieki, gdyby zmienność kolei, jakim ulegają rzeczy ludzkie, pozwalała na przypuszczanie trwania wieczystego tego co ludzie budują, Mogą zajść, i to nawet rychło bardzo, wypadki, co tę postać rzeczy zmienią. Nie mówimy jednak o tém, co być może, a o tém co jest—co się wyłania z układu, mocą którego Austrya, ta Austrya, co od czasów pokoju zawartego z Turcyą w Szystowie (1791) usunęła się była w obec kwestyi wschodniéj na stronę, ustępując pierwszego miejsca Rosyi, wysuwa się znów naprzód, zabiéra dwie prowincye, wchodzi na teren i zajmuje pozycyą strategiczną, z któréj, niby żółw na jaja, patrzy na Rumelią, na Salonikę i na Konstantynopol—na Konstantynopol, powiadamy wyraźnie. *L'apetit vient en mangeant.* Z Bośnią i Hercegowiną poszło jéj gładko; opanowała niby przytém drogi żelazne, prowadzące do stolicy handlu na morzu Egejskiém i do stolicy państwa ottomańskiego: maż się zatrzymywać na téj dobréj drodze? maż apetyt swój państwowy na wodzy trzymać i zabraniać mu pomykać naprzód a naprzód, aż ku rozkosznym wybrzeżom Bosforu? Wynika to z natury rzeczy, stanowi atoli zadanie przyszłości bardzo może dalekiéj—zadanie, ustępujące tymczasowo pierwszeństwa zadaniu teraźniejszości, polegającemu na czuwaniu nad tém, co państwu ottomańskiemu w Europie pozostało. Zadanie to, a raczéj ten obowiązek Austrya pełnić się podjęła przez samo rozbudzenie w sobie apetytu, który wyszczególniliśmy powyżéj. Turcya europejska jest do wzięcia, przypuszczając ewentualności pewne: owóż rzecz cała polega na ewentualnościach onych, które też Austrya będzie usiłowała nałamywać i naginać w sposób taki, ażeby wypadły na korzyść jéj, nie zaś na czyjąś inną. Czynność ta, do któréj posiadanie Bośnii i Hercegowiny daje punkt wychodni i wygodny, ciągnąć się może długo, bardzo długo, chyba iżby do przyśpieszenia jéj przyczynić się zechciał dwór berliński i ofiarował dworowi wiedeńskiemu prowincye tureckie wraz z Bosforem i Dardanelami w zamian za prowincye niemieckie, potrzebne do uzupełnienia jedności germańskiéj. Nie jest to rzecz niemożliwa, zważywszy na odbywające się w oczach naszych transformacye i transfiguracye państwowe; nie jestto rzecz niemożliwa i z tego jeszcze względu, że nie obrażałoby to zbytecznie intere-

sów angielskich. Stała by się prosta zamiana państwa na państwo i kwestya wschodnia pozostałaby otwartą. Co Austrya, to nie Rosya. Austrya nie ciąży na Azyi, nie grawituje ku posiadłościom angielskim w Indyach, nie zagraża i zagrażać nie może żywotnym Wielkiéj Brytanii interesom.

Zanim jednakże co nastąpi, Austrya tymczasem czuwa nad Turcyą europejską. Czuwanie nad Turcyą azyatycką wzięła na siebie Anglia sama, przybierając oficyalnie tytuł protektorki. Tytuł nie wiele by znaczył sam przez się, gdyby nie odnosił się do rzeczywistości, do interesów i podstaw. O interesach, dla których Anglia nie pragnie, ażeby Mała Azya dostała się pod zależność od Rosyi, mówiliśmy powyżéj dosyć obszernie. Pozostaje nam rzec słów kilka o podstawach, nadających protektoratowi angielskiemu powagę i znaczenie.

Lord Beaconsfield w zdumienie świat wprawił dwoma teatralnością nacechowanémi wystąpieniami: gdy powołał wojska indyjskie i gdy ogłosił traktat z Turcyą ustępujący Cypr na rzecz Anglii. Za pomocą pierwszego, wykazując dwójjedyność państwową królestwo-cesarstwa, wykazał zarazem istotę sił zbrojnych onego, czerpanych zarówno w Anglii, jak w Indyach, czém zaimponował ogromnie. Stało się, objawienie niby—objawienie potęgi militarnéj olbrzymiéj, dotychczas w rachubę nie branéj—potęgi, którą szlachetny lord w perspektywie pokazał, jako znajdującą się w gotowości do bronienia interesów angielskich i popierania postulatów naczelnika rządu. Część jéj maluczką sprowadził na Maltę, przez co dowiódł, że dostawienie sił zbrojnych indyjskich do Europy nie należy zgoła do rzeczy niewykonalnych, zwłaszcza gdy się zważy, że Anglii nie rychło zbraknąć może na środkach przewozowych i na środkach pieniężnych. W ten sposób na kongresie w Berlinie zajął stanowisko dyplomatyczne bardzo silne i wielce poważne. Drugie dostojnego lorda wystąpienie—traktat cypryjski do kongresu nie należy, a jeżeli się do niego odnosi, to w tym chyba względzie, że nie wywołał protestacyi niczyjéj, pomimo że podawał materyału poddostatkiem, nie to do protestowania, ale do zerwania obrad i odwołania się do *ultimam rationem*. Gdyby téj kontrawencyi dyplomatycznéj dopuściła się była nie Anglia--nie Anglia wojskiém indyjskiém i kredytem nieograniczonym podszyta—zerwanie obrad przez pełnomocników, jeżeli nie rosyjskich, to francuskich lub włoskich, mających do dozorowania interesa Francyi i Włoch na morzu Śródziemném, nastąpiłoby było niechybnie. Nie nastąpiło jednak nic podobnego. Wiadomość o traktacie cypryjskim przyjętą została, jak się przyjmuje czyn dokonany

i nie przeszkodziła ani podpisaniu traktatu berlińskiego przez pełnomocników, ani ratyfikowaniu onego przez rządy. Stało się. Anglicy bez przeszkody zajęli Cypr, witani z entuzyazmem przez mieszkańców, którzy ze wszystkich ludów w skład państwa Ottomańskiego wchodzących, sami jedni, na ostatniéj wojnie wschodniéj, dobrze wyszli.

Anglia zajęła Cypr nie na własność, a w charakterze, który się dokładnie zdefiniować nie da. Wyspa należy do niéj zupełnie; ona na niéj rządzi i panuje—i ciągnie z niéj korzyści w obszerności całéj z wyjątkiem zwyżki, gdyby się takowa okazała, dochodów nad wydatkami, którą obowiązaną jest wnosić do kasy cesarstwa Tureckiego. Posiadanie jéj nie jest wieczystém, nie jest atoli ograniczoném co do czasu. Kiedyś—kiedyś... może się wyspa zwróci Turcyi, jeżeli ta na to zasłuży i jeżeli się zmienią okoliczności, które jéj zajęcie spowodowały.

Okoliczności—te przedstawiają się tak wyraźnie, że nie potrzebujemy rozwodzić się nad niemi. Zmienienie onych leży w interesie Anglii, ze względu na koszta nie małe i na potrzebę ustawicznego utrzymywania czujności w natężeniu, nie zależy atoli od woli jéj, dla tego téż będzie musiała wyzyskać Cypr, o ile wyzyskać się da—i to w celach nie innych, jeno militarnych. Nie w innych téż celach ustępstwo to na Turcyi wymogła. Ważność Cypru, jako pozycyi militarnéj, wykazują niektórzy w odniesieniu do morza Śródziemnego, zestawiając go ze stacyami angielskiemi w Gibraltarze, na Malcie i ze stanowiskiem, któreby nazwać można finansowo-militarném, na kanale Sueskim. W rzeczy saméj, przy posiadaniu floty takiéj, jak angielska, posiadanie czterech takich punktów na takiém, jak Śródziemne, morzu ma doniosłość ogromną. Zdaniem naszém atoli, doniosłości téj Cypr ani powiększa, ani umniejsza. Anglia nie potrzebowała dodatku tego do panowania na morzu Śródziemném—i nie do morza też on się odnosi, lecz do lądu, do Małéj Azyi, mianowicie zaś do tego długiego wąwozu, który od zatoki, zwanéj Aleksandrettą, ciągnie się ku Erzerumowi, towarzysząc południowo-wschodniemu wygięciu gór Anti-Taurus, i stanowi naturalny przedział pomiędzy właściwą Małą Azyą a Syryą, Al-Dżezirahem i Kurdystanem. Przedział ów posiada ważne zalety militarne: jest naturalną poprzeczną komunikacyą, daje początek dolinie Eufratu i na łańcuchach gór Antitaurus i Taurus Ormiański otwiéra przejścia na stronę jedną i na stronę drugą, to jest, w kierunku morza Marmora i w kierunku zato-

ki Perskiéj. Na szachownicy mało-azyjskiéj, w obec przypuszczalnéj inwazyi idącéj od północy, wąwóz ten powołanym jest do odegrania roli bardzo ważnéj, pod warunkiem jeżeli z góry a należycie będzie zaopatrzonym i umocnionym. U wylotu wąwozu, zamykając zatokę Aleksandrettę, leży wyspa Cypr. Zajęcie przeto onéj przez Anglików, świadcząc z jednéj strony o wiadomościach topograficznych inżynierów angielskich, z drugiéj odsłania tajemnicę, dla któréj Anglia zajęła nie Rhodos, nie Metelin, ale Cypr. Racya tego tkwi w ukształtowaniu krainy, w któréj, z powodu bezpośredniéj styczności granicy tureckiéj z granicą rosyjską, najpodręczniejszém jest dla Rosyi działanie militarne. Nad tą krainą rozpościera się protekcya angielska. Spodziewać się przeto należy, że nie długo pozostanie ona w dzisiejszym stanie zaniedbania: starożytna Cylicya, pod naciskiem protektoratu, transfigurować się pocznie powoli – osnuje się drogami, przejścia Taurusów pozatyka warowniami, pozakłada obozy oszańcowane i przeprowadzi do Czat-el-Arabu koléj żelazną, która wojskom indyjskim ułatwi, w razie potrzeby, śpieszne na grunt przybycie. Jeżeliby to wszystko nie dokonało się w czasie jak najkrótszym, to zabór Cypru nie miałby sensu wiele i protektorat spełzłby na niczém. Cypr ma znaczenie rezerwy angielskiéj w stosunku do linii obronnéj azyatyckiéj, któréj obronność naturalna wymaga wzmocnienia sztucznego. Zrobiwszy jedno, to jest, zająwszy stanowisko rezerwowe, nie zrobić drugiego, to jest, nie wzmacniać linii obronnéj, byłoby to... nie po angielsku. Nie przypuszczamy téż tego; przypuszczamy natomiast nie małe korzyści, jakie stąd na kraj spłyną. Znaczne roboty, przystąpienie do których jest nieodzowném, będą wymagały uprzednio zaprowadzenia ładu w finansach, w administracyi, w sądownictwie, w policyi, w organizacyi sił zbrojnych. Jestto pole do stosowania protektoratu do praktyki, która téż wyrazić się nie może inaczéj, jak pod postacią kontroli, rozciągnionéj nad rządem tureckim we wszelkich onego czynnościach. Wielki to dla Anglii ciężar; opozycya gladstońska miała racyą, wymawiając rządowi włożenie onego na barki kraju; ale—jeżeli ciężarowi temu Anglia podoła, to znajdzie sowite wynagrodzenie w owocach, jakie przyszłość rokuje. Pod protektoratem jéj zakwitnąć mogą rolnictwo, przemysł i handel, nauki i sztuki, porządek i spokój, a przytém—ileż to sił roboczych angielskich Mała Azya zapotrzebuje i zużytkuje! To także korzyść.

Nie tego atoli rodzaju korzyści zajmują nas, ale dyplomatyczne i polityczne, wynikające z nowéj fazy, jaką wypadki ostatnie dla ogniskującéj się w Konstantynopolu kwestyi wschodniéj stworzyły.

Co zyskuje ona na uorganizowaniu obrony w cylicyjskim wąwozie? Odpowiadamy: organizacya obrony w cylicyjskim wąwozie ma na celu osłonięcie z jednéj strony biegu Eufratu, z drugiéj Bosforu. Do Konstantynopola armia nieprzyjacielska posuwać by się mogła wzdłuż wybrzeży morza Czarnego; przy uorganizowanéj jednak obronie wąwozu, musiała by pierwéj wąwóz cały opanować, ażeby się pozbyć nieprzyjaciela z flanków i z tyłów. Obrona przeto ta jest obroną Konstantynopola, w stosunku do którego odegrywa tę samą mniéj więcéj rolę, co stanowisko strategiczne, zajęte przez Austryaków w Bośnii i Hercegowinie. Z téj to racyi przyrównaliśmy powyżéj Anglią i Austryą do braci Siamskich. Ogniskowego kwestyi wschodniéj punktu dozoruje zdaleka, jedna z jednéj strony, druga z drugiéj.

Jest że to kwestyi wschodniéj rozwiązanie?

Bynajmniéj.

Traktat berliński wzbudził powszechną nieufność, dla któréj w izbie niższéj angielskiéj p. Chamberlain odpowiedni znalazł wyraz, nazywając traktat zawieszeniem broni. Tak—nie czém inném jest on. Czém jednak były wszystkie zawierane dotychczas traktaty? Czy bodaj jeden który nie był zawieszeniem broni? Moc traktatu polega na trudności złamania onego. Strony, po sporządzeniu dokumentu pokojowego, rozchodzą się i natychmiast przystępują do organizowania sił własnych i kombinowania grup politycznych. Poszkodowanéj chodzi o naprawienie krzywd, téj co zyski odniosła o zabezpieczenie zdobyczy. Akcya ta trwać może długo—lata, lat dziesiątki. Zależy to niekiedy od okoliczności, przychodzących mimo wiedzy i woli gabinetów. I w tym przeto razie, pomimo, że traktat pokojowy zasługuje na miano zawieszenia broni, nie zdaje się, ażeby złamanie onego nastąpić mogło rychło. Sprzeciwiają się temu trudności wielkie, jakieby spotkała Rosya, gdyby wydać zamierzała wojnę Turcyi, rok temu odosobnionéj, dziś zaś oskrzydlonéj przez dwóch sprzymierzeńców, z których, z każdym z osobna, rozprawa wojenna nie należy koniecznie do najłatwiejszych. Przypuszczając przeto, że gabinet petersburski ma intencyą zmodyfikowania traktatu berlińskiego, to do umożliwienia téj modyfikacyi przygotowywać musi środki i sposoby na kilku na raz drogach, prowadząc równocześnie i rozwijając: organizacyą sił orężnych odpowiednio zadaniu, jakieby miał do rozwiązania i kombinowanie stosunków dyplomatycznych, za pomocą których mógłby neutralizować przeciwników i spółzawodników swoich.

Śród tych ostatnich Anglia na pierwszym stoi planie, a stoi tak, że... „jeżeli można wajdelotom wierzyć“... to jest, jeżeli można brać

za prawdę tę regułę, że przeszłość naucza o przyszłości, to: jak okres dziejowy, odnoszący się do przeszłości Europy, znalazł swój wyraz w zapaśnictwie wiekowém pomiędzy Francyą a Niemcami, tak okres dziejowy, odnoszący się do przyszłości, znajdzie wyraz swój w rywalizacyi pomiędzy Rosyą a Anglią. Że przypuszczeniu temu nie brak zasadności, dowodem na to służy sposób, w jaki jest traktowaną kwestya wschodnia. Porównajmy ją jeno z innemi orężem w najbliższych czasach rozstrzyganemi sprawami—z wojnami włoską, duńską, austryacką i francuską. Każda z nich rozstrzygniętą została traktatem pomiędzy wojującemi stronami. Traktat pomiędzy bezpośrednio interesowanymi kończył wszystko, pomimo że gra szła o interesa ważne: o przeistoczenie związku niemieckiego, o jedność Włoch, o stanowisko głowy kościoła katolickiego. Jedna tylko kwestya wschodnia, ile razy na jaw wystąpiła, za każdym razem w ruch wprawiała całą maszyneryą dyplomatyczną. Co to za silne wrażenie sprawiła wiadomość pierwsza o powstaniu w Hercegowinie! Pół dziki góral, z którego ręki, w nieznanym Europy zakątku, padł strzał najpierwszy, obudził w świecie dyplomatycznym zajęcie żywsze, aniżeli wszystkie przez dyplomacyą pracowicie gotowane wypadki.

Kongres berliński kwestyi nie rozstrzygnął; twierdzą nawet niektórzy, iż ją bardziéj zawikłał; sprowadził wszakże rezultat, który ją stawia w warunkach bardziéj aniżeli dawniéj wyraźnych. Dotychczas antagoniści rzeczywiści ukrywali się niejako po za plecami innych. Tyczy się to Anglii szczególnie. W 1854 roku, naprzykład, wysunęła ona naprzód Francyą, któréj palcami z ognia wyciągnęła gorące kasztany. Obecnie wysunęła się już sama. Dwaj olbrzymi stanęli jeden naprzeciw drugiego, oko w oko—wzrokami się mierzą i rękawy zawijają. Rosya i Anglia szukające się zdaleka, znalazły się nakoniec, zbliżyły, w styczność weszły:—co stąd wyniknie, jestto tajemnica przyszłości.

Rozpatrzyliśmy tedy kwestyą wschodnią z punktu dyplomatycznego. Pozostaje nam rozpatrzeć się w niéj z punktu politycznego, to znaczy z takiego, na którym nie znajdziemy ani państw, ani gabinetów, ani kombinacyj subtelnych, ani interesów innych, jak tylko, że się tak wyrazimy, bytowe. Spotkamy się wprawdzie z organizmami, powleczonemi pokostem dyplomatycznym; w Atenach, w Bukareszcie, w Belgradzie, w Cetyni nawet funkcyonują „gabinety“: te atoli, acz są, tak jak i wszystkie inne gabinety, organami, za pomocą których wyraża się działalność ciał, którym służą, działalność ta wszakże za zbyt słabo wylewa się na zewnątrz, ażeby podnosić

miala wymienione powyżéj gabinety do godności dyplomatycznéj. Działalność ta zwraca się przeważnie na wewnątrz, tonie w narodzie. Trafnie też dowcip rumuński, posiłkując się grą wyrazów francuskich, ministra spraw zewnętrznych—*ministre aux affaires étrangeres*—zamianował: *ministre étranger aux affaires*. Teka ta figuruje, ale nic nie znaczy—gabinet bardzo wygodnie obchodzić by się mógł bez niéj. Odmawiamy przeto dyplomatyczności charakterowi spraw greckiéj, rumuńskiéj, serbskiéj i czarnogórskiéj, nie czyniąc im przez to ujmy najmniejszéj; odmawiamy tembardziéj dyplomatyczności charakterowi spraw bółgarskiéj, bośniacko-hercegowińskiéj i albańskiéj. Wszystkim im jednakże razem i każdéj z osobna przyznajemy charakter polityczny, który się odnosi do narodu i potrzeb onego a wyraża za pomocą aspiracyj. W oczach dyplomacyi naród nie istnieje; w oczach polityki istnieje. W braku innéj wyraźnie nakreślonéj linii demarkacyjnéj, będziemy się trzymali téj, zaznaczając nawiasowo tę osobliwość, że zasada narodowościowa, w ostatnich dopiéro czasach, w sferę działalności dyplomatycznéj—*tambour battant*—wprowadzoną została. Gdyby nie to, iżby materya ta zadaleko nas od przedmiotu odprowadziła, wykazaćbyśmy mogli koleje, przez jakie ta zasada przeszła, zanim się na wierzch wydostała i znaczenie dla siebie zdobyła.

Wracamy więc do przedmiotu.

Weźmiemy najprzód każdą sprawę z osobna i zanalizujemy ją treściwie pod względem potrzeb i aspiracyj. Co do porządku, ten pozostawimy takim, jak się nam pod pióro nawinął, gdyśmy powyżéj wymienili sprawy, w odniesieniu onych do charakteru dyplomatycznego. Naczelne w szeregu tym miejsce zajmuje Grecya. Od niéj też zaczniemy.

Grecya najpierwsza z pomiędzy narodów chrześciańskich pod berłem padyszachów pozostających ściągnęła na siebie uwagę, sympatye i czynną pomoc Europy. Stało to się w czasie, gdy zasada narodowości była jeszcze nieznaną i gdy dyplomacya w religii poszukiwała pretekstu do czepiania się Turcyi. Wspólna przeto akcya na korzyść Grecyi wyszła z punktu religijnego, popartego przez wspomnienia Homerów i Pindarów, Arystotelesów i Platonów, Milciadesów, Epaminondasów, Leonidasów, etc., etc. Zapomniano, że „jest długi wieków przedział,“ rozentuzjazmowano się do sprawy greckiéj; opinia publiczna w Europie znajdowała to rzeczą oburzającą, ażeby kolebka poezyi, sztuki i nauk, ojczyzna bohaterów, półbogów i bogów, pozostawała w takiém jarzmie sromotném—i wykrzesano królestwo Greckie z Niemcem na tronie. Królestwo, dzieło dyplomacyi,

która, tworząc one, nie miała innéj dobréj racyi, jak uczynienie zadość opinii publicznéj, pozostanie na zawsze jako świadectwo połowiczności dyplomatycznego ducha. Utwór ten stawał bez uwzględnienia tego, co przedewszystkiém na uwzględnienie zasługiwało, to jest, Greków. Tych większa połowa pozostała w sromotném jarzmie. Wynikiem tego było niezadowolnienie, mające ognisko swoje w nowéj Grecyi, a ogarniające wyspy Archipelagu, wybrzeża M. Azyi, wnętrze półwyspu Bałkańskiego, okolice wszystkie, punkt każdy, gdzie się bodaj jeden znajdował Grek. Niezadowolnienie to wytwarzało stan nieznośny. Grecy z góry w oczach W. Porty znajdowali się w stanie podejrzenia, uważani jako nieprzyjaciele z urodzenia istniejącego stanu rzeczy. Stan ten prowadził do następstw naturalnych: do nieusprawiedliwionych niczém represalii z jednéj strony, do podstępów z drugiéj. Sfery rządząca i rządzona uważały się jak dwa wrogie obozy, prowadzące z sobą ustawicznie wojnę podjazdową. Na tém cierpiało wszystko: przemysł i handel, moralność publiczna i moralność prywatna. Ludność grecka dostarczała W. Porcie w ilości znacznéj donosicieli, szpiegów i agentów ucisku, ale lojalnych poddanych ani jednego. Przyczyna tego, tłómaczona rozmaicie, tkwiła całkowicie i pierwotnie w popełnionym przez dyplomacyą błędzie. Nowéj Grecyi—królestwa Greckiego—nie zbudowano na żadnéj podstawie racyonalnéj, jakich jednak było trzy: historyczna, etnograficzna i polityczna. Pomijając dwie pierwsze, do zdefiniowania których gabinety mogły nie posiadać odpowiedniéj kompetencyi, pozostawała ostatnia, ta zaś wymagała tego, ażeby wykrawując z ciała tureckiego niezależne państwo, wytworzyć coś takiego, coby w obec państwa Ottomańskiego, stanowiło na Bałkańskim półwyspie i na wodach egejskich jakąś przeciwwagę—należało wytwór ten zaopatrzyć w warunki bytu, i uczynić go dostatecznie silnym i poważnym. Zamiast tego—cóż uczyniono? Wykomplanowano państewko szczupłe, ubogie i słabe i kiedy się ono żaliło, karmiono je naukami moralnemi: „bądź grzecznėm, przyzwoitém, prowadź się dobrze, siedź cicho...“ Nieposilna ta strawa nie tuczyła, nie przeszkadzała jednak umysłom greckim bujać w krainie rojeń i zasnuwać wielkie plany, drażniące Turków, zniechające do Grecyi narody zamieszkujące półwysep Bałkański, niepokojące gabinety i ułatwiające czynność intrygom dyplomatycznym. Każdy z gabinetów, któremu zależało na tém, ażeby na Wschodzie wodę zamącić, miał w Grekach narzędzie, na które liczyć mógł z pewnością. Dość było pokazać im w perspektywie światełko byzantyjskie. Z tego też to powodu, sympatye greckie zmieniały się, jak się mienią barwy na kameleonie: dziś zwracały się ku temu państwu, jutro ku owemu, a to na to, aże-

by pojutrze powrócić do tamtego. W ciągu wojny ostatniéj, ileż to następowało zmian podobnych! Rusofilizm, anglofilizm, a nawet i turkofilizm luzowaly się szybko i ustawicznie. Bywały momenta, w których ludność Grecyi opanowywał rodzaj opętania. Nie wiedziała, którym oddawać się bogom, a i rząd we względzie tym nie był o wiele mędrszym—i on nie wiedział—szykował wojnę i ociągał się i czekał: czekał—że tak pozwolimy sobie wyrazić się—na kiwnięcie palcem ze strony gabinetu petersburskiego, którego postępowania nie umiał wytłómaczyć sobie. Szyki mu mieszała ta okoliczność, że Rosya pozwoliła Rumunii wziąść udział w wojnie. Gdyby nie to, tłómaczenie znajdowało się samo przez się w sławianofilizmie, w imie którego wojna prowadzoną była. Rumuni jednak, to nie słowianie; uczęstnictwo ich oznaczać się zdawało, że sławianofilizm występuje bardziéj jako motor, pozostawiony dziennikarstwu rosyjskiemu na to, ażeby nim manewrowało, aniżeli jako istotny a wyłączny zamiar gabinetu petersburskiego. Było to przypuszczenie—chodziło o pewność. Pewności we względzie tym Grecy wydostać nie mogli i nie wydostali; sposobili się przeto do wojny i wyczekiwali, chcieli się bić i nie chcieli—w końcu zdecydowali się, wystąpili, ale... z musztardą po obiedzie.

Trudno dotkliwiéj obrazić uczucia narodowe, jak obrażonemi zostały uczucia greckie. Była li w tém racya?—być musiała, więc była, nie inna zaś, jeno chyba ta, że mieszać nie należy dwóch różnorodnych spraw, kiedy się prowadzi jedną. Reguła ta wyjść mogła z komitetów i redakcyj słowianofilskich, u których Grecy nie cieszą się najlepszą opinią. Słowianie mają do nich pretensyj dużo i słusznych. Chociażby atoli pretensye owe jak najsłuszniejszémi były, to, w obec zadania uporządkowania stosunków na półwyspie Bałkańskim, żywiołu greckiego nie uwzględniać nie sposób. Nieuwzględnienie onego w czasie ostatniéj wojny nasuwa na myśl to przepuszczenie, że gabinet petersburski, obok racyi wymienionéj powyżéj, miał i inną jeszcze, a to tę mianowicie, że spółudział Greków uważał za niedogodny w odniesieniu do kwestyi wschodniéj. Jestto z naszéj strony przypuszczenie tylko, które wnet wyszczególnimy, a które—dodać pośpieszamy—błąkało się w kształcie posądzenia po kolumnach prasy angielskiéj.

Dla Greków, powołanych do udziału w wojnie, operacye wojenne, zatrzymujące wojska tureckie na granicach Czarnogóry, na granicach Serbii, nad Dunajem i w Azyi, stanowiły potężną dywersyą, dzięki któréj mogli byli osięgnąć powodzenie za daleko, bo aż do Konstantynopola sięgające. Mogli tego dokonać, w tym tylko razie

gdyby powołani byli, powołanie bowiem zasłaniało ich od ryzyka, jakie zagrażało Grecyi, gdyby działała na własną rękę, to jest, gdyby bez żadnego poważnego wezwania, bez żadnego oficyalnego poręczenia i, *nota bene*, bez potrzebnéj do prowadzenia wojny pomocy pieniężnéj, ruszyła szczuplutką swoją armią i wkroczyła na terytorium tureckie, na terytorium zapalne, które zagorzeć mogło powstaniem, rozniecić płomień po Epirze, Tessalii i Macedonii i brzegami morza zanieść go na bruk konstantynopolski. Ewentualność podobna mogła być nie na rękę dyplomacyi petersburskiéj. Gdyby bowiem Grekom się poszczęściło i udało Konstantynopol opanować przedtém, zanim armie rosyjskie Bałkany przekroczyły: cóż by z tym fantem do robienia było? Przezorność nakazywała zniechęcać raczéj Greków, przedewszystkiém zaś nie udzielać im pomocy żadnéj pieniężnéj. Spółdziałanie ich, kłopotliwe, a nawet do pewnego stopnia niebezpieczne dla Rosyi przed przejściem przez jéj wojska Bałkanów, po przejściu takowych stawało się niepotrzebném. Racya ta, obok nadanego sprawie z góry kolorytu specyalnie słowiańskiego, nasuwa się na myśl sama przez się i wyjaśnia ciemne punkta we względzie zachowywania się Grecyi podczas wojny. Rady angielskie przyczyniły się téż nie mało do powstrzymywania jéj od orężnego wystąpienia, a nawet, jak niektórzy twierdzą, przyczyniły się i do spóźnionego wystąpienia, a to w celu przeciwstawienia sprawy greckiéj sprawie słowiańskiéj. Jakkolwiek bý zresztą było, faktem jest, że potomkowie Milciadesów i Temistoklesów czują się głęboko w uczuciach swoich i w pragnieniach zranieni: niezawezwani do uczty Bellony, byliby z kwitkiem odeszli z kongresu, gdyby się był o nich p. Waddington, pełnomocnik francuski nie upomniał. Dzięki jemu, uzyskali przynajmniéj sprostowanie granicy lądowéj, rokujące im powiększenie terytoryalne. Czy atoli zysk ten, pozostający dotychczas w stanie zasady, a zależny w znacznéj części od znanéj z umiejętności wynajdowania zwłok dyplomacyi tureckiéj, nie będzie dla nich do pewnego bodaj stopnia puszką Pandory? Spodziewać się należy, że interwencya Europy, także w zasadzie orzeczona, odwróci od Grecyi trudności, z jakiemiby się ta nieochybnie spotkać musiała, gdyby jéj przyszło saméj układać się z Turcyą. Spodziewać się przeto należy, że sprawa ta załatwioną zostanie na drodze pokojowéj. Inaczéj bowiem, kwestya wschodnia, tylko co z krwawéj wyprowadzona kąpieli, mogłaby się w takową napowrót zanurzyć. Ewentualności téj można było stanowczo zapobiedz, gdyby kongres bliżéj nieco w sprawę tę wniknął i, poświęcając jéj godzinkę czasu, wytknął granicę i wyznaczył termin. Czemu tego nie uczynił?—jest to zagadką.

Przypuszczamy chętnie, że opuszczenie to nie sprowadzi smutnych następstw żadnych i rozgraniczenie dokona się ku zobopólnemu zadowolnieniu, tak wysłanych na grunt komisarzy, jak wydelegowanych do podpisania aktu pełnomocników: przecięż i w takim razie sprawa grecka na gruncie kwestyi wschodniéj nierozstrzygniętą pozostanie; i w takim razie element grecki, jak był, tak będzie jednym z silniejszych zaczynów fermentu politycznego. Czemu? odpowiemy jak powyżéj: dla braku wszelkiéj podstawy racyonalnéj. Dwie prowincye tureckie, rozpołowione na korzyść Grecyi, nie dają jéj téj podstawy, któréj szukaćby należało, bądź w państwowym, bądź téż, co by większą znalezienia szansę dawało, w narodowym ustroju. Kongres nie szukał jéj ani tu, ani tam i nawet nie postanowił nic we względzie szewronami w walce o niezależność okrytéj Krety. Sprawa grecka, w karby racyonalne nie ujęta, jest czém była—narzędziem do użycia—i kiedyś, gdy potrzeba przynagli i okoliczności nacisną, da się może zużytkować gabinetowi londyńskiemu na strażniczkę ciaśnin. Jeżeliby Turcya niemożliwą się stała, jestto, z punktu angielskiego rzecz biorąc, wyjście z dwóch jedno do przewidywania. Albo Austrya, albo Grecya, raczéj ta ostatnia, aniżeli tamta, byle nie Rosya, będąca dla gabinetu londyńskiego rodzajem *cauchemare'u*. Możliwość ta, aczkolwiek w dalekiéj ukazująca się perspektywie i otoczona przeszkodami, których usunięcie wykaże może trudności nie do przełamania, jest *ex nunc* dla fantazyi greckiéj konikiem skrzydlatym, którego ona dosiędzie. Uczyni to tém pewniéj, że się otworzyło w tym kierunku spółzawodnictwo: Rosya traktatem san-stefańskim wytknęła Konstantynopol jako punkt pożądań dla Bulgaryi, Austrya przez zajęcie Bośnii i Hercegowiny zdradziła widoki nań dla siebie; czemużby ku punktowi temu podążać nie miała i Grecya, uważająca się za prawną spadkobierczynią cesarstwa Byzantyńskiego?....

(*dok. nast.*)

POWÓDŹ.

POWIEŚĆ

FRYDERYKA SPIELHAGENA.

W SKRÓCENIU OPOWIEDZIANA

przez

WINCENTĘ LIMANOWSKĄ.

(Dokończenie).

Golm uprowadził z zamku Karlę, pod pozorem przypatrzenia się burzy zblizka. Poprzedzającego dnia jeszcze ułożyli z sobą razem plan téj przejażdżki. Przestrogi Ludwiki nie zdołały wstrzymać szwagierki; Karla chciała już zakończyć lekkomyślną grę swą z hrabią i skłonić go do rzeczywistego zobowiązania się względem przyzłości ich obojga. Idąc za popędem lekkiego charakteru swego, nie zastanowiła się ani nad usposobieniem Golma ani nad sposobami, coby ją mogły rzeczywiście doprowadzić do celu. Nie brała téż wcale w rachunek własnych zmysłów; dotąd chłodna jéj natura broniła ją od nich—nie wiedziała, że w danéj chwili i one mogą stanąć przeciwko niéj. I tak bawiąc się, na oślep biegła ku własnéj zgubie.

Zaledwie minęli zabudowania dworskie, pod pozorem zapomnianéj chustki odprawili masztalerza.

— Karlo! zawołał hrabia, zbliżywszy do niéj konia swego.

Objął ją prawem ramieniem i całował raz po raz twarz i usta.

— Ty, niegodziwcze, rzekła wreszcie Karla.

Chcąc odrzucić kwef Karli, co go wicher zaganiał między ich twarze i rozdzielał je, hrabia zerwał kapelusz jéj.

— Ależ, bądź rozsądny, Akselu!

— Rozsądny! odrzekł hrabia, kiedy po raz pierwszy jestem wreszcie na prawdę sam na sam z najpiękniejszą dziewczyną w świecie!

— Dość już tego! zawołała Karla, poprawując kapelusz. I uderzywszy konia, pomknęła naprzód.

Hrabia dogonił ją wkrótce. Jechali tak razem, zajęci sobą, nie zważając na drogę, która stawała się coraz gorszą, aż wreszcie konie same stanęły naraz; oddawna już stąpały z trudnością, teraz nie mogły już prawie podźwignąć nóg z rozmiękłego gruntu.

— Bah! rzekł hrabia, jeździliśmy przecie i po gorszych drogach. Hop! allez! zawołali oboje jednocześnie. I gwałtownie pognali przestraszone konie. Ogromne kałuże wody stały tu i owdzie. Przed samym mostkiem był jak gdyby mały staw.

Konie znowu się zatrzymały; jeźdzcy znowu pognali je.

Przejechawszy mostek, hrabia rzekł śmiejąc się: przejechaliśmy teraz, ale nie wiem jak będzie nazad.

— A ja za godzinę muszę być w domu, odpowiedziała Karla.

— To już lepiéj zaraz wracajmy, bo po raz drugi nie przejedziem strumienia. Spójrz sama co się zrobiło. Będziemy musieli okrążyć wzgórza, a to ogromny kawał drogi!

— Ludwika taka zrobiła się nieznośna!

— Nie zważaj na nią!

— Ogada nas przed bratem!

— Mniejsza o to!

— Brat zrobi ci scenę!

— Mniejsza o to bylebym ciebie miał!

— To znaczy, jedną dziewczynę jeszcze!

— Karlo!

— Milcz! Przysięgnij mi, że jak wrócimy, ty w obec baronowéj, Elsy i pana Giraldiego ogłosisz zaręczyny nasze, i że od dziś za cztery tygodnie pobierzemy się!

— Czyż potrzeba przysięgi na to?

— Przysięgnij!

Chwyciła jego rękę i mocno ją ścisnęła.

— Na cóż każesz mi przysięgać? na tę małą rączkę, na tę postać śliczną? pytał hrabia żartując.

— Na twój honor!

Mówiła to nie zwykłym głosem rozmowy; słowa szybko i jak gdyby sycząc wymykały się ze ścieśnionéj, jak się zdawało piersi.

— Na mój honor! rzekł hrabia.

Ale oczy jego zwróciły się w stronę, wyraz namiętności znikł w nich, a pojawiło się pewne wahanie. Karla dostrzegła to; gwałtownie wyrwała rękę swą z jego dłoni, uderzyła konia i pognała naprzód.

Ruch ten jéj tak był niespodziany i tak gwałtowny, że chcąc nawet, hrabia nie byłby mógł przeszkodzić mu. Ale on nie myślał nawet o tém, przeciwnie wstrzymywał konia, który się rwał za towarzyszem swoim. Hrabia dumał: czy ma jéj dać uciec? Widział przed sobą niezawodne wyzwanie Ottomara, swoje rozpaczliwe finanse, którym sto tysięcy Karli posagu nic nie pomogą; a wreszcie kuzynkę swoję, z której rodziną żył dotąd w nieprzyjaźni, a którą mu niespodzianie teraz ofiarowano wraz z milionem posagu. Tę ot tam kochał jako piękną dziewczynę, ale w gruncie uważał, że to nie dla niego żona. Jedną dziewczyną więcéj!—sama to powiedziała.

Myśli te przemknęły szybko przez głowę hrabiego; wahanie jego trwało sekundę. Dotknął konia ostrogą i jak strzała pogonił za uciekającą.

— Karlo, Karlo! zawołał.

— Idź sobie, nie kochasz mię!

Hrabia chwycił jéj konia za cugle.

— Nie ujdziesz mi. Ona spojrzała na niego z nienawiścią prawie.

— Ależ Karlo, to szaleństwo!

— Jestem szalona, szepnęła.

— I ja szalony jestem,—szalenie cię kocham. Bądźmyż szaleni oboje—zupełnie szaleni! Porwę cię, na konia mego.

Ona czuła, że on to zrobić może. Zaszumiało jéj w uszach zamknęła oczy, wyciągnęła ramiona i jak bachantka padła mu w objęcia: z tobą, z tobą! Weź mnie! Jestem twoja! twoja! twoja!

— Ty, drogie szalone dziewczę!

I raz po raz całował jéj usta. Wreszcie posadził ją znowu na siodle, z którego prawie podniósł ją był i podał cugle w ręce. Oboje puścili się pochyłością, prowadzącą do Ahlbeck.

Więcéj już nie mówili z sobą ani słowa; zrozumieli się.

W Ahlbeck, niedaleko od brzegu stała oberża, którą za staraniem a po większéj części i za pieniądze hrabiego zamieniono w mały ładny hotel dla gości kąpielowych, którzy zjeżdżali się tu niekiedy. W hotelu gospodarzyła młoda wdowa; nie płaciła ona hrabiemu procentów od pożyczonych pieniędzy i doznawała od niego wszelkiéj protekcyi, za co naturalnie okazywała mu jak mogła wdzięcz-

ność swoję. Na piętrze domu znajdowały się dwa najpiękniejsze pokoje, które hrabia zajmował już nieraz, kiedy spóźnił się na polowaniu. Rzecz naturalna, że i teraz mógł zająć jeden z nich dla siebie, a w drugim wypoczęłaby dama, która z nim przybyła i czuła się zmęczoną długą jazdą. Między pokojami były drzwi, ale to nikogo nie obchodziło wcale, ani gospodynią ani jéj gości znajdujących się na dole, i niktby nie zwrócił nawet uwagi na to, czy pokoje były zajęte godzinę czy dwie—czy wreszcie noc całą.

Tuż przed wsią droga dotąd szeroka wciskała się między dwa wzgórza, które tworzyły niby bramę obok poczynającego się tutaj łańcucha wzgórz. W piękny, jasny dzień widok stąd był prześliczny na osiadłą wzdłuż pochyłości wieś, a daléj po za nią na morze i jego brzegi, gdzie się roiło tysiące łodzi. Teraz widok ten zmienił się bardzo, i zmiana ta przeraziła hrabiego. Górna część wsi była prawie zniszczona, ani jednego w niéj domu, na którym byłby dach cały; w dolnéj zaś tylko parę zabudowań i oberża ukazywały się wśród obłoku jakiegoś, którego znaczenia w pierwszéj chwili hrabia nie mógł zrozumieć nawet. Miałażby to być piana wzdymającego się morza? A gdzież się podziały domy co wzdłuż wybrzeża ciągnęły się? gdzie kilkadziesiąt łodzi rybackich co wczoraj jeszcze schroniły się tutaj przed burzą? gdzie sześć jachtów, co wczoraj również przybyły z kamieniem do budowy? gdzie obie groble, a przedewszystkiem gdzie ów milion, który zbudowano na nich? Czyż by przeklęty Schmidt, co mu wszędzie stawał na drodze i tu jeszcze miał słuszność?

Hrabia skierował konia na wzgórza. Stąd widok nie więcéj był pocieszający. Był on nawet tak straszny, że hrabia, powoli przedzierając się przez zarośla, sam siebie pytał, czy nie lepiéj byłoby wrócić. Wściekłe morze mniéj groźném dla niego było jak to, co teraz miał przed oczami. Na pochyłości przylądka Wissow, u stóp którego oparła się część wsi, ujrzał małe gromadki ludzi, skupiające się i pierzchające, i wciąż poruszające w tę i owę stronę. Mogli to być najbliżsi mieszkańcy wybrzeża, a zwłaszcza grabarze, którzy na piasku zbudowali byli sobie obóz z baraków złożony. Hrabia znał ich i częste miewał spory z zuchwałymi ludźmi. Spotkanie z nimi mogło być dla niego w téj chwili niebezpieczném, ale szał jakiś popychał go naprzód! Co go obchodził ten motłoch, niech sobie radzi jak chce. Powódź nie dosięgła jeszcze oberży, a to rzecz główna. Uprowadził Karlę z zamku dla pokazania jéj burzy z bliska,—z okien oberży ujrzy ją jak najbliżéj!

Piaszczystą dróżką wjechali pomiędzy pierwsze domki wsi

Hrabia jechał naprzód. Karla, przerażona szumem morza, bojaźliwie zapytywała już parę razy, czy nie wrócą do domu; ale dzięki krótkiemu wzrokowi swemu nie widziała jeszcze nic. Główna droga przy któréj znajdowała się oberża, i która prowadziła wprost do morza, wydała się hrabiemu dziwnie krótka. W istocie, tam gdzie dawniéj był jeszcze szeroki pas lądu, teraz toczyły się pieniste fale. A na ulicy tłoczyli się mężczyzni, kobiéty, dzieci; wszystko to w nieustannym było ruchu; z domów wynoszono sprzęty, rzucano je na ziemię, wracano po inne; przytém wszystkiem ogromny był hałas, wołanie, płacz.

— Z drogi, z drogi! krzyczał hrabia.

Tłum niechętnie ustępował przed nim; nie jedno spojrzenie nienawiści pogoniło za nim, nie jedno z cicha wyrzeczone przekleństwo; wreszcie z ust staréj kobiéty, którą koń przewrócił, bo nie dosyć prędko ustąpiła przed nim, złorzeczenia posypały się gradem. Podniosłszy się z ziemi, pogroziła mu pięściami a potem wyraźnie o nim mówiła coś i rozpowiadała innym i wskazywała ręką za jadącymi. Hrabia nie spostrzegł nawet tego i jechał daléj, aż wreszcie dozorca budowy zastąpił mu drogę i począł coś mówić, wskazując na minięte już tłumy. Golm nie mógł zrozumieć z początku, o co mu chodzi, nie bardzo go nawet słyszał wśród huku i hałasu; pojedyncze tylko wyrazy dochodziły go: grobla, rozbite statki—ludzie rozwścieklcni—biegnę—stanie się.

— Co ma się stać? pytał hrabia.

— Nieszczęście—i pani przy tem—nie odpowiadam za to—za późno.

Hrabia więcéj się przeraził wyrazem trwogi malującéj się na twarzy mówiącego, aniżeli słowami jego; obejrzał się za siebie i w tejże chwili gwałtownie nacisnął konia ostrogą. Gromada ludzi pędziła za nimi, groźnie potrząsając nożami, kijami. Na czele gromady biegła kobiéta, którą przewrócił przed chwilą.

Pierwszą jego myślą było schronić się do oberży, z okien jéj słów kilka przemówić do ścigających i uspokoić ich. Ale zbliżywszy się do placu, znajdującego się przed oberżą, spostrzegł, że w takim razie wpadłby był z deszczu pod rynnę.

Leżał tu bokiem jeden z jachtów, który morze wyrzuciło na brzeg. Po nad rozbitym statkiem wznosiły sią obłoki pary i piany wzdymającego się morza, a u stóp jego tańczył, szalał tłum grabarzy i majtków, którzy zrabowawszy oberżę, hulali, nie czekając, zanim powódź uniesie wszystko na falach.

Przez głowę hrabiego przemknęła myśl, że należałoby sił swo-

ich spróbować, ażali swoją powagą nie zdoła odwrócić nieszczęścia jakie groziło wsi całéj od tego rozbestwionego motłochu; ale ostatniemi czasy miał z nimi ciągłe zajścia, walcząc z bezwstydnemi ich żądaniami i bał się, by go nie rozdarto na sztuki, skoro ci jeszcze połączą się z tłumem, który gonił za nim.

Skręcił więc z głównéj drogi na małą uliczkę i znalazł się poza wzgórzami na wygonie wsi. Zdziwił się, ujrzawszy Karlę obok siebie; zapomniał był o niéj zupełnie. W niebezpieczeństwie, jakie im obojgu groziło, myślał tylko o sobie i siebie tylko ratował.

— W sam czas, zawołał; łotry ubiliby nas na śmierć! Karla nie odpowiedziała ani słowa. Pomimo krótkiego wzroku, z postawy i gestów ścigających zrozumiała co im groziło, zrozumiała i to, że w stanowczéj chwili ten, z którym jechała, opuścił ją, i że zawdzięczała życie swe jedynie rączości konia swego i umiejętności jazdy. Czy Ottomar byłby tak postąpił? czy byłby ją porzucił w nieznanéj wsi, wśród labiryntu uliczek i ogródków? mówiła sobie, chroniąc się przed gradem kamieni i kawałków drzewa, które za nimi rzucano. Tchórz jest, kocha siebie tylko, byłabyś się stała jego ofiarą.

— Przeklęta historya! myślał hrabia, wzięła mi to za złe, chociaż każdy inny z pewnością byłby tak samo na mojém miejscu postąpił. Nie znasz ich zuchwałości, rzekł głośno byle coś powiedzieć.

— Przeklęta historya! pomyślał znowu.

I tak milcząc, jechali obok siebie brzegiem wzgórz, tworzących jedyny wał, oddzielający ich teraz od morza, które z tamtéj strony huczało, ryczało straszliwie. Szczęściem, most na strumieniu, płynącym przed samą wsią, utrzymał się był jeszcze. Ale hrabia myślał ze strachem o pochyłości, którą przebyć musieli przed samym dworkiem Pöllitza, a któréj nie zasłaniały już wzgórza. Za dworkiem była jeszcze wprawdzie druga pochyłość, w stronę Golmberga, szersza i głębsza od téj, ale można było ominąć ją i grzbietem wzgórz dostać się do Warnowa.

Stanęli przed pierwszą pochyłością. Na prawo, gdzie wzgórza rozwierały się, wzburzone morze stało wysoko jak mur. Nie jedna fala musiała już przerznąć się na ląd, bo w niższych miejscach potworzyły się tu i owdzie mniejsze i większe jeziora. Nie było zatém ani chwili do stracenia. Śmiało! za mną Karlo! zawołał hrabia, pomykając naprzód.

Karla ani jednego nie odrzekła słowa.

— Wszystko się skończyło pomiędzy nami, rzekł hrabia do siebie; nigdy mi tego nie daruje.

Byli już na środku pochyłości, kiedy Golm z największém przerażeniem spostrzegł, że morze stojące między wzgórzami zaczyna się poruszać i jak gdyby posuwać ku nim.

— Na miłość boską prędzéj, prędzéj! krzyknął, ostrogami i batem pobudzając zmęczonego konia. Nie śmiał obejrzéć się, ze strasznego szumu co powstał naraz, wiedział, że morze goni za nim.

Zasapany koń drżącemi nogami oparł się wreszcie o podniesiony grunt i sam stanął. Koło niego Karla. Jak tego dokonała, hrabia nie wiedział a nie śmiał pytać.

Teraz obejrzał się. Płaszczyzna mająca przynajmniéj sto kroków, którą dopiéro przebyli, zamieniła się w jeden potok, który pieniąc się i szumiąc toczył swe wody. Nie było wątpliwości, że może wtargnęło na pochyłość, znajdującą się po drugiéj stronie dworku i że oba potoki połączyły się z sobą zapewne poza zabudowaniami. Pozostawał tylko jeden środek ratunku na tak zwane białe wzgórza.

Tymczasem konie przerażone łoskotem zwróciły się same i gnane instynktem tylko, w szalonym biegu popędziły w stronę wzgórz, które z daleka bielały. Jeźdźcy nie zdołaliby kierować nimi, chociażby chcieli, ale nie myśleli nawet o tém; niesieni jak gdyby wichrem, starali się tylko utrzymać na siodłach i z przestrachem patrzyli na szumiący potok, od których oddzielał ich tylko wązki pas ziemi. Pas ten zwężał się co chwilę, z każdym ich krokiem; kopyta końskie rzucały piasek aż w wodę. Nareszcie zziajane, drżące zwierzęta stanęły u stóp wzgórz, zaryły się nogami, zachwiały i runęły. Koń Karli padł pierwszy. O kilka kroków daléj Golm zeskoczył z siodła, a rumak jego jak martwa masa stoczył się do wody. Hrabia rękami i nogami trzymał się ziemi, powoli zaczął się posuwać w górę, chwytając się traw i niskich krzaczków. Pot spływał mu z czoła, nic nie widział, nie słyszał nawet ryku morza, które po drugiéj stronie straszliwie huczało. Pełzł, osuwał się, odpoczywał i znowu pełzł wyżéj, wreszcie na równiejszém jakiémś miejscu zatrzymał się, odetchnął i obejrzał jak nieprzytomny.

Niedaleko od siebie spostrzegł czarną jakąś masę. Byłaż to Karla? Jakim sposobem dostała się tutaj? Czy żyje jeszcze?

Poruszyła się. Podpełzł ku niéj. Karlo! zawołał.

Ona podniosła się na kolanach, jak gdyby powstać chciała, ale zaledwie ręce jego dotknęły się jéj dłoni, wyrwała ją gwałtownie i przeraźliwie krzyknęła:

— Nikczemny! sama chcę umrzeć!

I śmiała się jak szalona. Długie jéj włosy rozplotły się i bezładnie wirowały koło głowy, warkoczami uderzając o ramiona; parę

promieni padło na śmiertelnie bladą twarz, którą przestrach i rozpacz okropnie wykrzywiły.

— Oszalała! mruknął hrabia i cofnął się w tył i coraz daléj usuwał, i chciałby jeszcze, jeszcze daléj, ale za mało już miejsca było na nich oboje. Nie mogli uciec od siebie, nie mogli nie widzieć, nie czuć siebie wzajemnie, byli tak niedaleko jedno drugiego, a może jeszcze będą musieli zbliżyć się. I któż wié, jak długo to trwać miało. Noc szybko zbliżyła się, noc ciemna, długa, nieskończona; na tę myśl dreszcz przeszedł hrabiego. Teraz już bystre jego oko ledwie wyróżnić mogło Golmberg, o ćwierć mili oddalony; dworek Pöllitza o kilkaset kroków leżący zdawał się coraz głębiéj zanurzać w wodę, która, jak daleko oko sięgało, pokryła wszystkie łąki i pola. A na prawo morze huczało, ryczało; pieniste szczyty olbrzymich bałwanów jak straszydła migały po nad wierzchołki wzgórz; tumany pary gnane wichrem kłębiły się, opasywały ich w około, przenikały odzienie i zimną wilgocią przeszywały aż do kości. A tam wciąż migało jakiéś czarne widmo! czasem tak blisko, że hrabia aż wstrząsał się, czasem znowu tak daleko, gdzieś aż koło Golmberga. Byłaż to postać kobiéty? Byłaż to ona, któréj usta przed godziną jeszcze dotykały ust jego? Nie, nie! to nie one! to straszydło skulone, nieruchome powstało z głębi tych fal, i dręczy go i przyprowadza do szaleństwa.

Nieszczęśliwy zakrył twarz rękami, krzyczał i płakał, wołał i klął, morze tylko odpowiadało mu groźnym rykiem, a burza wichrem, co się znęcał nad nim i szydził, jęcząc i gwiżdżąc.

Przypuszczenia Elsy nie omyliły jéj. Reinholda nie było w domu. Od samego rana wyruszył był na pełne morze, śpiesząc na ratunek parowca, którego burza zaskoczyła niespodzianie, a czaty nadbrzeżne spostrzegły zdaleka.

Pomimo tego jednak, za przybyciem do Wissowa, nowy duch wstąpił w Elsę. Spokojne twarze rybaków, ich ufność w umiejętności i zdolności marynarskie Reinholda i niezachwiana pewność, że tak on, jak ci co z nim popłynęli dadzą sobie rady i szczęśliwie wrócą, mimowolnie a zbawiennie oddziałały na przerażony umysł dziewczyny. Z radością przysłuchiwała się prostéj mowie wieśniaków, w któréj się wyrażało przywiązanie, jakie Reinhold potrafił już wzbudzić w ich sercu dla siebie; z kolei obchodziła ich chaty, rozmawiała z dorosłymi, głaskała dzieci, a wszędzie witana serdecznie,

czuła się już jak u siebie, jak między swoimi, jak między tymi, z którymi miała całe swe dalsze życie przepędzić.

Zwiedziła dom, który miał wkrótce stać się jéj własnym domem: skromny on był i skromne urządzenie jego, Elsie jednak wszystko się w nim podobało, wszystko odpowiadało jéj gustowi, jak gdyby go sama była urządziła.

Minęło tak kilka godzin na oczekiwaniu i rozmowie z rybakami, którzy upewnili drżącą baronowę, że bliskość morza nie powinna ją przerażać, wieś ich bowiem leżała o 40 stóp po nad poziomem morza, nie mogło im zatém grozić niebezpieczeństwo powodzi.

Po południu Elsa już coraz niespokojniejszą i niecierpliwszą była, pomimo zapewnień staréj gospodyni Reinholda, która utrzymywała, że naczelnik lada chwilę wróci, bo obiad już gotów. W istocie, niedługo potém zastukano do okna, wołając: łódź łódź!

Elsa jednym skokiem porwała się z miejsca i wybiegła za rybakiem, który wskazywał jéj drogę nad morze. Tu, dostawszy się na wzgórza, znalazła wielu rybaków, oczekujących na zapowiedzianą łódź. Jeden z nich zarzucił jéj gruby płaszcz na ramiona i mówił cóś do niéj, i on i inni, ale ani słowa z tego nie zrozumiała, oczami tylko wodziła po morzu, szukając łodzi. Na razie nic dojrzeć nie mogła, w tém niespodzianie ujrzała ją bliziutko brzegu, jak się zdawało, wyciągnęła ku niéj ręce, ale w tejże chwili łódź znikła w tém miejscu i ukazała się daléj, gdzieś na szczycie olbrzymiego bałwana. Następnie łódź wzniosła się w górę wśród piany i znowu z pianą opadła i znowu podniosła, i tak bujała długo, jak się zdawało Elsie, i nie mogła się dostać do brzegu. Naraz ujrzała ją znowu bliżéj i w téjże chwili kilkunastu ludzi wyskoczyło z niéj w morze i biegło ku brzegom, nie zważając na fale, co goniły za nimi. W jednym z przybywających Elsa poznała Reinholda, zbiegła ze wzgórza i zawisła mu na szyi. On ją podniósł w górę i nie wypuścił z ramion, aż postawił na piasku. Jak się potém dostali do wsi, co mówili z sobą, Elsa nie pamiętała; przyszła do siebie wtenczas dopiéro, kiedy zasiadła razem z nim u stołu i ujrzała go w inném już ubraniu, siedzącego naprzeciw i nie spuszczającego z niéj oka. Rozmowa wówczas szybko się między nimi potoczyła, pytania i odpowiedzi sypały się jedno za drugiém. Zajęci sobą młodzi ludzie nie prędko spostrzegli, że ciotka Walerya opuściła ich. Nie słyszeli także, jak posłaniec konny przybył z zamku i wręczył baronowéj list od Giraldiego.

François widział przez okno, jak baronowa przeczytała list, głośno się zaśmiała i podarłszy go na kawałki, pogardliwie rzu-

ciła go na ziemię. Powiédz twemu panu, że przyjadę, rzekła krótko.

Natychmiast kazała założyć konie, bądź co bądź, postanowiła zobaczyć się po raz ostatni z nienawistnym człowiekiem i wyrwać ze szponów jego choć drobną część ogromnéj fortuny swojéj. Tak pragnęła zapewnić przyszłość ukochanéj Elsie, tak chciała dopomódz Ottomarowi. Uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, że Elsa nawet nie rozumiała, o co właściwie jéj chodzi, że mogła przypuszczać, iż celem jéj jest osobista jéj przyszłość—jéj!—wielki Boże!

Obowiązki Reinholda nie pozwalały mu towarzyszyć Elsie; prosił ją tylko, by zatrzymała się we wsi w razie, gdyby na pochyłości prowadzącéj na zamek spostrzegła ślady wody.

W chwili, kiedy panie wsiadały do powozu, marynarze wysłani na zwiady wrócili. Nie znaleźli statku, do którego dążyli z pomocą, ale przeświadczyli się o wtargnięciu morza w głąb lądu, o wezbraniu potoku i niebezpieczeństwie, grożącém mieszkańcom okolicznym. Zawiadomili téż naczelnika, że na białych wzgórzach spostrzegli dwoje ludzi; kobiétę, która się nie poruszyła, i mężczyznę, który dawał im znaki. Marynarze usiłowali podpłynąć do nich, ale nie mogli.

— Któżby to być mógł? rzekła Walerya.

Rozbitki okrętowe, odpowiedział Reinhold, ale nie to myślał. Wiedział z pewnością, że nie mogli to być rozbitki, wiedział także, iż nie był to nikt z mieszkańców dworka Pöllitza. Rano dnia tegoż posyłał po nich łódź, ale dzierżawca odesłał tylko starszego syna swego i ludzi z bydłem; sam zaś pozostał ze słabą żoną, która tejże nocy powiła dziecko, i z siostrą swą Maryą.

Położenie Pöllitzów stało się niebezpieczniejszém jeszcze pod wieczór, ale tych dwojga na białych wzgórzach było nader groźném. Kto oni byli? Reinhold nie myślał o tém, nie chciał myśléć, wiedział tylko, że byli ludźmi, i że zginą, jeżeli on ich nie poratuje.

O tymże samym czasie prawie do oberży Warnowa przybył Ottomar z Ferdynandą.

Wprowadziwszy Ferdynandę do najlepszego pokoju, jaki posiadała austerya, Ottomar poszedł rozmówić się z gospodarzem. Zaledwie go odszukał w gościnnéj izbie, przepełnionéj dymem i gośćmi. Rozpytawszy go o drogę i rozmówiwszy się z woźnicą, który ich przywiózł, skierował się w stronę zamku. Szedł powoli, stawał czę-

sto, jak gdyby się namyślał, gdzie i po co idzie. Długa podróż w odkrytym powozie i szum wichru ogłuszyły go prawie i pozbawiły resztek energii; w głowie nie miał już żadnéj myśli, w sercu żadnego uczucia, pusto wszędzie. Zdawało mu się nawet, że nie będzie miał siły rzucić w oczy nikczemnikowi słowa pogardy, a przecie po to tu przybył jedynie. Po to, w istocie? I na co to wszystko? na co się zdało? Gdybyż przynajmniéj zobaczyć Elsę! Tego jednego chciał jeszcze, mógł chcieć. Kochał siostrę, kochał bardzo; chowali się prawie razem, razem tworzyli projekta przyszłości, razem marzyli o niéj. I cóż się stało z marzeniami temi? gdzie one? Gdzie sny młodości i szczęścia? Elsa, śmiertelną przejęta trwogą, drży zapewne w téj chwili o ukochanego, który naraża drogie swe życie, ratując biednych rybaków. A on sam?

Tak dumając, usiadł na kamieniu, nad brzegiem parowu, którym wieś zbiegała w nizinę, oddzielającą ją od zamku, położonego znowu na wzgórzu. Kamień chylił się widocznie w stronę parowu, podtrzymywały go tylko korzenie pięknéj, ogromnéj sosny, która, szumiąc i uginając się pod naciskiem burzy, pochylała się w tył, jak gdyby broniąc od upadku, i skłaniała ku ziemi gałęźmi, wypraszając się niby od zguby.

— Nam obu już nic nie pomoże, myślał Ottomar, patrząc na nią, oboje wisimy w powietrzu. I kamień nie uratuje nas, przeciwnie. Jeszcze jedna burza, a runiemy oboje! Jak mi Bóg miły, pragnę już tego! potok niech nas pochwyci i uniesie ku morzu i pamięć o nas niech na wieki zaginie!

A ona? ona, którą zostawił samę w nędznéj austeryi? Kiedy wychodził, rzuciła się na sofę i głowę ukryła w dłoniach, sądziła, że on nie widzi tego; zapewne, płakała nad ciężkim losem, co ją przykuł do człowieka słabszego od niéj. Ileż razy powtórzyła mu, że nie potrzebuje się troszczyć o nieszczęsną owę sprawę pieniężną, że ojciec jéj nadto dumnym jest, by miał odmówić na pierwszą jéj prośbę. W drodze jeszcze, na jednym z popasów napisała do niego i, odesławszy list, pieszczonym ruchem, jak matka synowi, co nabroił w szkole, odgarnęła mu włosy z czoła i rzekła: sprawa już załatwiona.

I cóż było załatwionego? Wszystko się skończyło, ale nic nie było załatwioném. I dla czego się tak skończyło? dla czego nie zginął na polu bitwy? Ojciec byłby mówił o nim z dumą, i nie byłby mu przysłał pistoletu, jak gdyby on sam nie wiedział dobrze, co mu pozostaje do zrobienia; Elsa byłaby go często wspominała. Kochana Elsa! jakże pragnąłby widzieć ją raz jeszcze!

W oberży powiedziano mu, że panie muszą tędy jechać, wracając z Wissowa, bo bliższą drogą, która przerzynała nizinę, niepodobna już było przejechać. Ottomar nie pojmował, co rozumiano pod wyrazem nizina. Cała miejscowość wydawała mu się teraz nie taką, jak mu ją opisywano, morze huczało tak blisko, jak gdyby tuż poza zamkiem, który trudno było rozróżnić w ciemności; światełka tylko w oknach jego migały chwilami, chwilami przesuwały się między zabudowaniami ognie, niby latarni; parę razy nawet słychać było jakieś głosy, i wołanie i ryk bydła. Może wreszcie i to wszystko było tylko złudzeniem zmysłów, które im dłużéj tu siedział, wystawiony na wściekłe pociski burzy, tém więcéj słabły i zdawały się zamierać. Deszcz i wiatr przenikał go aż do szpiku kości, chwilami jak błyskawica przemknęła mu przez głowę myśl, że trzeba wstać, trzeba stąd odejść, bo inaczéj zginie tu przy drodze, jak zabłąkany w pustyni, a jednak nie ruszył się z miejsca i znowu wrócił do wspomnień dzieciństwa, do drobnych wypadków pierwszéj młodości, do pierwszych obrazów życia.

Z sennéj téj zadumy wyrwało go niespodzianie rżenie koni, które usłyszał tuż koło siebie w parowie. Zerwał się z miejsca i w jednéj chwili stanął koło powozu. Powóz był próżny. Woźnica usiłował zatrzymać rwące się naprzód konie, przestraszone szumem potoku, który gdzieś w pobliżu nowe sobie żłobił łoże.

— Gdzie panie? spytał Ottomar.

— Wysiadły—na górze—spieszyły się bardzo—poszły kładką do parku. Boże! żebyż przynajmniéj na czas zdążyły!

W téj chwili potok, który się przedarł między wzgórza a zamek, wtargnął do parowu i bryznął falą aż pod nogi koni; przerażone zwierzęta, gwałtownie rzucając się i parskając, rwały się jak szalone, i woźnica nie mógł już dłużéj utrzymać ich, na szczęście nie był wypuścił dotąd z rąk cugli.

Z szybkich, urywanych słów jego, które w dodatku burza głuszyła, Ottomar tyle tylko zrozumiał, że Elsie groziło niebezpieczeństwo wielkie. Co to była za kładka? gdzie ona była? nie wiedział.

Biegł za woźnicą, wołając, pytając. Ten go nie słyszał.

Elsa tymczasem wraz z ciotką szybko przebiegły kładkę i szczęśliwie dostały się do drzwiczek parku.

Odszukawszy klamki, już ją naciskała pośpiesznie, kiedy niespodzianie otwarto drzwiczki z drugiéj strony i ukazał się w nich Giraldi.

Na jego widok, Walerya cofnęła się z przestrachem, nie spodziéwała się go. Skąd się tu wziął? skąd wiedział, że z téj strony przybędzie.

Był to prosty wypadek, ale przyzwyczajona do tego, że każdy jéj krok śledzono, zdawało się, że to spotkanie było przez niego przewidziane, przez niego ułożone.

Wysławszy François, Giraldi niecierpliwie błądził po pustych komnatach; zdawało mu się, że wrócił już do zupełnéj równowagi i że spokojnie będzie oczekiwał na skutek zabiegów swoich, a nie wątpił, że skutek ten będzie pomyślny. Walerya chcąc nie chcąc musi teraz uwierzyć, że syn jéj żyje, musi zatém wrócić do dawnéj uległości. Pomimo téj pewności, niepokój jego wzmagał się wciąż, nie wypuszczał zegarka z rąk i co chwila wodził wzrokiem po okolicach zamku. Okolice te w oczach jego zmieniały się; to, co widział z okien zamku, z okrągłéj wieży, do któréj drogę kazał sobie pokazać, zaczęło go nabawiać jakimś nieokreślonym strachem, a strach ten wzrastał w miarę, jak zmrok się zaczął zbliżać i zapadał powoli, i coraz czarniejsza, coraz straszniejsza noc nadchodziła. Tam, gdzie przed godziną jeszcze wąski pasek przerzynał nizinę, teraz szeroka odnoga morska toczyła pieniące się wały. Tam, gdzie przed półgodziną były tafle wody, sądził, że to są stawy, teraz było jedno morze, na nim dworek Pöllitza sterczał jak wyspa. A w dziesięć minut późniéj morze to złączyło się z odnogą. Jeżeli tak pójdzie daléj, to powódź zawita i do nas, i nikt już nie wyjdzie z domu ani ze dworu, mówił stary dzierżawca Warnowa, którego Giraldi rozpytywał się.

— Bo to widzi pan, mówił, pomiędzy nami a dworkiem Pöllitza jest wprawdzie podwyższenie gruntu, które od Golmberga aż do strumienia prawie przerzyna nizinę, ale za tém podwyższeniem po za nami, grunt obniża się znowu aż do wsi, zbudowanéj na wzgórzu, pomiędzy tą ostatnią a nami jest najgłębsze miejsce. Jeżeli powódź podniesie się jeszcze i dostanie się tam, wówczas może posunie się aż do stajen i stodół, szczególnie od strony parku, w takim razie zaleje i ten ostatni. Ot masz! znowu dach zerwało!

Dzierżawca pobiegł do zabudowania, którego słomiany dach burza oberwała: całe wiązki słomy po dziedzińcu tańczyły.

Giraldi spojrzał na zegarek, brakowało już tylko dziesięciu minut do szóstéj. François, który przed półgodziną jeszcze był wrócił, zapewniał, że pani niechybnie wyjechała za nim zaraz, że droga nie jest tak bardzo zła, i że na szóstą mogą być na zamku.

Giraldi wszedł do domu, chcąc raz jeszcze rozpytać François. Nie mógł go znaleść nigdzie, powiedziano mu tylko, że widziano go niedawno, jak szedł do parku, i że miał płaszcz na sobie.

Ma rozum, pomyślał Giraldi; chwycił pieniądze i umyka. Powinienbym iść za jego przykładem.

Chwila stanowcza zbliżała się, trzeba było zdecydować się na coś. Jeżeli Walerya nie przyjedzie wcale, albo przyjedzie zapóźno, wówczas niewątpliwie spotka się oko w oko z jenerałem, który w téj chwili musi wiedziéć już o wszystkiém. Przeklęty telegram w dodatku! Jeżeli Walerya przyjedzie i jak zawsze stanie po jego stronie, wówczas wygrana jego! A musi przyjechać, musi się zgodzić na wszystko! musi, musi! musi!

Wyraz ten wymówił głośno, uderzając nogami o mokrą ziemię. Sam nie wiedział, czego tu przyszedł; może szukając François, może chcąc się dostać do altany, z któréj, jak mu powiedziano, najdaléj można było sięgnąć wzrokiem na drogę prowadzącą do Wissowa. Ale gdzie tu myśléć o altanie, gdzie jéj odszukać w téj ciemności, która się coraz głębszą stawała!

A, otóż i ona, sam przypadek zawiódł go do niéj. Altana drewniana, o czterech słupach, stała na samym krańcu parku i przewyższała ogrodzenie jego na tyle, że wszedłszy na górę po wąskich jéj schodkach można było objąć okiem małą płaszczyznę, położoną między wzgórzami a parkiem. Rzędy kamieni wężykowato ułożonych tworzyły ścieżkę kamienną, ułatwiającą przejście téj niziny.

Giraldi objął okiem położenie całe. Na płaszczyznie tu i owdzie widać było większe i mniejsze tafle wody, ale po kamiennéj kładce można jeszcze przejść było. Morze straszliwie huczało, bijąc o wał, który sam tylko jeszcze zasłaniał nizinę, woda walczyła z ziemią, jeżeli ją pokona, jeżeli zmocuje wał, to i do parku wtargnie. Nie było więc czasu do stracenia. Trzeba było dowiedzieć się, czy Walerya nie przyjechała i w razie potrzeby wrócić do parku, przez kładkę dostać się do wsi, tam postarać się o konie i raz na zawsze pożegnać przeklęty kraj!

Jeszcze raz rzucił okiem na nizinę, upatrując oczekiwanego powozu, ale trudno już było rozróżnić cokolwiek, czarna zasłona nocy coraz niżéj spadała i coraz bliższe zakrywała przedmioty, kładka nawet coraz niewyraźniéj odbijała na ogólnie szarém tle. Ciemna jej linia zdawała się kołysać, kamienie poruszały się niby. Ale nie—poru-

szały się w istocie, to nie kamienie, to ludzkie postacie—kobiéty—dwie, szły po kamieniach, ona z tą nienawistną dziewczyną zapewne. Mniejsza z tém! to ona wracała, posłuszna jak zawsze. I dla czego wracała, przez bojaźń czy przez miłość ku odnalezionemu synowi? Mniejsza z tém, dość że nie potrzebował już teraz jak złodziéj umykać z porwanym skarbem, mógł znowu podnieść głowę, był panem położenia, jak zawsze!

Przebiegł wschodki i bukowy szpaler i dostał się do drzwiczek w parkanie, które poprzednio zauważał był, nie wątpił, że owa kładka prowadziła do nich. Silnie targnął drzwiczki, te otworzyły się, przeraźliwie skrzypiąc na zardzierwiałych zawiasach.

Drgnięcia Waleryi na jego widok nie dojrzał, chwycił ją za rękę i pociągnął w aleję. Elsa została sama u drzwiczek. Ciotka powiedziała do niéj: zostaw mię z nim samą! Okiem więc tylko pogoniła za oddalającymi się i z wytężonym słuchem czekała najmniejszego znaku, by pośpieszyć na pomoc téj, która na nią jedną rachować mogła.

Bystrym swym wzrokiem widziała ich idących aleją bukową zdawało się jéj nawet, że słyszy głos jego i pojedyncze wyrazy, błagającym powtarzane tonem: il nostro figlio – i jéj odpowiedź namiętnym wyrzeczona głosem: giammai, giammai! Daléj już nic nie słyszała—znikli w ciemności.

Nie mogąc zapanować nad niepokojem. Elsa wbiegła w aleję; w téj chwili ktoś szybko przemknął koło niéj, gwałtownie potrąciwszy ją nawet.

Elsa bez tchu prawie dobiegła aż do altany, wołając: ciotko, ciotko! Nikt nie odpowiedział. Koło samych schodek ujrzała kogoś leżącego na ziemi—pochyliła się—ciotka leżała bez ruchu, a z zimnego czoła krew płynęła strumieniem. Żyła jednak! cienkiemi palcami ścisnęła rękę Elsy, która ją objęła i wyszeptała, nie lękaj się! to nic, uderzyłam się o poręcz wschodów, kiedy mię odepchnął. Wolna! Elso, wolna!

Głowa jéj opadła; omdlała w skutek przestrachu i utraty krwi. Po chwili przyszła do siebie, usiłowała nawet podnieść się, ale znowu usunęła się na ziemię.

Elsa nie straciła przytomności; chustką i szmatą, wydartą z sukni, obwiązała ranę, myśląc zarazem, co ma zrobić: zanieść ciotkę na zamek, czy zostawić ją tutaj, a saméj pośpieszyć, wzywając pomocy. Zdecydowała się na to ostatnie jako na pewniejszą rzecz. Starała się właśnie umieścić ciotkę jak najwygodniéj, kiedy wtém wśród krzewów, drzew, szpalerów zasyczało przeraźliwie, zaszumiało

ze wszystkich stron, a tak potężnie, tak okropnie, że strach załamował oddech Elsie. Nie mogła na razie pojąć, co to takiego było, co się stało? Oglądała się w około, słuchała, szum się coraz zbliżał a coraz straszniejszy, wreszcie prawda błyskawicą jéj przemknęła przez głowę. Krzyknęła wówczas okropnie i chwytając ciotkę w pół, z siłą, którą rozpacz zdwajała, wniosła ją po wschodkach do altany, ratując siebie i ją od powodzi. Jeszcze nie dosięgła najwyższych stopni, kiedy najniższe woda już obmywała. Szumiąc i pieniąc się, woda z ogromnym łoskotem wtargnęła do parku i zalała go całkowicie.

Wewnątrz altany była ławka. Elsa posadziła na niéj ciotkę która raz w raz mdlała, i sama usiadłszy koło niéj, wzięła jéj głowę na swoje kolana i okryła ją jak mogła. Woda silnie wstrząsała cienkiemi ścianami altany; Elsa, drżąc przysłuchiwała się groźnemu jéj szumowi i modliła gorąco, by Bóg zesłał im na pomoc tego, co sam tylko mógł je uratować.

Kiedy kroki oddalającego się Ottomara przycichły, Ferdynanda wskoczyła z kanapy i z rękami załamanemi ponad głową obiegła pokój parę razy, potem rzuciła się znowu na sofę i twarz ukryła w dłoniach.

Nie płakała jednak ani wprzódy ani teraz: nie mogła płakać.

Nie miała już żadnéj nadziei i nie pragnęła nic, nic! chyba umrzeć za niego, kiedy żyć nie mogła, kiedy jéj życie nawet było ciężarem dla niego.

Czemuż nie usłuchała tego oficera o szerokiém czole i mądrych, dobrych oczach? Oszukujesz się pani sama, mówił do niéj. Ucieczka pani z Ottomarem nie tylko nie rozwiązuje, ale wikła jeszcze rzecz całą. Osią jéj prawdziwą jest oficerski honor Ottomara, skompromitowany w téj sprawie. Honor ten przynajmniéj pozornie musi być uratowany; musi i może teraz jeszcze—postarałem się o to. Ale jeżeli pani z nim pojedziesz teraz, to i najlepsi przyjaciele jego nie potrafią uratować tego pozoru. Człowiek, który w takiéj chwili, zamiast wytężyć wszystkie swe siły, by z zagrożonego honoru uratować o ile się da, a jeżeli się nie da, to przynajmniéj zapłacić za to chociażby życiem nawet, który, zamiast tego wszystkiego, w ruinę własną, w przepaść, którą sam sobie zgotował, ciągnie jeszcze tę, którą kocha, jak utrzymuje istotę czystą, poważną; taki człowiek niema prawa do niczyjego współczucia. Prędzéj czy późniéj Ottomar sam to zrozumié. Podróż ta do Warnowa najmniejszego w oczach

moich niéma sensu. Czego on tam chce? Giraldiego pociągnąć do odpowiedzialności? Ten odpowie mu po prostu: nie jesteś dzieckiem, powinieneś był wiedziéć, co robisz. Wyzwać hrabiego? Za co, kiedy z panią przyjedzie? Ale mniejsza już o to, niech jedzie, byle sam, byle nie z panią! Zaklinam o to: nie z panią! Wierz mi pani, miłość, któréj potędze tak wierzysz, która w waszém mniemaniu ma dźwignąć Ottomara z nieszczęścia—miłość ta okaże się bezsilną, gorzéj nawet, odbierze mu ona tę resztkę energii, na którą teraz zdobyć by się potrafił. Dla niego—jeżeli już o sobie myśléć pani nie chcesz—nie jedź z nim!

Dziwna rzecz! Słów tych słuchała wówczas, nie bardzo rozumiejąc ich znaczenia—teraz dopiéro wyraźnie stanęły jéj w pamięci. I wszystko się spełniło, tak jak przepowiedział; wszystko, co do joty.

Wszechpotężna miłość! cóż ona mogła? Kiedy mu mówiła o przyszłości, kiedy malowała ją w tak żywych wyrazach, które płynęły wprost z serca przepełnionego gorącą miłością—on odpowiadał na to zaledwie melancholicznym uśmiechem, roztargnionémi słowem, bo myśl jego wciąż się zwracała ku rozgniewanemu ojcu, ku szydzącym lub litującym się kolegom. Pieszczoty jéj nawet czemże dla niego były? Dreszcz ją przeszywał, kiedy wspomniała o tém; przyjmował je pobłażliwie, jak gdyby od dziewczyny obojętnéj już sobie, od kochanki, któréj przez delikatność nie chciał pokazać, że mu ciężarem już była.

Ona, tak dumna! ona, co marzyła zawsze, że miłość jéj tak potężną jest! ona, co go kochała wszystkiemi siłami serca, kochała teraz więcéj niż kiedykolwiek. Nic dla niego nie mogła, nic—nic.

Gdyby mogła umrzeć za niego i, umierając, powiedziéć mu: umieram szczęśliwa, jeżeli śmierć moja natchnie cię pogardą życia; gardząc niém, będziesz żył tak, by pięknie, chwalebnie umrzéć!

Ale dla miękkiéj duszy jego i to nie byłoby bodźcem żadnym, żadną pomocą, przeciwnie—jeden cień więcéj padłby na drogę życia jego i po téj smutnéj niepewnéj drodze szedłby daléj bezczynnie, bezsilnie i bezochotnie.

Zatopiona w rozpaczliwych tych myślach Ferdynanda nic nie widziała, nie słyszała nic w około siebie; zaledwie głowę podniosła, kiedy gospodyni weszla do pokoju i zapytała ją, czy nie potrzebuje czego?

Spójrzawszy na twarz bladą, na wielkie, smutne, bardzo smut-

ne oczy, wyraźnie nie pojmująca, o co chodzi, gospodyni nie ośmieliła się powtórzyć pytania: zadzwoni, jeżeli będzie potrzebowała czego, pomyślała sobie, i cichutko wyszła do drugiéj izby, chcąc obejrzéć, czy dobrze pozamykane tam okna. Zaledwie przymknęła drzwi za sobą, usłyszała w pierwszym pokoju głos męzki i cichy wykrzyknik kobiéty.

— Boże! powiedziała do siebie, u panów to zdaje się jeszcze gorzéj jak u nas. Przybyły mężczyzna mówił jakoś bardzo ostro i gwałtownym tonem. Ciekawość ją zdjęła. Zbliżyła się do drzwi i przyłożyła oko do szpary; zdziwiła się, ujrzawszy nie tego pana, co wprzódy przyjechał, ale jakiegoś innego, który zrzuciwszy z siebie płaszcz na ziemię, obydwoma rękami machał i coraz prędzéj, coraz głośniéj mówił niezrozumiałym językiem jakimś—jak waryat, pomyślała przestraszona gospodyni.

— Nie pójdę stąd, krzyczał Antonio, pół drogi biegłem, jak pies za swą panią, którą zbój porwał,—a połowę przeleżałem w słomie wozu, jak bydle, które wiozą na targ. Nie chcę być psem, nie chcę cierpiéć jak bydlę. Wiem już teraz o wszystkiém, wszystkiém, wszystkiém: jak ciebie porzucił i wrócił do tamtéj, a potém znowu do ciebie i leżał pod drzwiami twemi, a tamta i Giraldi dopomagali mu. Przeklęty człowiek! wsadzę mu nóż w piersi, jak tylko go spotkam jakem Antonio Michele! Wiem wszystko, wszystko—i to także, żeś mu się oddała duszą i ciałem.

Po pięknych ustach Ferdynandy przemknął uśmiech na wpół pogardliwy, a na wpół smutny.

— Nie śmiéj się, zakrzyczał Antonio z wściekłością, bo cię zabiję. Ale jak gdyby przestraszony własnemi słowami, natychmiast dodał:

— Przebacz mi, przebacz! Ja ciebie zabić, ciebie, coś wszystkiém dla mnie, światłem i rozkoszą życia mego! ciebie, dla któréj oddałbym wszystką krew moję! Pozwól mi tylko kraj szaty swojéj ucałować, ustami dotknąć ziemi, po któréj chodzisz, a nie chcę nic więcéj! I będę czekał długo, tak długo, jak już czekałem—i będę się modlił do ciebie i będę ci służył jak niewolnik, aż się wreszcie zlitujesz nademną!

I upadł na kolana i podniósł ku niéj drżące ręce.

— Powstań! rzekła Ferdynanda; sam nie wiesz, co mówisz, ani do kogo mówisz. Nie mam nic, nic do dania, nic do obiecania. Jestem tak biedna, tak biedna, biedniejsza nawet niż ty!

— Ja nie jestem biedny! zakrzyczał Antonio, zrywając się z kolan; jestem więcéj niż książe,—jestem Michał Anioł! jestem

więcéj jak Michał Anioł! Widzę już tłumy, idące naprzeciw mnie i śpiewające na cześć nieśmiertelnego Antonia Michele; niosą kwiaty, wiją wieńce na ozdobę arcydzieła boskiego Antonia! Czy słyszysz! czy słyszysz? tam! tam!

Na szerokiéj ulicy wsi rozległ się w téj chwili ogromny, pomięszany krzyk; po nim nastąpił hałas, na który składały się jednocześnie głosy tysiąca ludzi i szum burzy. Dowiedziawszy się o powodzi, która przebiła wał ochronny, mieszkańcy wsi biegli tłumnie na miejsce, gdzie się stało nieszczęście. Z wieży poblizkiego kościoła odezwał się jednocześnie ponury głos dzwonu.

— Czy słyszysz? wołał obłąkany, czy słyszysz?

I ręką wskazywał na biegnące tłumy i wzrokiem tryumfu spoglądał na Ferdynandę, która z przerażeniem patrzyła na niego.

Naraz śmiech szalony ustał; twarz się wykrzywiła straszliwie, w oczach zabłysł ogień śmiertelnéj nienawiści; ręką chwyciła się za piersi. Pod oknami dał się słyszeć czysty, donośny, rozkazujący głos: sznura—mocnego sznura, najdłuższego, jaki macie! i cienkich lin jak najwięcéj!—zaraz wrócę!

I szybkim krokiem, po kilka stopni naraz przeskakując, biegł ktoś po wschodach, prowadzących do pokoju Ferdynandy.

Z podniesionym sztyletem, wściekle wyjąc, Antonio rzucił się naprzeciw wchodzącego. Ale zanim jeszcze Ottomar próg przekroczył, Ferdynanda rzuciła się między nich, ciałem swojem zakrywając ukochanego i własną pierś wystawując na cios. Sztylet ślepą mierzony ręką ugodził w samo serce; nie wydawszy jednego jęku, jednéj skargi, Ferdynanda padła nieżywa w objęcia Ottomara. Morderca oprzytomniał nagle; straszliwy widok osuwających się martwych zwłok kobiéty, którą kochał do szału, wytrzeźwił na chwilę obłąkany umysł jego. Nagle pojął, co zrobił, czego dokonał własną ręką. Zapominając o znienawidzonym człowieku, którego zostawiał przy życiu, nie mogąc znieść dłużéj straszliwego dla siebie widoku, rzucił się do drzwi i w szalonych podskokach, wybiegł z domu przewracając wszystko po drodze. Tłumy, przerażone burzą, powodzią, jękiem dzwonu, krzykiem w oberży, nie wiedząc, co się tam stało, cofały się przed cudzoziemcem, co z rozwianym, czarnym włosem, potrząsając zakrwawionym nożem, biegł ulicą wsi.

— Morderca! morderca! trzymajcie mordercę! rozległ się okrzyk w oberży.

Morderca znikł w ciemności. W oberży pozostał okropny hałas. Wszyscy chcieli wiedzieć, co się i jak stało. Ci, co byli wewnątrz domu, rozpowiadali o strasznym wypadku, rozszerzając, objaśniając nieznane sobie szczegóły; inni chcieli koniecznie na własne

oczy widzieć to, co się stało, i tłumnie cisnęli się do austeryi. Między tymi ostatnimi był człowiek, co przywiózł był tutaj Ottomara i Ferdynandę.

Nie znalazłszy w austeryi dogodnego miejsca dla konia swego, postanowił był wrócić do Neuenfahr i właśnie krzątał się koło konia, kiedy ktoś go uderzył po ramieniu.

— Czy chcesz jechać ze mną, przyjacielu?

— Dokąd? proszę pana.

— Do Neuenfahr.

— Ile pan dasz?

— Co zechcesz.

— Siadaj pan! odrzekł woźnica, rad z pasażera, który obiecywał mu dać tyle, ile sam zażąda,—a żądać będzie niemało!

W téj chwili w oberży powstała wrzawa i wołanie na mordercę. Woźnica należał do rzędu ciekawych, rzucił cugle na wóz i pobiegł do domu.

— Nie prędko wróci, mruknął Giraldi. Mogę go znowu spotkać, i tak, to cud, że mnie nie spostrzegł.

Woźnica nadbiegł wkrótce.

— Zabito młodą panią, którą przywiozłem tutaj wraz z młodym panem, wołał wzburzony. Dla Boga! gdybym był wiedział, że to pan Werben, że młoda, piękna żona jego zostanie zabita przez jakiegoś cudzoziemca! Pewnie to był ten sam, co ich szpiegował już w Neuenfahr;—młody człowiek, z czarnymi włosami i takimiż oczami. I ten miał czarne włosy—wyraźnie widziałem—gotówbym przysiądz na to.

Tu począł kląć okrutnika, co zabił młodą, piękną panią. Widocznie gorzałka, któréj poprzednio wypił dużo, zaczęła działać na mózg.

— Czy zostaniemy tutaj? zapytał, widząc, że Giraldi, usłyszawszy o cudzoziemcu, cofnął się w tył.

— Nie, nie! jedźmy! dam ci dwa razy tyle, co zechcesz.

I wskoczył do powozu.

Woźnica pognał konie, wołając; z drogi! i uderzając po głowie tych, co nie dość pośpiesznie umykali przed nim. Za pieniądze, jakie miał zamiar zdobyć, można było przejechać kogo nawet troszkę w ciemności—w ciemności i burzy!

Woźnica wciąż był jeszcze pod wrażeniem strasznego wypadku. Bolało go to, że nie mógł przed znajomymi w oberży odegrać roli ważnéj osoby, co wiozła zabitą panią i wiedziała o niéj więcéj niż inni. Wynagradzał to sobie, rozpowiadając przed Giraldim roz-

maite szczegóły, z odbytéj podróży. Wspomnienia te tak go zajmowały żywo, że mówiąc o nich coraz wolniéj jechał, a wreszcie stanął. Daléj, daléj, zawołał podróżny.

— No, cóż tam panu tak śpiesznie? mruknął niezadowolony woźnica i jeszcze cóś chciał powiedzieć, kiedy podróżny uderzył go silnie po ramieniu, wołając: tam, tam!

— Dokąd.

— Tam jedź!

Na prawo wznosiło się strome wzgórze, a na niém stało wierzb parę; na lewo żuławy ciągnęły się aż do morza.

— Wyminiemy ich, rzekł woźnica, sądząc, że podróżny bał się spotkania na wązkiéj drodze z powozem, który ukazał się w ciemności o jakie parę set kroków przed nimi.

Podróżny znowu go uderzył gwałtownie po plecach.

— Czyś pan oszalał?

— Dam ci sto talarów!

— Za sto talarów nie chcę się utopić!

— Dwieście!

— Hop, hop! krzyknął woźnica, skręcając konie na lewo i z piaszczystéj drogi wjeżdżając na żuławy, które ciągnęły się stąd aż do morza, oddalonego na jakie ćwierć mili. Woda bryznęła pod kopytami; potém znowu nastąpił twardszy grunt; nie było tak źle jak się zdawało,—a 200 talarów! Hop! krzyknął znowu, poganiając konie.

Te biegły jak szalone—woźnica, zagłębiwszy się w uroczéj myśli o dwiestu talarach, na chwilę zapomniał o wszystkiém. Wreszcie, kiedy chcąc zwrócić konie w stronę drogi, oglądnął się, z wielkiém podziwieniem swojém nie dojrzał już ani drogi ani wierzb. Jednostajna równina otaczała go w około, tak że nie wiedział w jaką stronę ma jechać. Jadąc drogą, słyszał morze z lewéj strony, potém wprost naprzeciw siebie—teraz taki piekielny hałas był ze wszystkich stron,—czyżby morze tak blisko było?

Wytrzeźwił się odrazu. Okropny strach ogarnął go. Kto był ten podróżny, co mu obiecał 200 talarów, jeżeli umknie przed tamtym nadjeżdżającym powozem? Może to był wspólnik tamtego? miał takież czarne oczy i czarne włosy, a do tego czarną, długą brodę i niezrozumiałą cudzoziemską mowę! Może to był dyabeł?! Kupił duszę jego za 200 talarów, zwabił go na żuławy i tu mu zdejmie głowę! A dzieci, a żona?

Boże! Boże, już nigdy nie zrobię tego! szeptał z przestrachem. Wóz toczył się ciężko po czystéj wodzie, słychać było jak się przelewała między kołami. Woźnica uderzył konie z całéj siły—stanę-

ły dęba, ale nie ruszyły się z miejsca. Jednym skokiem znalazł się przy nich. Jeden tylko środek ratunku pozostał: odprządz konie i puścić je, by szły tam, gdzie instynkt je powiedzie.

Woźnica sądził, że podróżny zrozumiał go. Odprzągłszy drugiego konia, podniósł głowę, usłyszawszy na wozie hałas jakiś, i—włosy stanęły mu dębem: na wozie już nie jeden, ale dwóch było, trzymali się za gardło, dusząc wzajemnie. Jeden—jego pan jak gdyby prosił u tamtego o łaskę, drugi rzucał się i krzyczał, jak prawdziwy dyabeł;—a ten drugi—to był tamten morderca z oberży!

Woźnica nic już więcéj nie widział. Bezprzytomny prawie z przerażenia, nie oglądając się, wskoczył na konia i ścisnął go nogami—koń ruszył z miejsca, za nim poszedł drugi. Woźnica miał najprzód wody po pas, potem po ramiona—konie płynęły wciąż, dalej, po twardszym gruncie zaczęły iść, a nakoniec stanęły, drżąc całém ciałem. Człowiek obejrzał się gdzie był właściwie? Stał na wzgórzu, a przed nim była wieś. Musiało to być Fachwitz, w prostéj linii o pół mili od morza położone; za nim, w stronie skąd przybył—trochę się rozjaśniło, tak że mógł widzieć cokolwiek—było pełne morze, którego straszliwe fale biły wysoko, i pieniąc się i szumiąc. Bóg wie jak daleko—w głąb lądu toczyły się.

— Potonęli jak koty—a mój piękny wóz z nimi!—ażeby cię! Nie dokończył przekleństwa; zdawało mu się, że już teraz kląć nie powinien.

Zsiadł z konia, wziął cugle w ręce i krok za krokiem poprowadził je do wsi. Konie słaniały się idąc; jemu samemu nogi drżały tak, że ledwie doszedł do wsi.

Mały strumień, zasilony powodzią morską, zamienił się w olbrzymi potok, gwałtownie toczący swe fale. Wdarłszy się do parku, zalał go całkowicie, uderzył o altanę, któréj na razie zburzyć nie mógł, ale otoczył ją w około, jak gdyby warując sobie jéj posiadanie na przyszłość—daléj, utworzywszy sobie nowe łoże, szumiąc i pieniąc się, pędził między wsią a rzędem małych wzgórz, ciągnących się od strony parku w kierunku białych wzgórz.

Wieś zupełnie bezpieczna była od zalewu; najbliższe potoku domy wznosiły się o 15 stóp ponad powierzchnią jego; zdawało się niemożliwém, by woda podniosła się do téj wysokości jeszcze, tembardziéj że już przed kilku chwilami na jednę stopę spadła. Burza zwróciła się ku północy, a chociaż wciąż szalała wściekle, jakoś się

trochę jaśniéj zrobiło. Altana wyraźnie się rysowała na czarném tle parku, wyraźnie téż widzieć można było w niéj dwie postacie kobiece. Jedna z nich z początku wciąż chustką dawała znaki, ale potém usiadłszy w kącie, nie ruszyła się więcéj, jak gdyby wszelką nadzieję ratunku straciła i poddała się już losowi swemu.

Ratunek ten jednak zdawał się możebny; z belek i desek związano na prędce rodzaj tratwy i na próbę rzucono ją na wodę. Ale tratwa skręciła się natychmiast i stanęła na sztorc. Ci co trzymali ją za pomocą liny, z trudnością przyciągnęli nazad do brzegu. Zaledwie dokonali tego, kiedy olbrzymia fala wtargnęła do parku, uderzyła o altanę, wpłynęła do strumienia i rozbiła się o brzeg jego. Kobiéty krzyknęły—mężczyzni popatrzyli na siebie z niepokojem.

— Nic z tego nie będzie, odezwał się ten, co zdawał się rej wodzić między nimi. Zanim mieć będziemy tratwę, to już będzie po wszystkiém. Jeszcze jedna taka fala, a altana rozleci się—znam ją, drzewo zbutwiałe od dawna. Ale raz jeszcze sprobujmy; tylko o trzydzieści kroków wyżéj pojedziemy.

Sto rąk ofiarowało się do pomocy,—pokazało się jednak, że trzydziestu kroków zamało, trzeba było zrobić jeszcze drugie tyle. Znalazło się też kilku odważnych ludzi, co chcieli wejść na tratwę. Stanęli na niéj z długiemi drągami.

Daléj!

Tratwa jak strzała pomknęła od brzegu na środek strumienia. Hurrah! zawołano; zdawało się że cel zostanie dopięty. Ale nie, tratwa zatrzymała się na środku strumienia, skręciła na miejscu raz i drugi, tak, że ci co stali na niéj musieli się uchwycić rękami desek i tak popłynęli w dół, do tegoż samego co wprzódy miejsca. Ale pięćdziesięciu ludzi, co trzymało linę musiało wytężyć wszystkie swe siły, by nie wypuścić jéj z rąk, a ci co byli na tratwie, z największą trudnością i widoczném niebezpieczeństwem życia dostali się zaledwie do brzegu.

Tymczasem noc zapadła, i zupełna nastąpiła ciemność. Burza znowu zmieniła swój kierunek, a w skutek tego woda podniosła się znacznie. Pęd jéj zmniejszył się przez to i ułatwiał ratunek, ale nikt już nie miał ochoty do nowéj próby. Nie było sposobu przymocować liny po drugiéj stronie potoku, a zatém niepodobna było nadać pewny kierunek tratwie. Nie było przeto ratunku.

Wszyscy byli tego zdania.

W tém Ottomar stanął między nimi. Jednym rzutem oka zrozumiał całe położenie. Dajcie tu linę, krzyknął, i zróbcie światło! wierzby te!

Zrozumiano go natychmiast. Trzeba było podpalić spruchniałe drzewa, stojące nad brzegiem. Groziło to pewném niebezpieczeństwem dla wsi, ale nikt nie myślał o tém. Rzucono się do domóstw i za chwilę naniesiono pakuł, słomy, szczyp, któremi napełniono dziury w drzewach i podpalono je. Najprzód dym, potém płomieniste języczki ognia pokazały się i zwiększały co chwilę. Dziwne, mieniące się światło padło na blade twarze, które z przerażeniem patrzały na człowieka, co okręciwszy się liną, rzucił do strumienia i rozpaczliwą z nim walkę rozpoczął.

Czy zwycięży?

Nie jedne ręce podniosły się z prośbą ku niebu, niejedna łza popłynęła wówczas. Kobiéty padły na kolana, łkając, jęcząc i krzyknęły przeraźliwie, ujrzawszy znowu straszną falę, która przewaliła się przez człowieka i znikł w niéj.

Ale znowu się ukazał, fala odrzuciła go nazad, on zawrócił znowu. Dostał się wreszcie na środek, na najniebezpieczniejsze miejsce. Zdawało się, że nie pójdzie daléj, strumień unosił go w dół.

Ale dobre obrał miejsce, altana wciąż była poniżéj, powoli, powoli zbliżał się ku niéj wyraźnie, ukośną linią.

Zwycięstwo człowieka nad wodą zdawało się być pewném. Patrzący nie wątpili już o tém. Między nimi mężczyzna z krótkim, siwym włosem i wielkiemi siwemi wąsami nie spuszczał oka z płynącego. Przybiegł on właśnie ze wsi i, stojąc koło palących się wierzb, modlił się gorąco i obiecywał, że wszystko zapomnianém i darowaném będzie, byle ten ukochany, ten bohatérsko odważny syn ocalał. Modlił się z wytężonym wzrokiem i rozpacznie zaciśniętemi rękami; nagle porwał się z miejsca i, biegnąc nad brzeg, gdzie stali ludzie, trzymający linę, krzyknął ogromnym głosem: nazad, nazad!

Zapóźno!

Od strony parku ukazała się w potoku potężna sosna, u stóp któréj przed półgodziną zaledwie Ottomar siedział. Burza wyrwała ją i zwaliła do potoku. Ogromnemi korzeniami trzymała jeszcze kamień i posuwała się, posuwała wciąż ku płynącemu; wreszcie o kilkadziesiąt kroków od niego podniosła się na fali tak, jak rosła niegdyś, koroną w górę, zakołysała się lekko i całym ciężarem zwaliła na ofiarę swoję, koroną oplątała ją, ukryła w zielonych gałęziach i zanurzyła się wraz z nim, podnosząc korzenie do góry.

Dziwnym sposobem cienka lina nie zerwała się. Ze strumienia wyciągnięto człowieka nieżywego. Miał on jednę tylko szeroką ranę na czole, jak ten, co zginął z honorem na polu bitwy. Kiedy go

wyciągnięto na brzeg, jenerał ukląkł przed nim i ucałował blade usta jego. Potém podniósł się.

— Dajcie mi linę! zawołał. To był mój syn! a tam, to moja córka!

I zrzucił z siebie suknię i kamizelkę i opasał się liną.

Szaleństwo! pomyśleli obecni. Widzieliśmy jak młody walczył, a stary?

Ale w tejże chwili oczy wszystkich zwróciły się w inną stronę, na inny widok.

Wierzby, które zamieniły się w jeden słup ognia, od korzeni aż do szczytów, rzucały dzienne światło niemal na brzeg cały, na strumień, altanę, a daléj, na zalany park i aż na ściany zamku, w którego oknach tu i owdzie odbijało się czerwone ich światło. W tém świetle ujrzano wązką, piękną łódkę, która zatrzymała się najprzód koło tylnéj strony zamku i złożyła tam jakiś ładunek. Potém, wpłynąwszy do parku, skierowała się ku altanie. Sześć wioseł równo podnosiło się i równo opadało. Bandera powiewała za marynarzem, który siedział u steru. Jasne oczy jego stale, spokojnie tkwiły w altanie, chociaż serce przyśpieszoném, gorączkowém tętnem uderzało.

I wiosła biły coraz prędzéj, ale zawsze równo i wszystkie razem; ster ukośną linią wciąż prowadził łódkę do celu i zbliżał ją, zbliżał ku niemu coraz bardziéj, gdy naraz znowu olbrzymia fala potoczyła się środkiem potoku i, wysoko pieniąc, zakryła przed widzami i altanę i łódkę.

Kiedy obłok pary rozproszył się, nie ujrzano już altany, łódka tylko jak cień pomknęła daléj i znikła.

Widzowie odetchnęli; jeden tylko okrzyk rozległ się w powietrzu, jeden okrzyk, na który złożyło się sto ust: hurrah! naczelnik!

Łódź znikła, ale wiedziano, że unosiła z sobą ofiary, wydarte burzy i powodzi.

Czerwone promienie zachodzącego słońca wspaniale oświecały spokojną powierzchnię wody, która pokryła olbrzymie półkole między Golmbergiem a przylądkiem Wissow.

Łódka Reinholda lekko szybowała około białych wzgórz, o których stromą ścianę fala za falą rozbijała się. Ludzie robiący wiosłami, patrząc na wzgórza przypominali sobie ową straszną noc,

która, gdyby nie oni, byłaby się stała nocą zaguby dla dwojga istot co się tu schroniły.

Reinhold także pogrążył się w tych wspomnieniach i smutnie zadumał.

Na kilka dni przed tą straszną nocą widział pannę Wallbach, lekko przesuwającą się po oświeconym salonie Warnowa, śmiejącą i wesołą; a wtedy, jakąż ją ujrzał? Delikatna postać drżała febrycznéni zimnem, na twarzy był wyraz obłąkania prawie, przemokłe ubranie przylegało do ciała, długie włosy rozpuszczone, mokre, spadały na czoło i oczy. Reinhold zaniósł ją do łodzi, a kiedy złożył już tam, wówczas dopiéro poznając go, krzyknęła okropnym głosem: ratuj mię od niego! ratuj! i tak się uczepiła rąk jego, że zaledwie zdołał się uwolnić od niéj. Hrabia w podobnymże był stanie. Dwaj marynarze zanieśli go do łodzi i położyli blisko Karli, spostrzegłszy ją, oprzytomniał nagle, gwałtownie się zerwał z miejsca i rzucił na drugi koniec łodzi, o mało co nie wypadłszy z niéj. Tam padł i nieruchomie siedział, dopóki nie przybito do ścian domku Pöllitza. Jak tylko spostrzegł, że mieszkańców jego zamierzano również wziąść na łódź, zaczął krzyczéć jak szalony, że nie chce być razem z tymi jeszcze i rzucał się na ludzi, aż musiano mu pogrozić, że go natychmiast zwiążą, jeżeli się nie uspokoi. Wówczas dopiéro przestraszony zamilkł i twarz ukrył w dłoniach.

Patrząc teraz na okno wydarte, na mur, którego kawał obalono wówczas, Reinhold sam się dziwił, jakim sposobem udało mu się dokonać tego i w ciemnéj, burzliwej nocy przewieść nieszczęśliwych do zamku; burza rzucała łódką jak płatkiem, i były chwile, kiedy nawet odważne serce Reinholda drżało z obawy o te biédne istoty, co je z takim trudem ratował. Teraz jeszcze łzy stanęły mu w oczach, na wspomnienie tego obrazu, który miał wówczas przed sobą. Biedna, słaba matka z niemowlęciem u piersi leżała w łodzi, opierając głowę o kolana męża; nieszczęśliwa Marya litościwém ramieniem podtrzymywała omdlałą Karlę. Jakiż to był widok dla nędznika tego! Kiedy łódź przybiła do zamku, wyskoczył z niéj i z wyrazem wściekłéj nienawiści uciekł, jak uciekał Kain przed trupem ofiary swojéj!

Myśli Reinholda stawały się coraz smutniejsze przy dalszym ciągu tych wspomnień. Najdroższa jego została uratowaną, ale jakże drogo to szczęście okupiono! i czy za taką cenę godziło się to nazwać szczęściem? i czy było na ziemi istotne szczęście, jeżeli obok niego tak straszne wypadki rzucały czarny cień swój na wszystko i jakby żałobnym kirem wszystko pokrywały? Dla czegóż koniecznie musieli umrzéć? tak młodzi, tak piękni, tak bogato uposażeni!

A jeżeli musieli umrzéć, bo żyć nie mogli, bo śmierć, jedynie rozcinała powikłane nici smutnego ich życia, to czémże właściwie było życie, czém być mogło, jeżeli łączyło się z niém tak straszne przeznaczenie!

Łódź, okrążywszy park, zbliżyła się do miejsca, gdzie sczerniałe pnie spalonych wierzb sterczały na brzegu. Było tu już mnóstwo większych i mniejszych łodzi, z rozmaitych okolic przybyłych. Mnóstwo ludzi zbiegło się na wieść o tragicznéj śmierci dwojga kochanków; z ust do ust z rozmaitemi odmianami podawano sobie wzruszającą historyą o pięknym młodzieńcu, który kochał śliczną dziewicę, i uciekli od ojców swoich, i zła gwiazda szła za nimi i umarli oboje i dzisiaj pogrzebani być mają.

Reinhold udał się do wsi, gdzie miał się spotkać z prezydentem, który chciał się z nim widzieć, zanim się uda na zamek. Prezydent czekał już na niego, i spostrzegłszy z daleka wyciągnął do niego rękę.

W milczeniu uścisnęli sobie dłonie, prezydent melancholijnie się uśmiechając, przemówił:

— Prawdziwi z nas prorocy! Cóżbyśmy nie dali za to, by się okazało, żeśmy fałszywi? Niestety! nie omyliliśmy się. Pańska powódź, dzięki Bogu minęła już; moja długo jeszcze szaléć będzie. Dumny jestem z ciebie, przyjacielu; mało kto poszczycić się może tém, czegoś tu dokonał w tak krótkim czasie. Musisz się czuć szczęśliwym, uratowawszy tylu ludzi. Szczęścia tego nie powiększy wprawdzie wiadomość, którą ci przywiozłem, ale słuszna jest, by takie jak twoje czyny w obec świata także odebrały nagrodę swoję. W dodatku, nie zapomniano dotąd sprawozdania pańskiego, które wówczas tyle krwi napsuło; gdyby ministerstwo poszło wówczas za radą pańską, nie straconoby tyle milionów nadaremnie. Minister kazał panu wręczyć medal na wstędze w imieniu cesarza i zapytać, czy chcesz pan wejść do ministerstwa jego albo do marynarki. Masz pan przed sobą drogę otwartą i sobie to zawdzięczasz jedynie. Uznanie zasług pańskich i nadanie wyższéj posady będzie sprawiedliwém zadosyć uczynieniem dla teścia pańskiego, którego los tak ciężko dotknął; obecność zięcia i córki w Berlinie będzie téż dla niego wielką pociechą teraz.

— Jakże pan dobry jesteś, że myślisz o wszystkiém, rzekł Reinhold wzruszony.

— Cóż w tém dziwnego? czyż nie jestem przyjacielem rodziny? czyż sam nie zawiadomiłeś mię o wszystkiém, co tu zaszło? I dobrześ zrobił, lepiéj niż kto inny mogę poradzić i dopomódz w tym razie. Wszystko już obmyśliłem, a nawet pierwsze porobiłem kroki.

Później opowiem to panu szczegółowo; teraz tyle tylko, że dobra baronowéj zostaną przy rodzinie, bo Golm i towarzystwo zrujnowane zgodzić się muszą na wszelkie warunki, a już ja w tém, by warunki te nie były dla nich korzystne; nie zasługują na to. W najlepszym razie jednak będą to tylko szczątki ogromnéj fortuny, bo główna jéj część przepadła wraz z Giraldim, jak się zdaje.

— I ja tak sądzę, odrzekł Reinhold. Wnoszę tak ze wszystkiego com słyszał od owego człowieka, który go wiózł téj nocy. Rozpytałem go dokładnie i żadnéj, jak mi się zdaje, nie podlega wątpliwości, że obydwaj zginąć musieli, a z nimi pieniądze.

— Szkoda, szkoda, przerwał prezydent. Tak ogromna fortuna! Ze wszystkiego wnosić można, że miał przy sobie cały milion. Ileż dobrego można byłoby zrobić pieniędzmi temi! Baronowa zna wszystkie szczegóły historyi téj?

— Wié, że Antonio jest zabójcą kuzynki mojéj, wié także, iż obydwaj spotkali się z sobą i zginęli razem. Mamy zaś nadzieję, że to, co najokropniejszém jest w téj historyi, wieczną dla niéj pozostanie tajemnicą.

— Nie wierzy w syna?

— Nie. Uważa to za wymysł Giraldiego, a my umacniamy ją w téj myśli.

Rozmowa urwała się na tém; Anders ze Strumminem nadeszli. Strummin zdaleka już wołał tubalnym swym głosem: Mam honor przedstawić panu mego zięcia! pan Justus Anders, znakomity rzeźbiarz! Wielki medal, panie prezydencie! Dzisiaj z Berlina przybył z moją córką i z pańską ciotką, panie naczelniku. Natychmiast zajął się urządzeniem pogrzebu, sala wygląda jak kościół! Tak, tak, szanowny prezydencie, taki artysta, czołem przed nim! I wyobraź pan sobie, pastor nie chce mieć mowy pogrzebowéj! w ostatniéj chwili odmawia. My, mój zięć i ja, byliśmy właśnie u niego, nie przyjął nas, chory niby na gardło. Piękna mi choroba! Probóstwo, które mu hrabia obiecał, siedzi mu w gardle! Anders i Reinhold oddalili się trochę na stronę i uścisnęli raz jeszcze.

— Wczoraj o tym czasie pogrzebaliśmy ją, rzekł Justus. Ferdynandy Pięta, którą ja kończę, stanie na jéj grobie. Tym dwom sam zrobię pomnik, mam już plan gotowy; Mieting powiada, że to będzie pyszne, ale ja chętnie zgodziłbym się przez całe życie rozbijać tylko kamienie, jak mówił o mnie wprzódy mój teść, gdybym mógł wrócić do życia tych dwoje pięknych, dobrych ludzi. A ten nie chce mieć mowy pogrzebowéj nad nimi dla tego, że stryj Ernest i jenerał postanowili złożyć ich w jednym grobie! Nie byli na-

wet publicznie zaręczeni, powiada, ale tamci nie chcą odstąpić od swego, trzymają się jak bracia. Przed chwilą stryj otrzymał depeszę telegraficzną; byłem przy tém i widziałem jak wstrząsł się cały, czytając ją. Przekonany jestem, że chodzi o nieszczęśliwego Filipa, pewnie go złapali. To okropnie, i ten cios jeszcze w takim dniu! Ale nie powiedział o tém nikomu, z wyjątkiem jenerała. Widziałem, jak odprowadził go na stronę, pokazał depeszę, i długo z sobą rozmawiali, potem ściskali się za ręce. Stryj Ernest, który przysiągł, że ręka jego uschnie, zanim się dotknie dłoni jenerała! A dzisiaj już razy kilka zapytywał mię, czy koledzy Ottomara, których zawiadomiłem o tém, przyjadą z pewnością na pogrzeb. Dla tego tak spóźniliśmy się z pogrzebem. Dla jenerała bolesną byłoby rzeczą, gdyby ich nie było. Jak gdyby sam nic nie cierpiał; co to za siła w tym człowieku!

— Kochany zięciu! zawołał pan Strummin.

— Dwieście razy już tak wołał mię dzisiaj, rzekł Justus z westchnieniem, zwracając się w tamtą stronę. Reinhold poszedł za nim.

I tak rozmawiając, wszyscy powoli posunęli się nad brzeg strumienia i zatrzymali naprzeciw zamku. Strumień nie pienił się już teraz i nie huczał, ale spokojnie, poważnie toczył swe wody, z lekka muskając pięć wielkich łodzi, na których wzniesiono tymczasowy most, prowadzący do zamkowéj bramy. Dach zamku i okrągła wieża jego i smukłe wieżyczki jaśniały zdaleka od promieni zachodzącego słońca. Na prawo szczyty drzew zalanego parku rzucały cień swój na wodę, która zdawała się aż do pełnego morza sięgać; nawet oczy Reinholda nie mogły dojrzeć wierzchołków wzgórz i zaledwie zdołały rozróżnić dach dworku Pöllitza.

Przeszedłszy most, dostali się na dziedziniec zamkowy. Ogromna przestrzeń jego napełniona była tłumem, który się zbiegł na pogrzeb. Zaledwie panowie weszli do zamku, na moście ukazał się wielki, świetny orszak. Grupa oficerów w mundurach, a na ich czele pułkownik—daléj kapitan—a potem podoficerowie i żołnierze.

Justus, który się był podjął urządzenia pogrzebowéj uroczystości, przyjął kolegów Ottomara i wprowadził ich do komnaty, gdzie towarzystwo zgromadziło się już. Potém skinął na Reinholda i wprowadził go do sali, któréj drzwi ostrożnie otworzył i natychmiast zamknął za sobą. No, jakże to znajdujesz, Reinholdzie?

Ogromną, wspaniałą salę, któréj okienice pozamykano, oświecało tysiące świec jarzęcych, umieszczonych między klombami cyprysów i młodych świerków, które półkolem otaczały obie trumny,

umieszczone na estradzie; estradę okryto dywanami i kwiatami ubrano. Wszystkie ściany ozdobiono bronią, którą Justus zniósł ze zbrojowni zamku i pięknemi odlewami starożytności, jako też oryginalną płaskorzeźbą, którą jeden z dawniejszych właścicieli Warnowa nagromadził był. Wszystko to wśród wieńców zieloności, i pęków kwiecia i mnóstwa świateł artystycznie piękny przedstawiało widok.

— Pamiętałem o obojgu, szepnął Justus; dla niego broń, dla niéj arcydzieła sztuki. Zanim zamkniemy trumny, muszę zwołać familią—pożegnaj się z nimi tymczasem, Reinholdzie!

Reinhold wszedł między trumny.

Jakże piękni byli oboje—piękniejsi nawet niż za życia. Na jéj tak dumnych niegdyś ustach spoczywał słodki, łagodny uśmiech: z jego twarzy śmierć starła niecierpliwe drganie ust, niespokojny, migający blask oka, a pozostawiła wyraz niezłomnéj woli, z jaką szedł na śmierć, któréj pieczęcią była szeroka, czerwona rana na białem czole.

Reinhold usłyszawszy za sobą szmer odwrócił się. Elsa, tłumiąc łkanie, zbliżyła się ku niemu, silnie uścisnęła rękę jego, a potém ucałowała blade usta obojga zmarłych:—jakżebym cię kochała, ty piękna, dumna siostro! szepnęła, pochylając się nad Ferdynandą.

Sala napełniła się wkrótce. Jenerał wniósł prawie Waleryą na estradę; ciotka Rikchen cicho płakała—stryj Ernest łagodnie obtarł jéj łzy i szeroką swą dłonią pogładził zbladłą twarzyczkę. Andersowi, patrzącemu na to, łzy w oczach stanęły.

W pół godziny potém cały orszak pogrzebowy przesunął się przez bramę, przeszedł most, wieś—zwrócił się na prawo i płynął powoli drogą ku cmentarzowi, oddalonemu o parę set kroków od wsi, a leżącemu na najwyższém wzgórzu.

Był to długi, uroczysty orszak.

Przodem szły dzieci, które zielonemi gałązkami słały drogę trumnom. Trumnę Ferdynandy zdobiły palmy i wieńce, nieśli ją marynarze i rybacy z Wissow. Na trumnie Ottomara były wojenne godła; zawdzięczał to Ferdynandzie: zamiast zginąć z ręki mordercy, poległ śmiercią walecznych, godny tego znaku chwały co go zdobył na nieprzyjacielu i co go teraz wachmistrz szwadronu niósł na jedwabnéj poduszce; godny, by ci, co go widzieli w gorących dniach boju, teraz odprowadzili na miejsce ostatniego spoczynku.

Za trumnami szli oba ojcowie; potem Reinhold prowadził Elsę; Sydonia i ciotka Rike pozostały przy słabéj Waleryi, daléj pułkownik

Rohl, Schönau, kółko oficerów, dalej szlachta z okolicy, tłumy marynarzy i wieśniaków.

Dochodząc już do cmentarza, jenerał szepnął do stryja:

— Czujesz się dosyć silnym?

— Teraz dopiero jestem znowu silny, odpowiedział stryj i ręką dotknął piersi, pod suknią na piersiach spoczywał niedawno odebrany telegram. Stryj Ernest jenerałowi tylko pokazał depeszę, o któréj wspominał Justus. Były w niéj te tylko słowa, skreślone suchym stylem policyanta: Filip Schmidt dzisiaj w nocy poznany, w chwili kiedy wsiadł na parostatek „Hansa“ jadący do Chili, zastrzelił się w swojéj kajucie. Zabrane pieniądze znaleziono przy nim nienaruszone. Jutro o szóstéj wieczór będzie pochowany.“

Biedny ojciec mógł sobie powiedziéć teraz, że nieszczęśliwy syn jego nie należał przecie do tchórzów, dla których życie jest wszystkiém, że dla niego także była granica wstydu, poza którą przekroczyć nie mógł.

Trumny spuszczono do jednego dołu.

Najbliżsi za życia stanęli też najbliżéj grobu. Stryj Ernest głową przewyższał wszystkich. Tłum niezliczony otaczał go. Stryj podniósł oczy i powiódł niemi do koła; wreszcie donośnym, dźwięcznym głosem przemówił:

— Moi przyjaciele! Mogę was tak nazwać, bo wobec wielkiego nieszczęścia, wszyscy są sobie przyjaciółmi. I to właśnie stanowi stronę kojącą, pocieszającą tragicznych wypadków. Ta to przyjaźń czyli wzajemna między ludźmi miłość powinna być osią ich życia. Biada ludziom, co zapominają o tém, co lekceważą wzniosłe słowa, że miłość jest najwyższém dobrem, i serca stęsknione do miłości zagłuszają żądzą ambicyi i próżnéj chwały!

— Biada narodom, co zapominają o tém i żyją w nędznym egoizmie i ślepéj nienawiści—żyją wieki całe, dopóki wspólny wróg nie wtargnie,—a wtenczas dopiero przypomną sobie, że braćmi są, i razem pochwycą broń i razem zwyciężać będą. Ale niestety! zaledwie niebezpieczeństwo minie, między sobą rozpoczną na nowo walkę o moje i twoje, walkę bez wstydu i miłosierdzia, walkę nie znającą ani pokoju ani prawa, z wyjątkiem prawa silniejszego.

— O, moi przyjaciele, doświadczyliśmy tego i sami pokazaliśmy jak nizko upaść może szlachetny naród.

— Niechże ta straszna burza, któréj ślady widzimy tutaj, będzie dla nas symbolem burzy, co huczy teraz nad niemieckim światem; niech i tamta oczyści powietrze nasze z jadowitych wyziewów samolubstwa, i niech jak tutaj pokój spłynie na niemiecką ziemię, i słońce nasze jaśniejszém niż kiedy uczyni.

— Oby ta nadzieja osłodziła ból nasz po stracie tych drogich nam zmarłych, nadzieja, że nienapróżno zginęli.

— I oto wzywają nas, starszych i starych! Tak, jak oni umarli chętnie i radosnie, nie pytając, czyby nie mogli żyć daléj—tak i my żyć musimy nie pytając, czybyśmy nie woleli umrzeć.

— I oto wzywają was—młodszych i młodych. Wzywają tém głośniéj, im dłuższa droga przed wami, im ważniejsze zadanie macie do spełnienia.

— Ty morze i ty słońce i ty ziemio biorę was za świadków przysięgi, którą składamy w obec tych przedwcześnie zeszłych ze świata: wyrzekamy się wszystkiego, co małe i nikczemne, i daléj żyć będziemy w świetle prawdy i kochać jeden drugiego wszystkiemi siłami duszy. Tego chce Bóg prawdy i miłości!

Głos mówcy ucichł, ale echo słów jego brzmiało w sercach słuchaczy, podczas gdy w milczeniu głębokim przystępowali do oddania ostatniéj usługi zmarłym, wśród zapadającego zmroku, i różowego światła, którém ostatnie promienie zachodzącego słońca oblały niebo, a niebo zdawało się z miłością przesyłać je na ziemię.

KONIEC.

DAWNE DROGI I SZLAKI

NA PRAWYM BRZEGU DNIEPRU

i ich znaczenie historyczne.

(Dokończenie).

Zdradzieckie były szlaki ale niemniéj zdradzieckim był nieprzyjaciel, który nabiegając temiż szlakami siła też zdrad i podstępów używał. Chcąc nagłą uskutecznić napaść Tatarzy najprzód przez szpiegów swoich puszczali po kraju postrachy o rychłym swoim jakoby nabiegu. Toż owe wieści o mających wkrótce nastąpić zagonach, z dnia na dzień wzmagające się, co chwila groźniejsze, ze wszech stron dolatujące, niewymownie powiększały ich obawę. I zanim rzeczywiste nadeszło nieszczęście, oczekiwano z trwogą mnóstwa niebezpieczeństw urojonych. Ten stan ustawicznego alarmu, te chwile spodziewanego a może tylko urojonego napadu nazywano językiem ówczesnym „trwogami tatarskiemi.“ Toż hetman Żołkiewski w czasie jednéj z takich „trwog tatarskich“ pisał: „Zastałem Ukrainę w wielkich *trwogach*: po zamkach strzelania z dział, *zabiegi*“ (to jest że ludzie kryli się po lasach i w niedostępnych miejscach). Inną razą w innym liście tenże wódz pisał: „tego czasu od *trwóg* cicho.“ Ale to puszczanie w obieg postrachów o napadzie była to tylko chytrość tatarska, bo gdy pomimo rozpuszczonych wieści nie napadali a ludność wiejska za uprzykrzeniem się trwóg w końcu wracała z „zabiegów“ i najspokojniéj osiadała po włościach, wtedy dopiéro nagle „bez wieści“ kiedy się ich najmniéj spodziéwano wpadali Tatarzy potrójnym szlakiem na kraj nie ostrzeżony, i już ubezpieczonych mieszkańców jak „grzyby“ wybiérali.

Napad ich niekiedy bywał bardzo gwałtowny. Zrazu dla zamaskowania pochodu szli małemi oddziałami składającemi się z 20, 30 lub 40 ludzi, ciągnęli cicho w ślepych tajnikach stepu niedościgłemi szlakami by im drogi kto nie zastąpił, ciągnęli ukradkiem nie rozkładając ognisk nawet, ale gdy się dostali do kraju osiadłego, wpadali doń nagle, gwałtownie, biegąc „jako lecą drapieżne ptaki, lub nakształt fal morskich albo pożaru wiatrem rozdętego rozlatywali się po okolicznych włościach,“ gdzie mnóstwo niewolnika i łupu zagartywali. Do miast i wiosek wbiegali najczęściéj nocnym obyczajem dla większego postrachu. Ale zdarzało się niekiedy, że i w wielkich masach wkraczali. Szlak którym szli oni wtedy czasem w szerz do pięciu mil zabiérał. „Drzewa w najogromniejszym lesie, pisze naoczny świadek, nie są tak gęste. Patrząc na to z daleka zdaje się, iż się obłok jaki podnosi od ziemi i coraz się powiększa. Straszne jest to widowisko dla niezwyczajnych oczu“ (Beauplan). Można wyobrazić sobie, że napad w takich masach uskuteczniony tém sroższe jeszcze krajowi najechanemu przynosił zniszczenie. Toż częstokroć bez wydania walnéj bitwy, bo téj unikali statecznie Tatarzy, tylko na bezbronną z nienacka napadłszy okolicę, swobodnie znów temiż samemi co przyszli uciekali szlakami, łupów mnóstwo i niewolnika nabrawszy.

Jakże smutnym i rozdzierającym atoli musiał być widok szlaków tych, któremi więźniów pędzono. Oto na całą milę ciągnął się kosz. Tatarzy na postronkach przy koniach jeńców prowadzili, lub jak trzodę owiec, przed sobą cały ich tłum pędzili. Jęk i płacz wszędzie dawał się słyszéć. Pełno było po polach dzieci, niemowlątek odbieżanych, które płaczliwie wołały. Współcześnie żyjący poeta Mikołaj Rej z Nagłowiec, narzekając na brak rządnéj w kraju obrony, tudzież na klęski przez Tatarów zrządzone, w jaskrawym przedstawia obrazie szlachcica z całą swą rodziną w zelżywy jassyr, pędzonego. „Oto przy powrozie jako złodziéj w niewinności swojéj skacze (szlachcic) przy koniu poganina srogiego; żonka jego u innego za biodrami ku większéj żałości a sromocie. Dziatki jego jako szczenięta wyjąc wyglądają z biesiag ku pociesze jego. Dym się kurzy za niemi a jeszcze tuż przed oczyma jego smaży się majętnostka jego, a po drogach wszędzie trzęsie się krew, czerwieniejąc się po ziemi, woła o pomstę do Pana swego“. (Spólne narzekanie wszéj Korony N. 1567 r.) Poezyi w tém wszystkiém jak widzimy nie brak, ale biédny ród ludzki, że ceną krwi i łez własnych, że takim tylko sposobem téj się poezyi swojéj dokupowywać musi.

Tatarzy zaś w odwrocie uciekali zwyczajnje dniem i nocą „nad

wiatr prędsi." Dla zmylenia pościgu szli plątanym krokiem, siły swe dzieląc na kilka hufców.

Czasem też Tatarzy, obawiając się, aby i im nie zastąpiono szlaku i nie wzbroniono dalszego pochodu, gdy szli np. *czarnym* szlakiem raptem wpadali na *Kuczmański* ale i tu widząc gotowość znów wracali i wpadali na szlak *wołoski*. Tak się zdarzyło w 1629 r. za Stefana Chmieleckiego. (Szahin-Giraj, Bibl. Warsz. 1852 r. str. 14).

Za Jagiellonów już, jak wiémy zaczęły trapić Ukrainę najazdy tatarskie, ale że ci starali się z Krymem dobre mniéj więcéj utrzymywać stosunki, jeszcze za ich rządów z kolei „dobre i złe lata" się darzyły (dobryi i lichyi lita) jak ówczesny dokument się wyraża, ale gdy Jagiellonów nie stało odnowiły się znowu, tylko na nierównie większą skalę, grabieże i zagony tatarskie. Szczególniéj po odjechaniu Henryka Walezyusza zaczęły się tak nazywane pospolicie: „tatarszczyzny." Kraj coraz bardziéj puściał a dziedzina szlaków się powiększała. Tak téż było za Batorego, a najwięcéj w pierwszych latach panowania Zygmunta III. Tatarzy téż w całym kraju po wszystkich gościńcach i drogach się wieszali. Północną Kijowszczyznę nawet w lasy zasunioną, plondrowali i o sam Kijów się ocierali. Toż w 1616 r. np. lustratorowie Królewscy dla trudnego przejazdu i niebezpieczeństwa od Tatar do Demidowa w pobliżu Kijowa w lasach położonego, zjechać nie mogli (Lustracya Wdztwa Kijow. 1616 r.) Król zaś Zygmunt III pisał w 1618 r. że „Tatarzyn niszczy, znosi Ukrainę, bliższe do państw tych wynajduje *przystępy i nowe szlaki* i już dwoma inkursiami *intacta loca* tego lata nawiedził" (życie Lwa Sapiehy wyd. Mostowski. Tom I-y, str. 405). Skądże się wzięły owe „przystępy i nowe szlaki"? Oto że teraz te bliższe przystępy ułatwiała pustynność okolicy tuż za Białącerkwią położonéj okolicy, która chociaż od książąt litewskich jeszcze w początkach XV wieku Semenowi Koszce i innym ziemianom była nadana, i zaczęła się osiedlać, ale od czasu jeszcze Zygmunta I, jak o tém już mówiliśmy, wraz z sąsiednią Bracławszczyzną tak była zniszczoną od Tatarów, tak opustoszała, że się była najzupełniéj w dziką zamieniła pustynię. Jak dalece okolica ta była pustynią czyli jak ją wtedy nazywano „umanją" dowodem są słowa ówczesnego biskupa Kijowskiego Wereszczyńskiego, który pisał, że w razie gdyby jazda polska zamierzała się udać ze stron Kijowskich na Zaporoże, to potrzebowałaby uprzednio, żywność Dnieprem na czółnach wyprawić i w kilku miejscach schodzić się z czółny temi dla brania żywności, albowiem od samego Chwastowa, Wasylkowa lub Białéjcerkwi musiałaby iść tylko dzikiemi polami w dół Dniepru. (Piśmiennictwo Maciejowskiego. Dodatki, t. III str. 213).

Kraj tak zagrożony, nawet jego dotąd „intacta loca“ koniecznie też stałéj i rządnéj potrzebował obrony. Aby więc położyć kres zapędom tak częstych najazdów, całą opustoszoną dolną Kijowszczyznę, w której kilka zaledwie mizernych na całéj ogromnéj przestrzeni rozrzuconych pozostało osad, postanowiono opatrzyć linią obronną zameczków. Owóż jeszcze dawniéj za Zygmunta Augusta, Fryderyk Proński wojewoda Kijowski na „pograniczu od Tatar“ dla poskromienia wycieczek ich, wzniósł był warowny zameczek w Białéjcerkwi (Star. Polska Baliński T. II. str. 490). Około tego czasu tenże król Zygmunt August, chcąc zabezpieczyć kraj od Tatar przez gęstsze zasiedlenie jego, wydzielał szlachcie darowiznę ziemską w tych stronach i tak w 1569 r. osadzono Chodorków „na szlaku tatarskim“ w 1571 r. Nowosilicę, na Irpieniu również nad Szlakiem (Rejestr ksiąg ziems. Kijow. Libr. 2 sub. lit. B.).

W 1574 r. dozwolono Jackowi Butowiczowi zbudować Zameczek w Brusiłowie „na szlakach tatarskich“ „ku wielkiemu a spokojnemu ubezpieczeniu od nieprzyjaciela pogaństwa tatar“ (Archiw I. Z. R. o horodach Część 5. T. I str. 78). Toż z pomnożeniem właścicieli ziemskich wzmagała się liczba obronnych miejsc, bo każdy z nich obdarowywał swoją wieś, „tak ku pożytkowi własnemu jak i innych mnogich imion i siół tak hospodarskich jak i w prywatném zostających posiadaniu“ (tamże str. 78). Następnie za Stefana Batorego w 1576 już w dolnéj Kijowszczyznie zbudowany został drugi z kolei po Białéjcerkwi obronny zameczek w Korsuniu przez ks. Wiszniowieckiego „na szlakach i przeprawach tatarskich, tak że odtąd Tatarzy czarnym szlakiem bezkarnie jak wprzódy przeciągać nie mogli.“ (St. Sarnicki Annat. sive de origine etc.). Ale jeżeli wtedy, to témbardziéj za czasów Zygmunta III, kiedy Tatarzy coraz to liczniejsze a coraz dotkliwsze zadawali klęski, w serce się kraju zapędzając, dźwiganie podobnych zamków i zameczków, osad warownych, było pierwszą niemal i jedyną onych dni troską; jakoż widzimy, że zamków „na szlakach“ w dwójnasób pod tę porę przybyło. Oto w tychże czasach stanął w Wasylkowie nad r. Stuhną obwarowany Zameczek (akty atn. Hist. Z. R. T. III. str. 309); toż w Hulanikach czyli Motowidłowce także nad tą rzeką Stuhną, Jan Aksak sędzia ziemski Kijowski wystawił znacznym kosztem „przeważne *propugnaculum* na samym czarnym szlaku i wstręcie nieprzyjacielskim“ (Lustr. star. Wzdłuż. Kijow. 1616). Romanowska nad r. Unawa tegoż samego czasu wałami się opasała (Balin Star. Polska T. II.) Te kilka zamków powstało prawie jednorazowo w wyższéj Kijowszczyznie, w niższéj za staraniem tegoż króla Zygmunta III. jeszcze ich więcéj przybyło, że z nich téż niektóre tylko wyliczymy.

I tak w 1589 r. zbudowany nowy zamek w Czehrynie, który jak powiedziano w przywileju erekcyjnym: „założony jest w takiém dobrém położeniu i na szlakach i przewozach tatarskich, gdzie nieprzyjaciel Krzyża Św. zwykł w państwa nasze wchodzić“ (arch. I. Z. R. o horod. część 5 t. I. str. 84). W 1598 r. postanowiono na sejmie zbudować zamek w Kaniowie i na budowę jego wyznaczone cło. (Vol. leg. II. str. 377). W 1609 r. za „znaczne i krwawe zasługi“ Walenty Kalinowski otrzymał pustynie „Umany“ nazwaną, gdzie zamek i osadę założył (Vol. leg. II str. 466). W 1616 r. w Krytowie stanął zameczek na „przeprawach“ tatarskich „nad Dnieprem i Tasminą, gdzie, jak powiada przywiléj, nieprzyjaciel Krzyża Św. zwykł w państwa w nasze wchodzić i szkody czynić“ (archiw I. Z. R. część 5. T. I str. 137). W 1622 r. nareszcie na czarnym téż szlaku zasiadły osady zbrojne: Lisianka i Targowica (Baliński star. Pols. T. II str. 511).

Toż te przeliczne zamki w „polach“ i na samych „szlakach“ postawione tamowały odtąd drogę Tatarom. Dzięki obecności ich, już i kraj dokoła zaczął porastać osadami, już i drogi zwyczajne, wozowe sięgały tak daleko jak daleko szły zaludnione ziemie. I jak nie dawno jeszcze w téj znanéj nam a rozległéj szeroce i pustéj smudze stepu za Białącerkwią szlaki tylko panowały wyłącznie, tak oto teraz za wzrostem tych tak zwanych „szlakowych zamków i osad“ drogi zwyczajne przeważnie już ich miejsce zajęły.

Toż dzięki opatrzeniu coraz to nowemi zamkami tych to dziczyzn umańskich, czerkaskich, czehryńskich czyli krócéj mówiąc „pustyń za Białącerkwią leżących“ jak językiem urzędowym ówczesnym nazywano je, łatwiéj było odtąd czuwać nad kraju całego bezpieczeństwem. Ale oprócz téj stałéj obrony wzdłuż szlaków urządzonéj i inne jeszcze wojenne na témże pogranicza środki i ostrożności zaprowadzono. Oto gwoli bezpieczeństwu i gotowości wojennéj. wzdłuż szlaków po całym kraju rozstawionymi byli na kurhanach lub wyniosłościach czatownicy; którzy z takowych wzgórzy „gołem okiem na mil kilka w około objąć mogli, i jak tylko ujrzeli zbliżających się nieprzyjaciół dla przestrogi stosy sygnałowe zapalali.“ Sygnały te, którym insze dalsze odpowiadały, z szybkością błyskawiczną dawały znać po kraju o grożącém niebezpieczeństwie. Nazywano tę sygnalizacyą po kurhanach pospolicie „jassą.“ Ale oprócz tych téż czatowników ostrzegających alarmowemi sygnałami czyli „jassą,“ byli inni jeszcze stróże szlakowi czyli tak zwani „szlakownicy,“ którzy cały kraj na oku mieli i „strychowali wszystkie szlaki, we wszystkie doliny zazierali, na Teligule, Kaczybeju, Karagai i Tehini, i aż do

samego morza po wiadomych sobie czuwali przesmykach" (Listy Żołkiew. str. 92).

Wiedzieli oni wszystkie „miejsc przyznaki" gdzie się pogaństwo w swoich *chachmęciech* chowało (Odymalski żałośna postać etc.), znali wszelkie Tatarów wybiegi, wszystkie „przeskoki" i „zaczajne ich znaki." Kraj téż dzięki temu ich czuwaniu odbierał w czas przestrogi, a Tatarzyn przestał już chodzić ukradkowym sposobem. Ludźmi tymi zaś zawiadywał zręczny zwykle i gorliwy szlachcic, który nosił urząd „strażnika trójdroża czyli trzech szlaków." Czuwał on z urzędu swego nad poruszeniem hord tatarskich (St. Sarnicii Annales etc.). Jednym z takich strażników był znany z częstéj wzmianki we źródłach ówczesnych dziejowych Wasyl Bosy (Ureki), który w swojéj „pałance Berszadzkiéj" wciąż czuwał, jak żóraw baczny jedyny do wywiadow; a tak się dał Tatarom we znaki, że się go jak ognia obawiali.

Toż Tatarzy teraz silne odnosili wstręty. Krom obronnych miejsc i w nich nieustannego prawie codziennego czuwania, krom ciągłych i wielorakich środków ostrożności, jeszcze wielcy wodzowie polscy trzymali, że tak powiemy na ramionach swoich bezpieczeństwo kraju. Hetmani z obozami swemi tedy wciąż na szlakach i na polach stróżowali i téj to usłudze krajowéj poświęcali życie całe. Toż od tego czuwania w polach wywiązała się podobno nawet instytucya hetmaństwa polnego (campiductor, hetman polny). Za Jana Zamojskiego Hetmana W. Kor. był czas „że tatarskie kopyto przez kilkanaście lat polskiéj ziemi nie deptało" (Żurk. Żyw. T. Zamojski str. 377). Inni nareszcie hetmani jak Stan. Żołkiewski i Stan. Koniecpolski „tak dzikie pola, opowiada współczesny głos, Żołnierzem przejrzeli i pomierzyli, iż co samoprawny tylko kozak starynny wiedział, to już lada ciura żołnierski na Ukrainie tego świadom i opowié i pokaże" (Okolski kont. djar. wojen. str. 88).

Na każdym niemal kroku wzdłuż tych starych szlaków historya ma co opowiadać. Tu waleczni żołnierze „oganiali się onéj mszycy pogańskiéj" jak się wyraża Birkowski lub nieśli tymże poganom odwet za spustoszenie. Tu ich „Mars zapraszał" do tańców z niewiernymi pod „urwiżywot" albo „szlak złoty." Toć na tych szlakach pierwotnie i herby w polnym zdobywano boju. Wiadomo, że przodek domu Ulanickich pogromiwszy na szlaku Tatarów (*od viam latam seu Tartarorum slakum et viam equis tartaricis tritam)* w nagrodę za męstwo otrzymał w herbie na czerwoném polu tenże niby *szlak*, dwoma księżycami zakończony i w poprzek przegrodzony szablą (Papr. Okols. Niesiec.). Toż również Aksakowie, Łosiatyńscy, Turowie zdobyli herby swoje „w marsowéj okazyi" na szlakach tatarskich. Stąd

to widzimy w herbach szlacheckich tyle łuków, strzał, kołczanów albo namiotów tatarskich. Synowie wielkich imion i fortun śpieszyli téż na szlaki, i piersiami swemi, zasłaniając całość kraju, wyższych stopni wojskowych i *insygniów* dowództwa krwią się dosługiwali. Ten i ów z pomiędzy nich dosłużył się tu i buławy hetmańskiéj męztwem i przewagami.

Owa znana piękna legenda o wyoranéj jakoby przez kmiotka na szlaku tatarskim buławie żelaznéj i zaofiarowanéj przez tegoż Rewerze Potockiemu, zdaje się być chyba aluzyą do rzeczywistego faktu dobijania się hetmaństwa, na szlakach, dzielnością i męztwem. I być może, że z téj racyi, szlaki, na których tegoż, tak znakomitego w ojczyznie, dosługiwano się dostojeństwa, nosiły także jak wiadomo i nazwisko „Hetmańskich.“

Gotowość zaś w dawaniu odporu nieprzyjacielowi na szlakach pod tę porę była ciągła, nieustająca. Kiedy w 1626 r. Tatarzy wpadli na Ukrainę „czarnym“ szlakiem, pamiętny wódz Stefan Chmielecki, rzucił się na ich spotkanie i pod Białącerkwią fortunną stoczywszy bitwę ogromny odbił plon, „tak że dzieci drabiastemi wozami rozwożono do miast i miasteczek, żeby je tam swoi poznali i odbiérali“ (Stef. Chmiel. Bibl. Warsz. 1852 Czerw. str. 529).

Kiedy w 1648 r. wieść się rozniosła o wtargnięciu jakoby Tatarów, to „chrobre rycerstwo—mówi współczesny—na podobieństwo orłów zleciało się i między Winnicą a Białącerkwią, szlaki zaległo i czekało na pogan, nie w *horodach* ale w *polu* chcąc ich witać“ (Akty otn. k. ist. Z. i I. R. III str. 105).

Teraz opiszmy każdy z osobna z tych szlaków, kierunek ich, i jak daleko i głęboko różnemi czasy sięgały, wdzierały się w serce kraju.

Trzy głównych ich było jak wiadomo, to jest „czarny,“ „Kuczmański“ i „Wołoski.“ Wychodziły one wszystkie jakby ze wspólnego pnia, z Perekopu, ale po wkroczeniu w głąb polskiego kraju na mnóstwo odnóg i gałęzi się dzieliły tak, że przeniesione na mapę jakby drzewa gałęzistego tworzyły podobieństwo. Bo téż każdy z nich jedną część kraju dotykał jakby krwawy miecz, którego rękojeść dzierżono w Krymie, a ostrze tkwiło po trochu wszędzie. Jakoż tak zwany „czarny“ przerzynał Ukrainę Dnieprową „Kuczmański“ Bohową a „Wołoski“ Dniestrową. Punktem atoli najbardziéj zachodnim, do którego dążyły i schodziły się wszystkie był—Lwów.

„*Czarny szlak*“ (meatus tartaris via nigra). Szlak ten nastał dopiéro wtedy, gdy jak to mówiliśmy wyżéj, granice ziem polskich cofnęły się już były od morza a Tatarzy zajęli stepy niegdyś w polskim będące posiadaniu. Zajął on miejsce tak zwanéj „drogi Kró-

lewskiéj“ idącéj od tychże stepów ku Kijowu równolegle prawie z Dnieprem. Sarnicki zostawił nam jego opis. Szedł on na Czerkasy, mimo Kaniowa, Kijowa i stamtąd zwracał ku Połonnemu, biegł przez Wołyń, sięgał Łucka i Sokola. Następnie atoli, już nie wiémy dla jakich powodów, ale jak się domyślać należy, dla niedogodności ciągłych przepraw przez dopływy Dniepru prawego boku, rzucił on stary kierunek i poszedł krajem najzupełniéj pustym od czasu, gdy ten zniszczonym został w XV wieku przez Tatarów. I ten to ostatni szlak aż do najpóźniejszych czasów przetrwał pod nazwiskiem „czarnego.“ Owóż ten szlak, zaczynając się w Krymie, naprzód przechodził przez Tawań, gdzie „Dniepr niéma jak 500 kroków szerzyny.“ W Asławhorodku przy Tawani stała straż turecka czuwająca bez przerwy. Daléj przeszedłszy rzeczkę Wielki Inguł nad rz. Bohem u brodu Kuczmańskiego dzielił się on na dwie odnogi, z których jedna była tak zwana na mapie Rizzi Zanoniego „niedojrzana droga“ wijąca się jak wąż olbrzymi przez „step umarłych;“ druga, był to szlak tak nazwany „Kuczmański“ czyli „Kerwan Joli“ (droga karawan), który przesuwając się pomiędzy Dniestrem i Bohem, przeszedłszy rzeczkę Kodemę, wchodził nareszcie w Ukrainę Bohową; „niedojrzana zaś droga“ daléj zwana „zły krok“ prowadziła do uroczyska „Czarnym lasem“ zwanego. I odtąd dopiéro szlak ten „czarnym“ się właściwie nazywał; może tak nazwany od tegoż „czarnego“ lasu, a może jak niektórzy twierdzą nazwany tak, że nim czarne kroczyło nieszczęście, niedola tatarska, lub, że szlak ten wśród zieloności traw niezmiernych i wysokich, czarną ubitą czernił się taśmą. Przez Tatarow „Dżorna islach“ był nazywany (Sęk. Collect. I str. 215). Tu w tym czarnym lesie, Tatarzy zwyczajnie taili się aż do zupełnego zebrania się (Bielski ks. VI str. 194). A przeciągali zwyczajnie tylko przez południową krawędź tego lasu cicho, chyłkiem, gdyż od północnéj strony tegoż lasu stała zwykle straż ze starostw Czehryńskiego i Kaniowskiego, która pilnowała ich przejścia i dawała o tém znać starostom i hetmanowi polnemu. Ale o blizko mającém nastąpić wtargnięciu Tatarów tym szlakiem kraj innego jeszcze rodzaju odbiérał przestrogi.

Oto zaledwie od pól nogajskich tatarskie na tymże szlaku zatętniły kopyta, już zwierz dziki i ptactwo przestraszone nawałą koni i ludzi posuwało się naprzód (Święcki opis star. polsk. II str. 78). Było to niemylną zapowiedzią bliskiego zawsze najazdu. Szlak zaś czarny, wynurzywszy się z „czarnego lasu“, prowadził daléj i szedł mimo Turję między lasem „Lebedyńskim“ a „Romczynem“ i „Werbiczem“ pomiędzy wierzchowinami rzeczek wpadających z jednéj

strony do Sinéj wody (Siniuchy), z drugiéj do rz. Taśminy, i u Olszany ze swoją się łączył odnogą, która oderwawszy się od niego u Sinejwody obeszła łukiem „Romczyn las“ i „Kiryłow las,“ i dalej połączone już z sobą dwie te odnogi biegły krajem dzisiejszym Zwinogrodzkim, uroczym, czarującym, ale pod ten czas najzupełniéj pustym. Pilnując się dalej międzyrzecza Gniłego Tykicza i Rosi, szlak ten tak zwane „czarne pole“ mijał, mijał dzisiejszą Taraszczę, i u rzeczki Juszkow roh, a następnie u rudy Cecylii przebywszy dwa brody, idąc równą wysoczyzną, okrążywszy Stawiszcze, przeciąwszy drogę wozową, idącą z Wasylkowa i Białéjcerkwi do Umania, przy wierzchowinie rzeczki Gniłéj Bachwy znowu na dwa rozdzielał się ramiona. Pierwsze z nich prowadziło w górę po pod Torczycę, i pomiędzy wsiami Lichaczychą i Matwiichą przeszedłszy bród na rzeczce Torczycy dochodziło do Wołodarki; tam jednak rzeki Rosi nie przechodząc, biegło wzdłuż brzegu prawego téjże rzeki aż do Jabłonówki, gdzie przez miejsce brodziste była przeprawa, skąd też droga zwracała ku Białéjcerkwi, które to miasto „pierwsze jak mówi Hejdenstein, stało Tatarom na drodze“ i do którego jak się wyraża Sarnicki, oni też ustawicznie „jak psy do kuchni zaglądali.“ Ale był czas, że to ramię dalej jeszcze sięgało, bo ku tak zwanym „horodom“ czyli wyższéj Kijowszczyznie, przechodziło przez Hulaniki (Motowidłówkę) i biegnąc następnie krętą taśmą wdług prawego brzegu Unawy mimo Chwastów, Romanówkę, Pawołocz rozdzielało się na mnóstwo pomniejszych szlaków i przesmyków, które wszystkie jak strzały z jednego Kołczana zwrócone były ku Polesiowi i pilnując się międzyrzeczy do każdéj prawie miejscowości tą lub ową *sugłowką* wstęp miały otwarty. Drugie zaś wyżéj rzeczone ramię, wykręcając się pomiędzy przytokami Uhorskiego Tykicza i Rosi; idąc mimo Piatyhor zmierzało do Babina. Ramię to jak się zdaje nosiło też nazwę „Udyckiego“ szlaku i na tym to szlaku w tak zwaném „ścisłém miejscu,“ to jest w miejscu szlak zagradzającém, w r. 1605 Hetman Stanisław Żołkiewski Kantemira murzę zniósł był zupełnie, odebrał wszystkie łupy i jeńców z Polski prowadzonych, a samych Tatarów mnóstwo wziął do niewoli (Piśm. Stan. Żółkiew. XXXXI. Bielowski). Nie wiemy gdzie mianowicie, ale w téjże okolicy inne jeszcze ramię od szlaku czarnego oddzielało się „szlakiem Krzywoparowskim“ nazywane, a znane ze wzmianek w źródłach (Dowód Ubikacyi.... dóbr Czarnéj Kamionki etc.). Od Babina zaś biegł czarny szlak równiną pomiędzy dopływami rzeki Rosi, i wierzchowiną téjże rzeki Rosi mimo Spiczyniec (dziś rezydencyi Sobańskich) mimo Zbaraż, potém wszedłszy na wysoczyznę Machnowiecką górującą na 600 stóp nad poziomem morza przechodził roz-

działem wód Bohu, Desny i Rastawicy, i u Nowego Pikowa (dziś Pikowca) rozdzielał się znowu na dwa ramiona: jedno z nich szło dalej na Chażyn do Ułanowa, drugie zwracało mimo Biłołówkę, wielką Czerniawkę, las Dzwiniaczę, przez Piatyhorkę do Czérwonéj, skąd szlak ten zagrażał Żytomierskiemu Polesiowi (arch. Tyszkiewicza, dawna mapa dóbr Białopolskich).

Od Ułanowa zaś główny czarny szlak nagle ku zachodowi zawróciwszy i idąc mimo staréj Sieniawy, starego Konstantynowa, wsi Bachłajow, kierowany zawsze topograficznemi warunkami, wchodził w drugi rozdział wód to jest pomiędzy dopływy Bohu i Słuczy i zmierzał w kraj obfity, wsie zamożne ku Połonnemu. Był czas, że szlak ten dochodził do Ostroga, Dubna, Łucka, Sokala i Lwowa (ob. mapę Ukr. przy opis. Beempl. i mapę Rizzi Zanoniego).

Szlak Kuczmański. Szlak ten zaczynał się jak i czarny na stepach nogajskich, ale oddzieliwszy się od tak nazwanéj „niedojrzanéj drogi“ i przeszedłszy na prawą stronę r. Bohu u Kuczmańskiego brodu, jak to mówiliśmy, pod nazwą już „Kerwan Joli“ już „Kuczmańskiego“ biegł wprost stepami ku Bałcie, dalej przesunąwszy się po nad wierzchowiną r. Kodemy, pomiędzy dopływami Bohu i Dniestru, mijał trzęsawiska Kodemy i u uroczyska późniéj przezwanego „Krzyżem Sobieskiego“ łączył się z odnogą swoją, która od Sawrania prowadziła. — Idąc zaś daléj pomiędzy dopływami Dniestru i Bohu biegł mimo Tulczyn, Krasne i minąwszy Morachwę podchodził pod Bar, „który patrzył na cztery szlaki“ (Bielow. Pisma Sta, Żółkiew. str. 342), albowiem jak się zdaje niedaleko tego miasta przeciągały jeszcze trzy inne szlaki: czarny, udycki i krzywoparowski. Szlak Kuczmański, idąc zaś dalej wzdłuż rzeczki Rów i wierzchowiną przytoków wpadających do Dniestru biegł do Czarnego Ostrowa gdzie według Zanoniego już nazwę „Czarnego“ przybiérał, i zbiegał na Grymałów, Zborów, Złoczów, Sasów, pod Lwów.

Szlak Wołoski. Wychodził też ze stepów tatarskich i przeszedłszy bród na Dniestrze zbiegał z Wołoszczyzny przez Pokucie i Buczacz, i wdzierał się w Ruś czerwoną. Nazywano go rozmaicie „Wołoskim, Pokuckim i Złotym,“ złotym zaś dla tego, że prowadził do krainy ludnéj, zamożnéj jaką była Ruś halicka i Lwowska, skąd też Tatarzy najwięcéj łupów wyprowadzali bogatych. Wołosi jeżeli w łupach tych sami nie brali udziału, to dozwalali Tatarom przewozić takowe przez kraj swój albo w nim przechowywać je, stąd w Polsce krainę ich nazwano „przewodnią złodziejską“ albo „złodziejarnią“ (Wacław Potocki. Poczet. herb.).

Szlaki te jednakże jak to z dotychczasowego naszego opowiadania dostatecznie wiadomo, nie zawsze się zapuszczały w kraj

głęboko; wgłębiały się one tak daleko jak daleko pustynność kraju na to pozwalała, albowiem w miarę jak zaludnienie naprzód w stepy się posuwało, to i one wstecz się cofały. Wszelako był czas, że nietylko w wyższéj Kijowszczyznie ale i w niższéj, niedeptane długo przez zagony tatarskie, pozamieniały się one na puste uroczyska albo na drogi zwyczajne wozowe. A było to przeważnie wtedy, kiedy w Ukrainie przy końcu panowania Zygmunta III i w ciągu rządów Władysława IV zakwitł był tak nazwany od współczesnych „wiek złoty.“ Było to wtedy, „kiedy dzięki lepszemu ubezpieczeniu granic, jak mówi historyk Piasecki, i przedsiębierczości, nastały w tych stronach pogranicza nieprzeliczone osady, nowo pozakładane zostały mocne warownie w miejscach stosownych, a wszystek ów przestwór pustych ziem za Kijowem, Bracławiem, Barem dawniéj tylko dzikiego zwierza przytułek, okrył się teraz w krótkim czasie wsiami i miasteczkami (Pias. in Chron).“

Toż od tego czasu jakby za różczką czarodziejską coraz to liczniejsze tworzyły się gospodarstwa, handel wzrastał, podnosił się przemysł, i tak wielkie rzeki jak wielkie i walne drogi i gościńce nowém się znów życiem zapełniły. Produkta i dostatki kraju przewożono na osi lub spławiano na statkach. Z dawnych akt widzimy, że w tychże latach z okolic Berdyczewa i Pohrebyszcz prowadzono zboże do portów w Kijowie lub Rzyszczowie (Regestr ks. ziemsk. i grod. Kijowsk.). W 1643 r. nowe celne komory od granic moskiewskich ustanowione w Kijowie, Czarnobylu, Czerkasach przyczyniły się niemniej do ożywienia ruchem kupieckim dróg Kijowskich (Vol. leg. IV str. 79). W tych téż latach kraj się zmienił nie do poznania, Drogi się ustaliły nawet w niższej Kijowszczyznie, która była jakby światem nowo odkrytym. I gdzie wprzódy ziemia leżała odłogiem, pusta, bez pożytku, wszędzie już teraz pług swoje z niéj ciągnął korzyści, i jedném słowem ludzie zachodami, usilnością, ziemia zaś urodzajnością wydającą tysiączne plony, przysparzała dostatków mnożąc wszędzie stateczną całego kraju pracę.

Jak dalece zaś kraj w te czasy był już wolnym od czambułów tatarskich, dowodziło téż między innemi to mnóstwo krzyżów przydrożnych, które u zbiegu dróg stały wznoszone ręką pobożnych.— Dawniej z wiosek na drogi bardzo się one nie śmiało wychylały, bo Tatarzy je wywracali, jak to uczynili byli przed laty, koło Karaszyna, gdzie jeszcze w obecnym czasie istniało uroczysko „wywrócony krzyż“ dla tego tak nazwane, jak mówi stary dokument, „że go Tatarowie przechodząc tędy obalili“ (Interrogatoria świadków w sprawie granicz. 1632 r.). W dobie atoli obecnéj już bezpiecznie mogły stać one, nawet wśród pól oddalonych od wiosek. W dawnych granicz-

nych dokumentach, z powodu tego, że krzyże przy drodze służyły częstokroć za znaki graniczne dóbr i włości, pełno przechowało się z tegoż czasu wzmianek o nich. I tak w rozgraniczeniu wsi Fasowéj z Byszowem w 1634 r., czytamy, że granica tych włości szła: „od rudki a tą rudką do krzyża na rozdrożu.“ Dominikanin Rozwadowski w swoich zapiskach nadmienia, że około 1637 r. na drodze do wsi Przeorki idącéj stał „wielki krzyż“ (Ewgen. Opis. Kiew. Sofij. sob. str. 30—33), krzyż przydrożny zwykle wyobrażał Bożą mękę, to jest Chrystusa Pana rozpiętego na krzyżu, na ramionach którego były umieszczone narzędzia męki a na wierzchu kogut blaszany godło czuwania.

Jednakże te błogie czasy, ten „złoty wiek“ jak go nazywano nie trwał długo. Oto nastąpiły czasy wielkiéj kozackiéj zawieruchy przez Bohdana Chmielnickiego 1648 r. wznieconéj; jeszcze potém prawie przez kilkadziesiąt lat trwającéj. Słusznie czasy te lud nazwał „ruiną,“ bo wiadomo z dziejów jak wtedy Ukraina upadła była, opustoszała, jak wszelki w niéj się obruszył porządek. Oręż kozacki podkopał w niéj własność, rozprzęgł pracę, zniszczył pomyślność.— Ludność częścią wytracona w bojach, albo przez tak nazwany przegon (zhin) przepędzona za Dniepr, zostawiła po sobie pustki. Ziemianie nie znajdując bezpieczeństwa w swoich włościach powynosili się byli na Wołyń i daléj. Miasteczka i wioski zniszczone w dzikie poobracały się uroczyska, a wkoło nich leżała ziemia pusta, bez ręki człowieka, bez pożytku. Ale jeżeli puste i odbieżałe stały wioski i miasteczka to cóż mówić o drogach. Z tych pustek i zniszczenia to chyba owe dawne nieszczęśliwe czasy, owe „licholecia“ się przypominały, czasy Mongołów, lub napadu Mengligireja, za których również jak teraz były puste i pozagubiane drogi. Wojna przerwała bieg handlu, nie było regularnych stosunków. Toż drogi opuszczone, teraz zaniedbane, w wielu miejscach zaniechane najzupełniéj, nie bite już śladami ludzkiemi, od których już stronił kupiec i podróżny, zaroślami się pokryły i tylko miejscami wśród pól i lasów głęboko w ziemię powrzynane, niegdyś idących po nich wozów koleje, dawny ślad ich zdradzały. O tém zaniechaniu w te czasy niewszystkich ale wielu dróg Kijowskich zostało kilka ciekawych świadectw w dawnych aktach sądowych. Pamiętano o drogach dawnych, bo częstokroć stanowiły one granice dóbr ziemskich, opuszczone lub odmienione przyczyniły w następstwie właścicielom ziemskim wiele niepewności i sporów. I tak w dokumencie z 1730 r. znajdujemy wzmiankę o drodze znanéj już nam tak nazwanéj „Iwnickiéj“ w czasie wojen Chmielnickiego czyli „ruiny“ zarzuconéj, a która następnie dopiéro za uspokojeniem się kraju, w innym niż w jakim szła dawniéj przeprowadzoną

została kierunku. „Gościniec Iwnicki“ mówi rzeczony dokument „ciągnący się z Kijowa za starodawną służył granicę, która strony obiedwie na fundamencie dokumentów i starożytnéj z niektórych ludzi wiadomości, nie za inny, tylko za gościniec do Kijowa ciągnący przyznają, co jednak częścią przez dawność czasu, częścią przez różne w ojczyznie, osobliwie w tym kraju nieprzyjacielskie rewolucye w czasie Chmielniczyzny czyli ruiny, gościniec tenże zarzucony w znacznéj się dystancyi odmienił, a tém odmienieniem wielką dyferencyą między dobrami Karaszynem, Fasową z jednéj a dobrami Byszowem z drugiéj w granicach uczynił etc.“ (z arh. Charlęskich).

Walne drogi, gościńce przewozowe, oddawna dla handlu przygotowane, a nawet mniejsze drożyny wieśniaczych wozów, zamieniły się znowu w bezdroża, manowce lub szlaki. Toż najbardziéj kraj przyległy Wołyniowi ucierpiał był; teraz zniesiony, opustoszony „nie inną tylko smutną“ — jak ówczesny powiada akt — „osiadłych niegdyś włości ludnych po sobie wydający postać, do dzikiéj i pustéj mogącéj się porównać Arabii“ był wszelkich téż pozbawiony urządzeń komunikacyjnych. Dopiéro od Pawołoczy do Kijowa zdążając, jako téż w dół Dniepru w okolicy Kaniowa, Korsunia, Umania, aż pod Czehryn ukazywały się pierwsze jakie takie drogi od sieliszcza do sieliszcza prowadzące, ale złe, mordujące, zaledwie utorowane. Był to punkt stosunkowo ludny, ile że tu w tę stronę naddnieprską ze wszystkich innych części kraju, zagarnęło się było w tę porę kozactwo, czyli raczéj zkozaczeni wieśniacy, i stąd ten punkt, ta okolica podniosła się była do znacznéj nawet wysokości zaludnienia. Ludność zaś ta szczególniéj skupiała się wzdłuż jedynéj walnéj, która istniała wtedy, drogi i wyciągała sobą jakby łańcuch od Tasminy do Kijowa. Tą drogą, był już znany nam dawniéj, tak zwany gościniec trypolski. Do téj głównéj drogi inne pomniejsze prowadziły, ale mało utarte, dzikie, nieprzebyte. Patriarcha antyochejski Makary w 1653 r. jechał z Czehryna do Medwedowki „dziką drogą;“ daléj z Medwina wielkim lasem i drogą niegodziwą, zarąbaną umyślnie dla obrony kłodami drzew powalonych. Nadto łotry i zbójcy na drogach i szlakach zagrażali, rozbijając podróżnych. Tenże rzeczony patryarcha, aby z Czechryna dostać się mógł bezpiecznie do Kijowa, miał przydaną sobie od Chmielnickiego eskortę zbrojną (The travels of Macarius patriarch. Wiedom. Ep. K. 1872 r. Nr. 18 str. 422).— Straszno było stąpać po tych drogach. Toż kupcy lub podróżni podróżowali wtedy chyłkiem lub obronną ręką, jak dziś się podróżuje np. po pustyniach Syryjskich między Beduinami, — ile że wszędzie rabusie kozaccy czyhali na ich życie lub mienie. Kupcy też zagraniczni poodwracali swe od Kijowa drogi.

Chmielnicki, koczując po Ukrainie stawał najczęściéj obozem w polach, nie po wsiach, bo tych nie było. Wytworzyły się stąd znowu koczownicze, wojenne drogi kozaków, na podobieństwo dawnych tatarskich szlaków, które w różnych kierunkach kraj poprzerzynały. W 1649 r. Chmielnicki w m. Czerwcu stał na ,,czarnym szlaku" za Żywotowem i połączywszy się z hanem Krymskim i Ordą, pokoczował daléj ku Międzybożowi (Lietop. samowid. str. 10). W 1650 r. stał tenże wódz Kozacki na „umańskim szlaku" (Akty służ. k. ist. I. Z. R. str. 443).

Jednakowe potrzeby rodzą jednakowe skutki. Kozacy w swoich łupieskich pochodach, podjazdowych i dorywczych wycieczkach, na równi z Tatarami potrzebowali przedewszystkiém i szukali tajemnicy. Jakoż gęste przeliczne jary, tajne i skryte przesmyki, jakie co krok nastręcza miejscowość Ukrainy, wybornie téj téż ich odpowiadały potrzebie. Umieszczeni w podobnych co i Tatarzy okolicznościach i stosunkach, tacyż sami przygodnicy jak oni, wykarmieni, wyhodowani na łonie stepu, zwaśnieni ze społecznością ustaloną i spokojną, wiele mieli Kozacy z Tatarami zgodności i podobieństwa. Tak jedni jak i drudzy tułali się wciąż po stepie, wojując chytrością i podstępem. Chciwi zdobyczy, żyli z łupieży i rozboju. Toż zazwyczaj, tak jak i Tatarzy, ruszali oni samemi polami, wioski jeśli gdzie jakie były omijając i idąc drogami, które sobie sami wynajdywali. W pochodach swoich trzech zwykle potrzebowali rzeczy: sąsiedztwa miejscowości nawodnionéj, lasu i łąki, bo bez wody, ogniska i paszy obejść się nie mogli.

Widzieli téż doskonale, gdzie mogiła, od któréj zawracać potrzeba było na lewo lub prawo; wiedzieli gdzie ukryte dalekie brody. Wzrok mieli tak jak Tatarzy bystry i nawykły wpatrywać się w pustynię. Kozak jak Tatarzyn wypręźał oko na przesmyku i nic się przed nim nie ukryło w téj przestrzeni. W ciągnieniu Kozacy mieli téż podobne jak i Tatarzy swoje przestanki, ulubione punkta zborne, swój obyczaj, swoję taktykę. Zabłąkani wśród stepu lub w jarów plątaninie, mieli dar szybkiego oryentowania się; wypadali z nich kiedy chcieli i znów kryli się, wedle potrzeby, w ślepych wądołach jakby ich ziemia pochłonęła, w wądołach, z których „chyba ptak wyśledziłby ich i porwał." Toć i ich szlaki, skryte zdradzieckie na wzór tatarskich, nieraz téż po stepów przestrzeni pełzały wężem, skradały się i plątały z tatarskiemi, tak jak i tatarskie improwizowane na prędce. Oto kiedy ordy nogajskie i białogrodzkie wypadły były zwykłym swoim szlakiem na Ukrainę, z zamiarem napadu aż pod Kijów, koło Stawiszcz atoli, opustoszałych w tę porę, opowiada Wieliczko, natrafiły one na szlak wśród stepu pułkownika

Paleja, to jest na świeży trop jego przejścia, skierowany ku ich ziemi, a więc zaniechawszy zamiaru dalszego wtargnienia, obrócili cugle koniom i pędem poszli w trop, w kopyto za kozakami. I takie to szlaki dorywcze co chwila i wedle potrzeby były przez Kozaków wydeptywane wśród stepów, w pochodach ich. Toż gdy na Zadnieprzu hetman Romadanowski wyruszył był na wyprawę ku Czehrynowi, szlak, który przez puste sam sobie wynajdywał stepy, do dziś dnia od jego imienia nosi nazwę „Ramadana“ (Bantysz. Kam. II str. 192).

Takich szlaków, takich pamiątek koczowania lub jednorazowego czasem przez step przechodu kozaków, było pełno na Ukrainie. Tradycya dziś jeszcze pokazuje te miejsca.

Tutaj dla wiadomości musimy też osobne im poświęcić miejsce. Nie będą obojętnemi i nazwiska ich, jako odnoszące się do osób lub zdarzeń historycznych.

W okolicy Kaniowa dziś jeszcze tradycya miejscowa wskazuje na tak nazwany „Serpiażyn szlak“ który przez lud tamtejszy uważanym jest za bardzo złowieszczy tak, że nieraz można słyszeć ukrainca klnącego następnie: „A szczobyś popaw na Serpiażyn szlach“ (Bodajeś poszedł drogą Sierpiahy). Zdaje się, że szlak ten wziął swoje nazwisko od znanego w dziejach junaka kozackiego Iwana *Podkowy*, któremu kozacy dawali imię *Sierpiahy* i którego ścięto we Lwowie z rozkazu Batorego, jednak nie jako wodza kozackiego, ale jako przeniewierczego hospodara multańskiego (1578). Lud z tego historycznego faktu usnuł całą skazkę, o jakimś siłaczu z Kaniowa, którego jakiś król z dalekiéj krainy wezwał, aby się z córką jego królewną ożenił, z tém jednak, aby na dowód siły swojéj wprzódy udźwignął z ziemi umyślnie ukuty ogromny sierp, na którego podjęcie potrzeba było stu ludzi i drugie tyleż aby nim żąć. Siłacz z Kaniowa zgodził się, przyjął ten warunek ale przytém i swój następny położył. Oto zażądał aby tenże sierp wprzódy mu z onéj dalekiéj krainy do Kaniowa przywleczono po ziemi coby mu zrobiło drogę w jego podróży i odtąd to zrobiła się „Sierpiahowa droga“ od tego że ją zrobił „sierpiaha“ to jest ogromny sierp. Siłacz ów jednak pojechawszy tąż drogą do onéj cudzéj i dalekiéj ziemi, nie chciał się ożenić z królewną, za co mu król kazał uciąć głowę, a ciało odesłać do Kaniowa na większy żal ojca, co miał syna, który nie chciał ładnéj królewny za żonę i wielkiego królestwa w posagu (Izop. Athen. 1844 IV str. 63). Owóż siłacz ten ze skazki, przypada dziwnie do miary z Podkową, który jak wiadomo dla tego tak nazwany był, iż taką w ręku posiadał siłę, że łamał z łatwością dwie razem podkowy. Toż i ścięcie tegoż Podkowy, z rozkazu króla Batorego

we Lwowie, odpowiada téż nienmiéj tragicznéj śmierci siłacza skazkowego w obcéj ziemi. Tak lud z prawdziwego zdarzenia uprządł nieprawdopodobną baśń, pomięszawszy prawdę z urojeniem.

Starożytny szlak *Naliwajki* zdaje się pochodzić od znanego przywódzcy zbuntowanych kozaków; urywek jego istniał jeszcze w 1757 r. i przeciągał ze wsi Żurawki, do Korsunia (ob. rozgraniczenie stwa. Korsuń. z Mlijowszczyzną rękpsm).

Szlak *Butarski* dziś jeszcze pod tém nazwiskiem znany szedł na Iwnicę, Rużyn do Chwastowa. Może pochodził od znajomego w historyi starszego Zaporoskiego Pawła Buta (ob. Okols. Diar. tranz. wojen. str. 12).

W pięknéj i uroczéj okolicy Kaniowa, przewijał się stepami, snuł jarami, szlak tak zwany Sahajdacznego, pochodzący od znajomego w dziejach wodza kozackiego Piotra Konaszewicza (z podania).

W dzisiejszym zaś powiecie Wasylkowskim istnieje dotąd urywek szlaku nazwanego *Mazepin* szlak. Prowadzi on ze wsi Połohów do Mazepiniec. Być może, że wziął swe imię od hetmana Mazepy lub od którego z jego przodków (z podania).

Wzdłuż rzeki Rasawy przesuwał się tak nazwany *Iskryn szlak*, może tak nazwany na pamiątkę owego nieszczęśliwego Iskry, który wraz z Koczubejem był ścięty z rozkazu Mazepy, w Borszczajówce (arch. I. Z. R. Cz. VI. t. II. str. 411).

Na przestrzeni 14 werst, ciągnie się znów szlak zwany *Samusiew*, w Wasylkowskim powiecie, od Obuchowa między Trostynką i Jackami, niknąc w stepie u wsi Kamionki. Stary ten szlak jest w wielkiém poszanowaniu u ludu, połowa jego przechodzi przez ziemie włościan, lecz żaden nie śmie dotknąć pługiem szlaku, po którym „od Dniepru wychodził na wojnę ataman Samus' ze swoim tłumem“ (watahoju) (z podania). Samus' jest znajomy w historyi. Jan Sobieski postanowiwszy nad Dnieprem osobne hetmaństwo. Samusia zrobił hetmanem, dając mu na rezydencyą Winnicę, miasto w dzisiejszéj Podolskiéj gubernii. Lecz Samus' wkrótce połączywszy się z Polejem podniósł oręż przeciwko Polsce, tak że musiano się niejednokrotnie udawać o pomoc do Mazepy dla powstrzymania tego Watażki.

Ale najpamiętniejszy z tych kozackich szlaków był tak nazwany *Szpakowy*. Zaczynał się on od Lipowca, szedł na Krasne, na Bracław, a stąd skrytemi ścieżkami Kujalnikami głębokiemi, nieraz bezdrożami po brzegu stepowych rzeczek dochodził do Bałty, potém do Olwiopola, a nareszcie do przeprawy Nikityn na Dnieprze. Historya Iwana Szpaka co swoje imię powstałe z prochu szlakowi temu narzucił

jest krótka, ale pełna wyrazu i życia; jest to jedna z tych głów Ukrainy, które mają osobne nazwisko „bujnéj hołowki,“ i stąd burłactwo, hajdamactwo, życie rzucone za ustawy społeczne w przeciwieństwie z życiem spokojném, osiadłém, przygody pełne niebezpieczeństw, nakoniec śmierć haniebna, ale zasłużona, i temu wszystkiemu na finał samotna w stepie mogiła, mchem pokryty krzyż, gdzie ledwie wyczytasz pierwsze zgłoski zgubionego nazwiska; jakaś tęskna piosnka u ludu albo żałośna powieść o niejednéj krwawéj przygodzie z jego rozpasanego zawodu. Owóż szlak ten był siedliskiem tego sławnego zbójcy. Cały téż pod jego zostawał władzą.

Zbójca ten, będąc naczelnikiem rozbójniczéj bandy, krył się w okolicznych lasach w tak zwanéj „puszczy nadbohskiéj“ i wypadał z niéj dla mordów i rabunku. Na czele drużyny zbrojnéj, dwory rabował, po drogach zaś podróżnych rozbijał i obdzierał. Ale mordy i okrucieństwo nie zawsze były jego rzemiosłem. Przeciwnie czumaków, idących po sól do jezior krymskich swoją osłaniał opieką i bronił od „Komysznikow,“ innego rodzaju zbójców, którzy na czumaków wśród stepów napadali. Szpak czumakom dawał od siebie bezpieczny konwój, który prowadził ich obozy po prześlicznych dolinach i w bliskości wody, niezaczepiając wsi i nie wystawiając ich na niebezpieczeństwo w dzikiéj pustyni. Porządném ustanowieniem tych konwojów zjednał był on sobie wielką sławę u ludu. Jednakże jako zbójca z publicznych dróg, złapany w 1730 r. przez sąd Winnicki Magdeburgski był skazany na śmierć.

Inne pomniejsze szlaki kozackie były: *Kozacki* który szedł z Samhorodka do Morozówki (w. pow. Skwirskim) (dokum. z 1762 z archiw. Hańskich). *Bałakirski* prowadził przez Cybulow (p. Lipowiecki) (dokum. z 1777 z archiw. Rohozińskich) *Karadyński* przeciągał koło Teptijówki i Bohusławia (dokum. z 1799 r. archiw. I. Z. R. cz. IV t. II str. 566).

Ale po ustaniu burz Kozackich, po przejściu niebezpieczeństw koczowaniu i oddaleniu się Tatarów, naturalnie że drogi te dorywcze, przygodne, musiały zaniknąć, a po osiedleniu się kraju coraz dalszém wyparły je, że tak powiemy, zajęły ich miejsce gościńce i drogi zwyczajne, sposobne do jazdy wozem.

Nie tylko w wyższéj Kijowszczyznie ale i w niższéj, kraj zasiewając się osadami potrzebował nie samorodnych stepowych przesmyków usposobionych do koczownictwa, ale dróg komunikacyjnych dogodnych, ustalonych. Toć już teraz najoddaleńsze ukraińskie kąty, najsamotniejsze obszary zagarnięte przez wsie i osady, ożywiwszy się stosunkami ludzkiemi, wytknęły swoje pierwsze gościńce.

Ukraina toż, jak pisano wtedy nareszcie „zaczęła przychodzić *ad suum florem et meliorem* statum.“ Było to około 1713—1719 r.

Szlaki téż dawne tatarskie lub kozackie, przeciągały już teraz nie stepem dzikim, ale wśród pól roboczych, po większéj części zamieniały się albo na drogi wozowe albo zaniechane zupełnie, poprzeistaczały się w uroczyska, które już służyć odtąd miały za znaki graniczne dóbr. Toż nader często spotykamy spory w starych procesowych dokumentach dziedziców z dziedzicami o „skasowanie,“ „zaoranie,“ „rozrywanie‘ tego lub owego szlaku w następstwie w gościnice zamienionego, celem zatarcia granicy sąsiedzkiéj. Oto w te czasy np. szlak ów *czarny*, taki niegdyś straszny i złowieszczy dla kraju już się był teraz na zwyczajny zamienił gościniec, w około którego rolnik najspokojniéj chodził za pługiem. „Ponieważ szlak nazywający się *ab antiquo* czarny, mówi współczesny dokument, téż wsie Cymbałówkę i Jabłonówkę od dóbr różnych sąsiednich graniczy i *dystynguje*, W-żny obwiniony (Urbanowski) *cum summo praejudicio moderni haeredis* tenże gościniec rozrywać dopuszcza, przez co uszczerbek pól, gruntów nie mały się dzieje etc.“ (archiv. I. Z. R. T. I dodatki str. 551).

Na mapie Rizzi Zanoniego, widzimy téż wiele już traktów i dróg zwyczajnych międzywioskowych, krzyżujących się z sobą w niższéj Ukrainie. Między innemi trakt tak zwany „Karawański“ prowadził z Lipowca na Bosybród, Biłołówkę, Chwastow, Mytnicę do Kijowa. Był to trakt handlowy, którym szły karawany kupieckie. Nastał on za czasów jeszcze kiedy Turcy posiadali Kamieniec. Już Jan Sobieski starał się o to w Moskwie i w Wołoszczyznie, aby kupcy tureccy, idący z towarami do Moskwy i na powrót, nie szli na niższą Ukrainę, pod tenczas w Kozackich zostającą ręku, ale na komorę Sniatyńską i Białącerkiew swój kierowali gościniec (Barącz pam. dziej. polsk. str. 90).

Następnie w zapisie przedugodnym Karłowickiego przymierza (1694 r.) czytamy też w artykule VIII zastrzeżenie, aby kupcy obojga narodów (polscy i tureccy) nie prowadzili odtąd towarów *tajemnemi* drogami, lecz przez wiadome i powszechnie uczęszczane gościńce (Sęk. Collect. II str. 200).

Ożywiły się tedy publiczne drogi widokiem czynnego handlu. Długie karawany obładowanych wozów przeciągały Kijowskiemi dawno zaniechanemi gościńcami. Pojawił się znów na nich Tatar ze swoją dwukołową arbą, czumak Ukraiński z mażą skrzypiącą, żyd z bryczką brodzką i markietan z hołoblową powózką. Wszędzie na nowo rozpoczęło się życie i ruch.

Ale nie tylko sam ruch kupiecki ożywiał ówczesne drogi. Życie codzienne zwyczajne zaroiło się znów w kraju. Jarmarkowa lub odpustowa ludność spieszyła na targi lub *festy* do miast i miasteczek, pieszo i wozami. Wozy włościan, bryczki szlacheckie, *rydwany* pańskie (Op. akt. Knig. Kiew. centr. archiw. Nr. 9 str. 47) toczyły się i wymijały.

Bywały wszakże chwile, że całe to życie handlowe w bliższéj okolicy Kijowa, cały ów ruch kupiecki po drogach wiodących do tego miasta nagle ustawał. Wiadomo, że 1686 r. na mocy traktatu Grzymałtowskiego Kijów z okręgiem po prawéj stronie odpadł do Rossyi. Po nad Irpieniem i Stuhną została wyciągnięta granica. Owóż gubernatorowie Kijowa bardzo często pod pozorem jakoby uchronienia kraju od morowéj zarazy zamykali granicę. W kraju tak zamkniętym w obrębie mil kilkunastu, naturalnie, że wszelkie związki się przerywały, kupcy przestawali uczęszczać, mnóstwo płodów przez ten czas niezasilało już targów, jedném słowem wszelka dwóch krajów ustawała styczność. Drogi téż niektóre, prowadzące do Kijowa zupełnie zostały zarzucone. Z gazet ówczesnych dowiadujemy się, że w latach 1743—44—49 przez cały rok granica rosyjska była zamkniętą (Kuryer polsk. z tych lat). Pisze téż zarządzający Motowidłowszczyzną do dziedzica w 1781 r., że dla śmierci jenerała Jerszaninowa wicegubernatora Kijowskiego, póki na jego miejsce nie obejmie rządu jenerał Kufius, granica zamkniętą pozostanie. (Archiw. Motowidłowieckie).

Życie koczujące czumaków ukraińskich niemniéj téż przyczyniło się do zapełnienia ruchem gościńców i traktów tego kraju. Przemnogie *walki* tego burłaczego ludu co roku przeciągały temi drogami, udając się bądź na brzegi Donu po rybę, bądź po sól do Krymu i Besarabii. Jeżeli szli do Krymu, szlak ich zwyczajny prowadził na Humań, Hajsyn, Tulczyn, Sawrań albo na Hulajpol, Czehryn stosownie do okolicy, skąd pochodzili. Szlak ich Umański był to ten sam, w znacznéj części, o którym wyżéj była wzmianka pod nazwiskiem „Szpakowego.“ Póki żył Iwan Szpak, znany nam już ich opiekun i przewodnik, broniący ich od zaczajonych na stepie zbójców, to daleka ich podróż nie podlegała tylu niebezpieczeństwom co późniéj, gdy już walnego obrońcy nie stało. Jakoż po śmierci Szpaka, która w 1730 r. nastąpiła, hajdamacy w 1740 r. jak donosi ówczesna gazeta, półtorasta wozów czumackich na tym szlaku Szpakowym rozbili (Kur. polsk.). Ale to niebezpieczeństwo było jedno z mniejszych, bo nie zawsze bandy hajdamackie po kraju się plątały, prawdziwe dopiéro wędrownemu czumakowi zagrażało niebezpieczeństwo, gdy przechodził granicę turecką. Tu już moczył swo-

ją bieliznę w dziegciu od robactwa i dżumy, od czego zwał się czumakiem; nabijał gwintówkę, dobywał z wozu spisę, na piersi zawieszał „haman" to jest ładownicę, w której wydany bilet z pieczęcią i podpisem granicznego urzędnika z tureckim tego żelaznego listu tłómaczeniem, bo już daléj szły stepy nogajskie, straszliwe bezludzia.

Gospodarzący ziemianie też starając się o poprawienie stosunków i wydźwignienie kraju z upadku, w jakim po wojnach kozackich zostawał, to rolnictwo podnosząc, to jarmarki i targi w swoich urządzając miasteczkach, musieli też pomyśléć i o opatrzeniu i naprawie dróg miejscowych. Z niemałym też zachodem i pracą prostowano stare albo nowe urządzano drogi, lub też „meliorowano, jak się wyraża współczesny dokument, przeprawy, to jest groble i mosty na rzece Zdwiż i na innych przedtém za *ruiny* niesposobnych do przejazdu miejscach" (dokum. z archiw. Charlęskich).

Ale krom ziemian krzątających się na własną rękę, pojedynczo około dróg, na sejmikach tak zwanych gospodarskich w Żytomierzu lub Owrúczu, w zebraniu gromadném radzono też także o przeprowadzeniu do większego porządku dróg, przepraw i mostów.

Komisya Skarbu Koronnego wysélała od siebie rewizorów dla naznaczenia opłat nazwanych „grobelném i mostowém." I tak wedle ich postanowienia płacono „od wołu lub konia z ciężarem idącego groszy 3, od wieprzów pięciu, skopów dziesięciu grosz jeden." Opłatę tę pobiérano na mostach większych długością sto łokci przenoszących, od mniejszych zaś, „że w Polesiu snadna reperacya onych i by nie było uciążliwości kupcom, nie naznaczono" (wyp. ks. grodz. Kijow. 1775).

Dawniéj gospód czyli zajazdów ku wygodzie podróżnych nie było. Erich Lassota ajent austryacki, jadący w 1594 r. na Zaporoże musiał, jak sam opowieda, za Wołodarką, w polu nocować (Put. zap. Er. Lassoty str. 56). Teraz wszędzie tak zwane karczmy szlakowe dawały podróżnemu, jaki taki przytułek.

W ciągu lat obecnych kilkudziesięciu, drogi Ukraińskie były też świadkami przejazdów, już to osób panujących, już wielkich krajowych i zagranicznych dygnitarzy. W 1740 r. w m. Sierpniu jak donosi korespondent z Białéjcerkwi do Kuryera polskiego—Jenerał *en chef* Rumiancow, poseł pełnomocny rosyjski, jadący do Turcyi, przejeżdżał przez Ukrainę to jest: przez Wasylkow, Chwastow, Połowecką wielką, dalej przez Niemirow, Bałtę. Jechał z licznym orszakiem. W 1744 r. kiedy Imperatorowa Elżbieta przybyła do Kijowa, Fleming jenerał artyleryi, jako poseł od Rzeczypospolitéj, pospieszył z Warszawy przez Ukrainę do naddnieprowego grodu.

W 1746 r. Hetman wielki litewski Michał Radziwiłł, znany pod nazwiskiem „Rybeńko,“ jadąc do swoich dóbr Pohrebyskich, przejeżdżał przez Berdyczów, Białołówkę w asystencyi swoich posesorów i oficyalistów. W 1751 r. biskup koadiutor Kijowski Sołtyk, objeżdżał Ukrainę, wizytując kościoły; był w Berdyczowie, Chwastowie, Byszowie, Białéjcerkwi, gdzie konsekrował kościół Jezuitów, i skąd udał się następnie do Kijowa „tak dla widzenia ciekawości tam znajdujących się, jako téż dla zabrania — jak mówi gazeta, sąsiedniéj przyjaźni w wielu okolicznościach przy pograniczu potrzebnéj.“ Gdy wracał, z konwojem do granicy dla bezpieczeństwa był odprowadzany (Kur. Polsk.). Kiedy wielki książe rosyjski Paweł, z żoną swoją Anną Fedorówną, w 1781 r. jadąc za granicę, przejeżdżał przez kraj Polski, zwierzchność miejscowa spędziła ludność wiejską dla poprawienia drogi od Mytnicy do Białopola, którędy wielki książe przejeżdżał (Archiw. Charlęskich). Na stronie zaś rosyjskiéj droga od Kijowa do Wasylkowa, wedle nakazu, obstawiona była smolnemi beczkami, i 4000 włościan spędzono z okolic, aby ci w nocy za danym z Kijowa sygnałem zapalili takowe beczki, a to w miarę tego jak tabor podróżny książęcy coraz dalszym posuwał się gościńcem (Voyages pittor. de J. H. Müntz rękopism). Nareszcie w roku 1787 nastąpiła podróż króla Stanisława Augusta do Kaniowa.— Jechał na Berdyczów, Białopol, Czarnorudkę, Pawołocz, Chwastow, Mytnicę, Wasylów, Kahorlik; powracał zaś na Korsuń, Bohusław, Koszowatę, Stawiszcze, Piatyhory, Tetijów, Lińce, Niemirów i t. d.— Naruszewicz pisze w swoim *djariuszu* (str. 206), że pod przejazd królewski „posessorowie wiosek mieli attencyą ponaprawiać groble narzuceniem chrustu i słomy, jako zwyczaj tamtych krajów niesie; w niektórych też miejscach, gdzie była droga spadzista ciż względni posessorowie gościńce wyrównali słomą.“ Jednocześnie z bytnością króla Stanisława na Ukrainie przypadła podróż Cesarza Józefa II, który jadąc do Chersonu na Białocerkiew i Bohusław, w Korsuniu z Królem polskim był się spotkał (Narusz. diar. str. 296).

Ale przedtém wszakże był czas, mianowicie w całym ciągu panowania Augusta III, w którém tak zwani hajdamacy po całéj grasowali Ukrainie. Po lichych miasteczkach były sądy magdeburskie, które nie próżnowały i wjazd do swoich stolic ubiérały w szubienice, na których zawsze chwiał się na wietrze jakiś rozbójnik lub złodziéj. Ten widok przerażał podróżnego i dawał mu zmiarkować niebezpieczeństwo kraju; jakoż z innych części Polski niechętnie się tutaj puszczano, a było przysłowie: „pojechał na tamten świat za Berdyczów.“ Wałęsanie się różnych szajek hajdamackich, zagnieżdżenie się w jakim lesie lub jarze sławnego zbójcy, kwaterunek

gdzie na pograniczu chorągwi kawaleryi narodowéj i jéj utarczki z nimi, stanowiły jedyną treść kroniki miejscowéj. Hajdamacy zazwyczaj wkraczali w kraj polski, albo od strony stepów od Siczy zaporoskiéj, albo od granicy rosyjskiéj, od Kijowa, to jest od tak zwanych *czerneczych* pod Kijowem lasów, gdzie nad Stuhną i Irpieniem mieli oni swoje legowiska, swoje przestanki, ulubione miejsca zbierania się i własne drogi i przesmyki. Obecnie jeszcze przesmyki te są znane okolicznym mieszkańcom pod nazwą „złodziejskich.“ Były to jakby na wzór dawnych tatarskich lub kozackich szlaków urządzone skryte ścieżki, ukradkowe graniczne przesmyki, tylko na nierównie mniejszą skalę, w miniaturze, że tak powiémy. Wyplątawszy się z tych przesmyków, ciągnących się wzdłóż granicy, dokoła pustynią, jak tego traktaty z Rosyą wymagały, okolonéj, hajdamacy wpadali już na walne gościńce i drogi polskiego kraju, i tam już czatowali na podróżnych...

„Są w tych obszernych polach, mówi współczesny pisarz, wysokie i szerokie mogiły, a na wierzchu ich obszerne doły jak studnie, gdzie to hajdamaków, to kozaków z końmi wiele się kryje; stamtąd na gościńce walne, jak z strzelnicy patrzą, a upatrzywszy kupców podróżnych lub podjazd w małéj kwocie polski, ścieżkami sobie wiadomemi, z owych mogił wypadają, rabują i znoszą“ (Chmieln. Now. Aten.). Przejazdy téż w tych czasach, jak inny pisarz powiada, „były bardzo niebezpieczne. Podróżni zbierali się gromadnie, formowali karawany, noclegi odbywali w taborach, robiąc ze swoich wozów *Kare*, z po za którego wystrzałami bronić się mogli. Pojedynczo jadący, narażając siebie z potrzeby, szarym wieczorem zjeżdżali opodal od drogi, i nie śmieli rozkładać nawet ogniów po drogach, oznaczających niby tabor noclegujący, rozkładanych przez hajdamaków, aby złudzić podróżnego bezpieczeństwem i zrabować“ (Pamięt. J. R. rękopism). Ówczesne gazety są przepełnione doniesieniami z tych stron, o popełnionych od czasu do czasu, rozbojach i rabunkach. Oto np. donosi gazeta, że w 1731 r. dnia 14 Julia Kozacy 60 wozów kupieckich z Lisianki idących po jarmarku w puszczy, któréj mil jest 15, bez żadnéj wsi i karczmy, zrabowali. Oto znów w tymże roku dnia 10 Nowembra „na stepie na trakcie Kijowskim ku Bohusławiu idącym, o milę od tego miasta, napadło hajdamaków sześciu na kupców kijowskich, dwoma wozami do Bohusławia jadących, których powiązawszy, wozy zrabowali, i wszystkie towary na konie luźne (kiedy każdy z nich jednego umyślnie do tego prowadził) pojuczyli, i tak tych powiązanych porzuciwszy, na kilka tysięcy tak w towarach jak w gotowych pieniądzach przy nich wziąwszy puścili się ku Korsuniowi, gdzie ich, dla niepoznania posmolonych

potkał o milę w stepie kuśmierz na tenże jarmark jadący, że zaś nie mieli na co więcéj brać, więc pomienionego kuśmierza wolno puścili, tylko każdemu po kożuchu dać musiał." I jeszcze ta sama gazeta donosi z późniejszej daty bo z 1740 r. d. 28 Aug. że: hajdamacy dwóch kupców rosyjskich z Kijowa jadących na jarmarki ukraińskie, rozbili, i towary onym pozabierali, dwóch zaś kupców żydów obdarli.— I jeszcze taż sama gazeta donosi, że w 1741 r. hajdamacy rozbili kupców, i że w pogoń za nimi poszli Kozacy *horodowi*. W 1746 roku kupców też wracających z Pohrebyskiego jarmarku zrabowali.— W 1749 roku znów hajdamacy kupców, żydów Lachowieckich, jadących z Lisianki napadłszy, i konwój z horodowych kozaków rozbiwszy, wszystko im zabrali; samychże żydów pomordowali. W 1749 r. hajdamacy przyciągnęli pod Berdyczow na jarmark na św. Onufry i rozsypali się po drogach (Kur. Polsk. z tych lat).

Kamieniem obrażenia po wsze czasy dla Ukrainy, jak widzieliśmy, było aż nader bliskie z nią już Tatarów już Kozaków sąsiedstwo. Był to jakby wrzód, jakby bolączka co wiecznie dolegała. W obecnéj chwili niebezpieczeństwo od Tatarów już było przeszło, ale *Sicz* Kozaków nad Dnieprem, *Gard* ich nad Bohem, wylęgały co roku krocie onych hajdamackich rabusiów, co trwogą i niepokojem cały kraj napełniali. Toż dziedzice ówczesni dóbr Ukraińskich lub ich subalterni tak zwani *gubernatorowie*, chcąc okupić sobie czasowy pokój wchodzili z koszem zaporożskim w układy. Opłacali się téż koszowi dorocznym, półrocznym lub kwartałowym wedle umowy jak się wyrażano „dyspartymentem czyli ordynaryą zbożową." Inni zaś jak Franciszek Salezy Potocki, bogaty dziedzic Humańszczyzny starał się wprost w handlowe z zaporożcami wejść stosunki, znaczne im z tego handlu obiecując korzyści. Czytamy też ciekawy list jego do koszowego Grzegorza Fedorowa pod datą 2 maja 1752 r. w którym powinszowawszy koszowemu, że potrafił ukrócić bójność wojska swego i znieść hajdamaków, tak dalej pisze, o projektowanych wzajemnych stosunkach handlowych. „Ponieważ w dziedzicznych posiadłościach moich w Humaniu, za Najjaśniejszém Królewskiém zezwoleniem, i za staraniem moim targi i jarmarki znów odnowione, z zastrzeżeniem ważnych korzyści handlującym jakiejbądź pogranicznéj nacji, dla tego proszę was JW. Panie, abyście raczyli całemu koszowi ogłosić, aby zaporożcy, którzy zwykle do Polski jeżdżą handlować końmi, bydłem, woskiem, futrami i innemi towarami, przybywali za waszym paszportem do Humania na jarmarki, skąd wieleby z swych produktów nie sprzedali, będą mogli z paszportami rządzcy dóbr humańskich ciągnąć daléj jeszcze w głąb Polski i t. d." (Znacz. Zapor. podł. Skalkowskiego str. 195).

I tak dobre, handlowe wkrótce potém z koszem zaporoskim pozawiązywały się stosunki, że już około tego czasu ustalił się był walny tak nazwany „Siczowy gościniec“ który od Siczy środkiem ziemi ukraińskiéj, na Korsuń, Heblow, do Humania przychodził.

Zaporożcy przyjeżdżali do Humania z wełną, jagłami, solą, futrami, bronią i żelazem z Małéj Rossyi, zostawiali tu wielkie pieniądze, pili, hulali zabawiani muzyką bandurzystów, brali zaś z sobą zboże, zapasy żywności, masło od sąsiadów polaków kupione, płótna, skóry, tytoń, gorzałkę z czém już daléj szli do Krymu. Zwykle tedy na początku wiosny, kiedy lód i śnieg Dnieprem, Bohem i Dniestrem uciekły już do morza czarnego, wtedy zaczynały nadciągać całe tabory czumackich wozów z Siczy, wyschłą drogą w Humańszczyznę i indziéj daleko. Było to jakby rocznicą, niby powrotem tu bocianów na wiosnę i zewsząd téż mówić o téj porze zaczynano: „wozów jeszcze niema!.... oto zaczynają już się pokazywać!“....

Od bardzo dawna bo jeszcze za czasów Jagiellońskich użycie pewnego rodzaju poczty było znaném. Ten rodzaj poczty nazywano „podwodą“ czyli „gończą pocztą.“ Dawały „podwodę“ miasta i wsie królewskie pod posłańców tureckich, tatarskich i moskiewskich jak téż i pod gońców i urzędników królewskich.

Były téż tak zwane osobne „gończe drogi“, po których ta „podwoda“ kursowała. Jużeśmy nadmienili wyżéj o tak zwanych dwóch w Kijowszczyznie „gończych drogach;“ jednéj z Kijowa na Trypol i daléj idącéj, drugiéj, która z Bracławia na Zwinogródkę do Czerkas prowadziła.

Jednakże już w 1620 r. jak to widzimy z konstytucyi, postanowiono, aby tak zwane „podwody,“ któremi onerowano dotąd miasta i miasteczka, zniesione były, a zastąpione przez pocztę, na któréj sporządzenie téż same miasta i miasteczka płacić powinny tak nazwane „czwore pieniądze podwodne“ (Vol. leg. III fol. 377). Jakoż w 1647 r. ustanowiony był i urząd pocztowy, którego naczelnikiem głównym w kraju był Karl Montelupi Wilczogórski (Vol. leg. ordynacya poczt IV fol. 603); następnie w 1677 r. był takim urzędnikiem Bartłomiéj Sardi (Vol. leg. V fol. 470).

Zdaje się, że na Ukrainie poczty były wprowadzone jeszcze przed wojną Chmielnickiego, gdyż już w 1650 r. Adam Kisiel wojewoda Kijowski, rozséłając jeden ze swoich uniwersałów do obywateli swego województwa, pisał, że go rozséła „przez bieżącą pocztę“ (Materyały do dziej. Ukrainy, wydał K. Swidziński, oddział 3-ci).

Bieg poczty tak był urządzony. Wzdłuż traktów ustanowiono stacye, które „kresami“ nazywano „niezbyt odlegle jedne od drugich

rozmiarkowane, po których pocztę odprawiać mieli pocztylionowie nie piesi ale konni, tak aby *cursum* swego nigdy nie chybili" (Vol. leg. VI). Stąd też w ogóle pocztę w ten sposób urządzoną, w rodzaju dzisiejszéj sztafety, od stacyi czyli „kress" nazywano „kressą."

W 1752 r. d. 12 Września w laudum Wdztwa Kijowskiego na sejmiku *boni ordinis* w Żytomierzu uchwalono następne względem poczt postanowienie: „Poczty wdztwa naszego, obracając prościejszym traktem ku Lublinowi *noviter* postanawiamy aby JPan poczmajster nasz nie już na Latyczów ale na Łuck ordynował pocztę, zachowując onéj *ordinationem* podług dawniejszego laudum, a że potrzeba ex ratione dalszéj drogi do Łucka przyczynić jednego pocztyliona, więc na tego postępujemy Imci Panu Poczmajstrowi do pozwolonéj dawnéj summy Złp. 1090, któréj to summę JMci PP. Burgrabiowie Grodzcy będą ex.... (zatarte) publico jako to gród Kijowski złp. 90, Żytomierski złp. 60, a Owrócki złp. 50, a że uchwalonego dawnego na pocztę podatku z dwieście dymów, z każdego rachując na rok po złp. 8, wynosi summę złp. 1600, z któréj od należącéj koncernencyi dawniejszéj corocznie złp. 100 zostaje, przeto z tych stu Ichmość PP. Burgrabiowie lub ich namiestnicy rachunek zdać *tenebuntur* lub skądby ten podatek nie był wypłacony, lub przez niego zabrany powinno dochodzić, i o tém JW. Komisarza informować będą, a zaś 1500 złp. *ad mentem anteriaris Laudi* wypłacone temuż JMci Panu Pocztmajstrowi bez żadnego zawodu."

W 1793 r. urzęda pocztowe rezydowały w wdztwie Kijowskiém w następnych punktach: w Chwastowie, Białéjcerkwi, Bohusławiu, Bohopolu, Berdyczowie, Cudnowie, Daszowie, Humaniu Lińcach, Machnówce, Pawołoczy, Radomyślu i Żytomierzu.

Stała komunikacya pocztowa odbywała się za pośrednictwem następujących traktów: *Chersońskiego*, który szedł z Białéjcerkwi na Rokitnę, Korsuń, Mirgorod i t. d.; *Bohopolskiego*, który szedł na Humań, Daszów, Lince Bracław do Bohopola i *Kijowskiego*, który prowadził z Kijowa przez Wasylków, Katanłyk, Mytnicę, Chwastów, Pawołocz, Czarnorudkę, Berdyczow, Cudnow, Czartorję, Łabuń, Karczmę Wygodę, Zasław, Białotyn, Ostróg, Hulcze, Warkowicze, Dubno i daléj przez Dubno do Warszawy.

Do Warszawy poczta Ukraińska listowa przychodziła we środy i soboty; odchodziła w poniedziałek i piątek. (Kalend. polityczny z 1793).

Ale ten rodzaj poczty „kressą" nazywanéj, kursującéj po głównych traktach krajowych, składającéj się z ruchomych posłańców na „kressach" czyli stacyach rozstawionych, naśladowali w pewnych razach i wielcy panowie wśród swoich rozległych dóbr, dla łatwiej-

széj komunikacyi z sobą zarządów ekonomicznych, lub gdy do tego ważny jaki interes lub okoliczność ich znaglała. Według téż tego urządzona była „kressa“ stała lub czasowa z nadwornych złożona kozaków. Antoni Charlęski bogaty pan Ukraiński, dziedzic Byszowa, mając ważną agitującą się w Żytomierzu sprawę, utrzymywał pomiędzy swoją rezydencyą a Żytomierzem „kressy“ kozaków. Na najwyższych punktach drogi stali kozacy, w torbach włosianych zawieszonych jadły ich konie owies, a skoro jeden zajrzał biegącego drugiego, zdejmował torbę, kiełzał konia, leciał naprzeciw towarzysza, odbiérał papiery, i niósł w przeciwną stronę, takim sposobem w kilka godzin wiedziano w Byszowie o toku sprawy w Żytomierzu. Jeszcze do naszych czasów urządzenie podobnéj poczty „kressowéj“ dotrwało było w kolosalnych dobrach hetmanowéj Branickiéj. Trzymano tam posłańców ruchomych tak zwanych „kressowych“ kozaków, którzy wszelkie zawiadomienia, ekspedycye i zlecenia od głównego ekonomicznego zarządu „kressą“ do pomniejszych rozwozili ekonomij.

Toż i wojska konsystujące w razie potrzeby urządzały własną czasową „kressę“. Kitowicz pisze, że częstokroć rozstawiano lekkie chorągwie po „kressach“, gdy hetman lub regimentarz interesowany do trybunału, chciał prędko wiedzieć jak się udała jego reassumpcya.

Ale szczególniéj na pograniczu wojskowém ukraińskiém, już nie czasowéj ale stałéj używano „kressy,“ stąd i cały pas przygraniczny, całą linią wojskowych posterunków wzdłuż granicy rozstawionych od praktykowanéj tu tego rodzaju poczty „kressami“ nazywano. „Kressowa“ poczta na pograniczu, służąca właściwie dla ciągłéj, nieustannéj komunikacyi szwadronu ze sztabem w ten sposób była urządzoną. Wzdłuż granicy rozmieszczone były stanowiska czyli posterunki, i na każdym z nich stał towarzysz i trzech lub wedle potrzeby czterech lub pięciu szeregowych; towarzysz miał sobie daną księgę, w którą zapisywał czas przyjścia i odejścia expedycyi, to jest: rok, miesiąc, dzień, godzinę i minutę oraz od kogo, skąd i dokąd adresowano. Jeżeli pismo nie miało na kopercie napisanego „pilno“ to je żołnierz powolnym stępem odwoził, raz napisano „pilno“ truchtem, dwa razy—kłusem, trzy razy—prędkim galopem; w bardzo zaś ważnym wypadku, za rozkazem samego brygadiera, towarzysz sam pismo odwoził i na to osobne brał od odbierającego świadectwo (Pam. Wróblewskiego: moja wojskowość, rękopism).

Nigdy drogi tutejsze w takim stanie opatrzenia, dobrego utrzymania i naprawy nie były jak od r. 1789, w którym w całéj koronie wprowadzone zostały tak zwane *komisye porządkowe cywilno-wojskowe*,

złożone z samych obywateli miejscowych, znanych z prawości i cnoty obywatelskiéj, wiele się przyczyniły do urządzenia i wydźwignienia kraju z wielu licznych, w jakich zostawał, nieporządków. Staranie o drogach było téż ich pieczy poruczone. W artykule „o materyi ekonomicznéj wojewódzkiéj“ co do dróg, czytamy następujące przepisy. „Aby zaś złe drogi dotąd w kraju praktykowane nie stawały się przeszkodą już co do wywozu produktów, już to dla kupców własnego i obcego kraju lądem handlujących, komisye porządkowe zlustrują pryncypalniejsze swego Wdztwa czy powiatu trakty, jak to do miast zagranicznych, już do stołecznych, już to do portów spławnych idące i dostrzegać będą, aby na takowych traktach rozszerzonych i ile możności wyprostować się mających, bez ukrzywdzenia posesorów, mosty, groble i wszelkie przeprawy, według przepisów prawa, naprawione były, kupcy z traktów gwałtem zwracanemi nie byli, przestępnych 500 złotych ukarze i wypadającą stąd summę na reparacyę dróg użyje.... Co się zaś tyczy traktów ku wygodzie własnego Wdztwa czy powiatu służących, komisya porządkowa za zniesieniem się na sejmikach gospodarskich z obywatelami skuteczne do ulepszenia onych środki obmyśli, obmyślone do skutku przeprowadzać ma przez *Lauda* wojewódzkie czy powiatowe *etiam pluralitate* decydowane, do tego tylko zamiaru dozwalające się“ (Zbiór konst. pod związk. konfed. 1788—1790 w Warszaw. 1791).

A przepisy te nie pozostały téż tylko literą martwą. W archiwach domowych napotykaliśmy mnóstwo rekwizycyj i rozporządzeń komisyi co do opatrzenia i naprawy w tym kraju dróg, mostów przepraw jak niemniéj ślady wykonania tychże. Jakoż wszystkie dzisiejsze walniejsze drogi, téjże komisyi troskliwości i staraniu swoje zawdzięczały uregulowanie. Szkoda tylko, że ta instytucya nie miała jak kilka lat bytu, trwała zbyt krótko.

Targowica niszcząc i burząc wszystkie ustawy czteroletniego sejmu i tę tak zbawienną użyteczną dla kraju rozprzęgła instytucyą.

WYCHOWANIE PUBLICZNE W ANGLII

WEDŁUG ŹRÓDEŁ ANGIELSKICH I NIEMIECKICH

opracował

Teofil Krasnosielski.

CZĘŚĆ DRUGA (*).

I.

Wychowanie wyższe.—Majątek szkół uposażonych i uniwersytetów.—Ofiary na rzecz oświaty w czasach ostatnich.—Niezależność szkół wyższych i stosunek do rządu.—Court of Chancery i komisye rewizyjne.—Egzamina rządowe.—Egzamina przed komisyami uniwersyteckiemi.—Konferencye rektorów. College of Preceptors.

W żadnym kraju w Europie naród bez wszelkiéj pomocy ze strony rządu nie zrobił tyle dla wyższego wychowania publicznego, jak w Anglii. Ofiarność Anglików na rzecz oświaty jest zaiste podziwienia godną. Widzieliśmy już poprzednio, jak wielkie ofiary ponosił i ponosi jeszcze naród angielski dla oświaty ludowéj. Jak ogromne zaś sumy nagromadzono od wieków dla szkół wyższych czyli uczonych i jak wielkie skarby spoczywają w téj prawdziwie *nie* martwéj dłoni, z któréj tyle pokoleń czerpało światło—o tém wymownie świadczą następne cyfry.

Majątek tak zwanych szkół „uposażonych" w saméj tylko Anglii obliczają na milion funtów szterl. (oprócz wartości zabudowań szkolnych, która jest ogromną); a stały dochód roczny na 180.000 f. Dochody uniwersytetów Oksfordzkiego i Kembrydżskie-

(1) Zob. Ateneum zeszyt Majowy i Czerwcowy r. b.

go (z dóbr, domów, dziesięcin, kapitałów i opłat studentów) wynosiły w r. 1871 przeszło 750.000 funtów; nadto obrachowano, że w przeciągu lat 15 dochód powiększy się o 160,000 f. rocznie (1).

Ofiarność Anglików na rzecz oświaty w ostatnich czasach bynajmniéj się nie zmniejszyła. Składki na szkoły są w Anglii na porządku dziennym, tak jak na cele religijne, dobroczynne itp. (2) Niechaj tylko ktoś z ludzi wpływowych ogłosi subskrypcyą, a z pewnością posypią się hojne datki, wynoszące nieraz kilkanaście a nawet kilkadziesiąt tysięcy funtów. Oto przykłady z najbliższéj przeszłości. W r. 1866 pewien obywatel londyński, nie używający nawet wielkiego znaczenia, widząc w szkolnictwie angielskiém wielki brak szkół średnich, mających zapełnić lukę pomiędzy szkołami elementarnemi a uczonemi, wezwał w gazetach do składek na założenie takich szkół według planu przez siebie skreślonego i—w krótkim czasie zebrał 40.000 f., głównie od kupców i bankierów londyńskich. W ostatnich latach korporacya religijna „SS. Mary and Nicolas“ w Londynie, rozporządzająca znacznemi funduszami, postawiła sobie za zadanie zakładać szkoły w interesie kościoła anglikańskiego, stosownie do potrzeb pojedyńczych stanów i dotąd już kilka szkół założyła. W Szkocyi niedawno zawiązało się towarzystwo w celu popierania wyższego wykształcenia. W całéj Anglii w latach

---

(1) Do powiększenia dochodów przyczyniła się głównie ta okoliczność, że zapisy poczynione w czasach dawnych na rzecz szkół, składały się przeważnie z gruntów, których wartość—zwłaszcza w wielkich miastach lub w bliskości tychże—od tego czasu niezmiernie się podniosła.

(2) Nieraz Anglicy dają pieniądze na cele tak drobiazgowe, tak mało przedstawiające interesu powszechnego lub tak mało produkcyjne, że w innych krajach nie dano by na nie ani złamanego szeląga. Oto przykład—jeden z tysiąca. W roku zeszłym (jak donosiła Gazeta Kolońska) odbył się w Edynburgu koncert na korzyść dwudziestoletniego Włocha, który za pieniądze otrzymane miał rozpostrzeć religijną i moralną opiekę nad marynarzami włoskimi, zawijającymi do portów szkockich. Czy w jakimkolwiek kraju podobny koncert miałby powodzenie, wątpię bardzo, lecz w „kramarskiéj egoistycznéj,“, Anglii udał się—bardzo pomyślnie.—Jak chętnie dają w Anglii pieniądze nie tylko na szkołę, lecz i na rozrywki dla biednych uczących się dzieci, o tém świadczy ten zwyczaj, że—ile razy zwierzchnik jakiéj szkoły ludowéj, zamierzając odbyć wycieczkę ze swymi wychowańcami, zwróci się do publiczności z prośbą o małe wsparcie na ten cel—to nigdy mu go nie odmawiają.—Zapisy na cele filantropijne (pomiędzy któremi zapisy na szkoły niepoślednie zajmują miejsce) są w Anglii tak częste, że w pismach peryodycznych, np. w Illustrated London News pod rubryką „Wills and bequests“ (testamenta i zapisy) nieraz za jeden tydzień można wyczytać dziesięć i więcéj zapisów filantropijnych; pomiędzy któremi obok drobnych znajdują się zapisy bardzo znaczne, pochodzące od osób z najrozmaitszych warstw społecznych. Zaprawdę, Anglicy nie tylko mają pieniądze, ale zarazem poczuwają się w zupełności do tego, że „la richesse oblige!“

ostatnich powstały stowarzyszenia dla podniesienia wychowania kobiét, które dawniéj było zaniedbaném. Stypendyów przy każdéj szkole wyższéj jest mnóstwo i wciąż jeszcze powstają nowe; tak np. w celu ułatwienia młodzieży studyów uniwersyteckich ustanowiono przy „City of London school" stypendya ze składek następujących cechów: złotników, kupców korzennych, handlarzy ryb, kuśnierzy i szklarzy. Podobnych przykładów ofiarności prywatnéj możnaby z czasów najnowszych wiele przytoczyć, nie mówiąc już o znacznych ofiarach przynoszonych na rzecz wychowania przez gminy i korporacye.

Natomiast **rząd** (z bardzo małymi wyjątkami w Szkocyi i Irlandyi) **na utrzymanie szkół wyższych nie łoży ani szylinga.** Wszystkie tedy **szkoły wyższe** w W. Brytanii i Irlandyi są **zakładami prywatnemi,** utrzymującemi się z legatów, ze składek dobrowolnych i z opłaty szkolnéj; a ponieważ od rządu nie otrzymują żadnego zasiłku, są też **niezależnemi i nieodpowiedzialnemi** przed nikim, jak tylko przed opinją publiczną. Wszelkie usiłowania rządu (zresztą bardzo oględne), zmierzające do rozpostarcia swego wpływu na szkoły wyższe (jak to uczyniono ze szkołami elementarnemi), okazały się bezskutecznemi; wpływ tedy i stosunek rządu do szkół wyższych jest tylko formalny i pośredni.

Szkoły „uposażone" w administracyi swych funduszów są zależne od „Court of Chancery" tj. od najwyższego sądu zostającego pod prezydencyą lorda kanclerza, który ma dozór nad wszelkiemi legatami; lecz ponieważ dozór ten wykonuje się bardzo łagodnie, przeto zależność szkół w tym względzie jest niewielka. Groźniejszemi na pozór dla niezależności szkół są komisye rewizyjne, które rząd od lat 20 za zezwoleniem parlamentu wyznacza dla zbadania szkół wyższych pod względem ekonomicznym i pedagogicznym. Z początku wyznaczano komisye tylko dla szkół uposażonych, następnie i dla nieuposażonych, dla prywatnych, dla szkół żeńskich, realnych, wreście i dla uniwersytetów. Jak mozolną była praca komisarzy rządowych, widać np. z tego, że komisya z r. 1864 zrewidowała 782 szkoły, przy czem postawiła na piśmie nie mniéj jak 20.000 pytań (tyczących się funduszów, stypendyów, zarządu, programu itd.) i tyleż otrzymała odpowiedzi! Niektóre szkoły wszakże nie chciały poddać się rewizyi i wręcz odmówiły udzielenia wszelkich informacyj. Sprawozdania komisyi w wielu względach były niekorzystne dla szkół: przyznawano, że karność, oraz staranie o zdrowie wychowawców i rozwój sił fizycznych w ogóle były dobre; natomiast pod względem naukowym ogólny rezultat wypadł niepomyślnie, w szkołach zaś uposa-

żonych wykryto nadto liczne nadużycia przy rozdawaniu stypendyów i beneficyów. W ostatnim względzie na mocy uchwał parlamentarnych nastąpiły rzeczywiste reformy: prawie we wszystkich szkołach uposażonych przyjęto przy obsadzaniu beneficyów system wolnéj konkurencyi, na mocy którego oddaje się pierwszeństwo temu, kto najlepiéj zda egzamin; przy tém nie uważano za stosowne uwzględniać tylko biednych, jak tego wymagają statuta niektórych szkół, gdyż czasy bardzo się zmieniły, a zresztą na wykształcenie biednych państwo i kraj łożą ogromne sumy w szkołach elementarnych.

Rząd jednakże nie ograniczył się tylko do rewizyj i raportów, lecz zapragnął także wpłynąć na reformę szkół, zwłaszcza uposażonych. Tak ustanowiona aktem parlamentarnym z r. 1874 stała komisya rewizyjna pod nazwą „Charity Commision,“ którą można uważać jakby za władzę dla szkół uposażonych, jak również Komitet edukacyjny, ustanowiony (jakeśmy widzieli) tylko dla szkół elementarnych, lecz zmierzający do rozpostarcia swéj władzy i na szkoły wyższe, występują do zarządów szkół z żądaniami i przepisami, tyczącemi się rozszerzenia programu nauk (głównie chodzi tu o uwzględnienie nauk przyrodzonych i języków nowożytnych); udzielają ogólnych rad i uwag (general recommandations); wydają dla każdéj szkoły osobne ustawy (schemes), tyczące się tak strony ekonomicznéj jak i pedagogicznéj; dzielą szkoły na 3 grupy, z których pierwsza obejmuje takie, w których uczniowie pozostają do 19 roku życia, druga—do 16, trzecia—do 14 i t. p. Jednakże wszystkie te przepisy i rady nie obowiązują nikogo; każda téż szkoła robi to, co jéj się podoba. Zresztą zbyt wiele władz i interesów wchodzi tu w rachubę, jako to: komitet edukacyjny, Charity commission, Court of Chancery, parlament, zarząd bezpośredni szkoły, różne instancye lokalne, świeckie i duchowne, tak iż o solidarném i jednolitém działaniu nawet mowy być nie może.

Dwie ważne i bardzo liberalne reformy udało się przecież przeprowadzić jeszcze za ministeryum Gladstonea, a mianowicie: stypendya i beneficya, z których dotąd korzystali tylko członkowie kościoła anglikańskiego, gdyż większa część legatów szkolnych została ustanowioną w tych czasach, w których inne wyznania nie były jeszcze równouprawnione, zrobiono dostępnemi także dla dyssydentów i dla katolików w tych szkołach, których statuta wyraźnie się temu nie sprzeciwiają; aktem zaś parlamentarnym z r. 1869 postanowiono, ażeby z wyjątkiem dziewięciu wielkich starych szkół, we wszystkich innych szkołach uposażonych w Anglii i Walii obsadzenie posad nauczycielskich było niezależném od wyznania—postanowienie, któ-

re uważać należy za wielki postęp, gdyż do tego czasu przy tychże szkołach tylko Anglikanie mogli pełnić obowiązki nauczycieli.

Jak widać z powyższego, wpływ rządu na szkoły uposażone jest bardzo ograniczony, nad szkołami zaś nieuposażonemi i zupełnie prywatnemi rząd nie posiada żadnéj władzy ani kontroli.

Gdy tak z jednéj strony szkoła wyższa cieszy się w Anglii prawie zupełną niezależnością i wszelkiemi korzyściami wypływającemi z téjże, gdy zupełnie swobodnie oddawać się może celom wytkniętym bez względu na politykę rządu, a nawet na chwilowe prądy opinii publicznéj; to z drugiéj strony niezależność ta połączona jest z pewnemi niedogodnościami, z których najważniejsza ta, że żadna szkoła nie posiada należytego uznania ani u rządu ani u publiczności. Wyjaśnijmy to przez porównanie Anglii z innemi krajami. Wiadomo, że we wszystkich krajach na stałym lądzie ukończenie całkowitego kursu lub kilku klas gimnazyalnych, albo ukończenie uniwersytetu lub jakiego wyższego zakładu specyalnego, daje pewne ściśle określone prawa tak w służbie cywilnéj jak wojskowéj, państwowéj lub prywatnéj. Zupełnie inaczéj w Anglii: tu bowiem najprzód rząd nie uznaje żadnego świadectwa z ukończonego kursu gimnazyalnego lub uniwersyteckiego, lecz od wszystkich osób, życzących sobie wstąpić do służby cywilnéj rządowéj wymaga, aby zdali egzamin przed tak zwaną „komisyą służby cywilnéj“ (Civil service commission) (1). Według szczegółowych przepisów, wydanych przez rozkazy gabinetowe z r. 1870 i 1876, stan urzędniczy dzieli się w Anglii (jak w Austryi i Prusach) na niższych i wyższych urzędników czyli „clerks“ (2). Od kandydatów na niższe posady, których awans jest ograniczony, wymaga się wykształcenia elementarnego; od kandydatów zaś na wyższe urzęda, którzy mogą dojść do najwyższych dostojeństw w państwie, żądają wykształcenia uniwersyteckiego albo gimnazyalnego (w Anglii jedno nie wiele różni się od drugiego), a nadto specyalnych wiadomości w téj gałęzi służby publicznéj, do któréj wstąpić zamierzają. Osobne warunki są dla tych, którzy życzą sobie poświęcić się służbie w koloniach; tak np. dla Indyj Wschodnich wymaga się,

---

(1) Pewne wyjątki istnieją wszakże: tak np. od osób wstępujących do zawodu dyplomatycznego nie wymagają egzaminu przed komisyą służby cywilnéj, lecz innych ściśle nie określonych kwalifikacyj.

(2) Clerk (z łacińskiego clericus) znaczy właściwie „duchowny,“ następnie „piśmienny“ albo „pisarz“—nazwa powstała w wiekach średnich, kiedy jedynie tylko duchowieństwo było „piśmiennem;“ obecnie oznacza także w ogóle urzędnika.

oprócz ogólnego wykształcenia, znajomości języków wschodnich (sanskrytu, arabskiego, jednego lub kilku z nowych języków indyjskich), oraz znajomości historyi, literatury, praw, obyczajów i starożytności kraju. Rezultaty egzaminów, nazwiska kandydatów, którzy zdali egzamin i zakładów naukowych, w których się kształcili, ogłaszają się w gazetach, co naturalnie nie pozostaje bez wpływu na reputacyą szkół, pobudza je do rywalizacyi, a nawet wpływa poniekąd na program przedmiotów naukowych. System egzaminów był pierwotnie ściśle konkursowy (competitive examination) t. j. na każdą posadę lub na pewną kategoryę posad ogłaszano konkurs i wybiérano tych kandydatów, którzy najlepiéj zdali egzamin; jednakże ostatnie przepisy (z r. 1876) odstępują od tego systemu, pozostawiając wybór kandydatów odpowiednim zwierzchnikom (1). Jak w służbie cywilnéj tak i w armii od pewnego czasu stopnie oficerskie nabywają się tylko na mocy egzaminów; gdy dawniéj, jak wiadomo, można było nabyć je za pieniądze.

Egzamina w zakresie szkół średnich i wyższych odgrywają obecnie w Anglii niezmiernie ważną rolę.

Dawniéj (tak jeszcze na początku bieżącego stulecia) mało nadawano znaczenia egzaminom tak w gimnazyach i uniwersytetach, jak i przy obsadzaniu posad i urzędów. Nie zbyt dawno jeszcze od lekarza, prawnika, architekta, kapitana okrętu i t. d. nie wymagano właściwego egzaminu; zwykle dostateczném było jakiekolwiek świadectwo albo prosta rekomendacya. Z czasem wszakże zmieniło się to zupełnie: dzisiaj w Anglii i w stosunkach publicznych i prywatnych bardzo zważają na świadectwo, wydane przez jaką poważaną i powszechnie znaną korporacyą albo osobę. Jednakże żadna szkoła nie wzbudza takiego zaufania w publiczności, iżby świadectwo wydane przez nią było powszechnie uznaném w całym kraju, dla tego że każda szkoła jest zakładem prywatnym, nie popartym przez żaden autorytet. W celu nadania i wyrobienia takiego autorytetu, istniejące w Londynie „kolegjum nauczycieli“ (o którém niżéj), od r. 1854 zaczęło wydawać świadectwa uczniom średnich zakładów

(1) Nawał do posad rządowych jest ogromny: tak np. przez półtora roku od połowy 1872 do końca 1873 r. zgłosiło się do egzaminu przed komisyą służby cywilnéj 23,261 osób, nadto 643 kandydatów do Indyj Wschodnich. Jednakże tylko niewielka ilość kandydatów zdaje egzamin, a jeszcze mniéj otrzymuje posady, gdyż w Anglii posad ściśle rządowych, t. j. dykasteryj centralnych władz państwa jest bardzo mało; albowiem przy decentralizacyi i samorządzie, istniejącym w Anglii, większa część posad publicznych obsadza się albo z wyborów albo przez nominacyę jakiéj władzy gminnéj lub korporacyi, naturalnie bez egzaminu.

naukowych, na mocy zdanego przez nich przed téniże kolegium egzaminu. Lecz sprawa nabrała rozgłosu i powszechnie została przyjętą dopiéro wtedy, gdy została popartą przez uniwersytety. W r. 1858 kilku docentów uniwersytetu Oksfordzkiego, do których należał także Maks. Müller, podało projekt, ażeby uniwersytet Oksfordzki zajął się egzaminowaniem wychowańców średnich zakładów naukowych i wystawiał im świadectwa i dyplomy. Projekt ten w całéj Anglii został bardzo dobrze przyjęty: podobało się bowiem wszystkim to, że najwyższa korporacya naukowa w kraju, któréj słusznie czy niesłusznie wielu zarzucało zastój i bezczynność, tak pożytecznie zamierza działać dla oświaty; obiecywano sobie, że egzamina zwrócą uwagę szkół ku pewnym określonym celom, nadadzą przeto programom szkolnym więcéj jednolity charakter; wreszcie cieszono się z tego, że świadectwa i dyplomy będą poparte przez najwyższy naukowy autorytet. Za przykładem Oksfordu poszły uniwersytety w Cambridge, Durham, w Dublinie, Edynburgu i Londynie (ostatni nie jest nawet wcale zakładem naukowym, lecz tylko komisyą egzaminacyjną—o czém niżéj). Egzamina nazywano pierwotnie „Middle-class examinations" t. j. właściwie „egzamina dla klas średnich" albo „Non gremial examinations" t. j. egzamina odbywane nie przed gremium całego uniwersytetu, lecz tylko przed komisyą uniwersytecką; obecnie zaś nazywają je powszechnie „Local examinations." Oprócz egzaminów dla chłopców istnieją także egzamina dla dziewcząt; jedni i drugie dzielą się na młodszych (juniors) do 15 i na starszych (seniors) do 18 lat; pierwsi płacą za egzamin po 15, drudzy po 30 szylingów (30—60 złp.). Komisyę egzaminacyjną wybiera zwykle syndykat lub senat uniwersytecki z docentów czyli tak zwanych „fellows." Komisya każdego uniwersytetu raz na rok objeżdża pewne oznaczone przez nią miasta, do których zewsząd zbiéra się młodzież pod dozorem nauczycieli lub dyrektorów w celu odbycia egzaminów.

Egzamin jest głównie piśmienny: uczniowie winni na zadane pytania lub tematy zwięźle i jasno odpowiedzieć piśmiennie; egzamin ustny jest mniéj ważny i jakby tylko dodatkowy. Pytania są bardzo liczne i często bardzo szczegółowe a nawet zbyt drobiazgowe; są one naprzód znane wszystkim, gdyż drukowane (ztąd „papers") rozsyłają się do wszystkich szkół w W. Brytanii i Irlandyi, a nawet wędrują do kolonii angielskich, gdzie według nich odbywają się egzamina. Również wiadomém jest naprzód, jakie dzieła lub jakie księgi i rozdziały autorów starożytnych lub nowożytnych będą tłumaczone na egzaminie. Według tych wskazówek przygotowują uczniów w szkołach. Program jest w zakresie gimnazyalnym

od najniższych do najwyższych klas. Uczeń stosownie do rezultatu egzaminu za każdy przedmiot otrzymuje „stopień“ czyli tak zwane w Anglii „marki,“ które liczą na setki a nawet dochodzą one do tysiąca! Gdy uczeń zdał egzamin, otrzymuje odpowiednie świadectwo; ci którzy się odznaczyli, otrzymują jako nagrodę książki, niekiedy także stypendya; nadto ogłaszają się w gazetach nazwiska wszystkich tych uczniów, którzy zdali egzamin, oraz jakie nagrody otrzymali i do jakich szkół uczęszczali. Uniwersytet Oksfordzki udziela nawet najniższy ze stopni uczonych t. j. stopień zwany „Associate of arts“ (w skróceniu: A. A.) tym ze starszych „chłopców,“ którzy najlepiéj zdali egzamin; inne uniwersytety jednakże nie są tak hojne. Uczniów szkół realnych egzaminuje i wystawia im świadectwa istniejące w Londynie towarzystwo politechniczne „Society of arts,“ używające u publiczności dobréj reputacyi.

Od r. 1874 uniwersytety Oksfordzki i Kembrydżski wprowadziły także jakby rodzaj egzaminu dojrzałości, zwanego „examination for certificate.“ Jednakże gdy we wszystkich krajach Europy egzamin dojrzałości odbywa się po ukończeniu całkowitego kursu gimnazyalnego (zwykle pod koniec roku szkolnego) i według ściśle określonych przepisów i wymagań, to w Anglii do egzaminu na „certyfikat“ (patent) odbywającego się kilka razy wśród roku szkolnego, dopuszczają wszystkich w ogóle uczniów wyższych klas gimnazyalnych, nieraz malców piętnastoletnich a nawet i młodszych. Wymagania zaś egzaminu są i zbyt ograniczone i całkiem nieściśle określone. Według bowiem przepisów (regulations), ogłoszonych corocznie przez oba uniwersytety, przedmioty egzaminu dzielą się na 4 grupy; do pierwszéj należą: język łaciński, grecki, francuski i niemiecki; do drugiéj: niższa i wyższa matematyka; do trzeciéj: biblia język angielski i historya; do czwartéj: mechanika, chemia, botanika, geologia i jeografia fizyczna. Ażeby otrzymać certyfikat, należy zdać przynajmniéj z czterech przedmiotów, dowolnie wybranych przynajmniéj z trzech grup (np. język łaciński, grecki, biblia, mechanika); więcéj zaś jak z sześciu przedmiotów nie wolno nikomu zdawać. Egzamin jest piśmienny i ustny: zadania do egzaminu piśmiennego przesyłają się rektorowi gimnazyum, który je każe pod ścisłym dozorem odrobić kandydatom; na egzamin ustny przybywają delegaci uniwersytetu, którzy sami egzaminują i przeglądają prace piśmienne. Uniwersytet londyński jeszcze wcześniéj od Oksfordzkiego i Kembrydżskiego zaprowadził egzamina dojrzałości, zwane „examinations for matriculation,“ które u publiczności i u szkół cieszą się nawet większém uznaniem, gdyż są ściślejsze i systematyczniejsze. Egzamina te odbywają się dwa razy do roku, trwają 5 dni po 6 go-

dzin dziennie czyli ogółem 28—30 godzin, z których 16 przeznaczonych jest na języki łaciński, grecki i angielski, reszta na matematykę, fizykę, chemią i nauki przyrodzone opisowe; na ostatnie przedmioty większą zwracają tu uwagę aniżeli w powyższych uniwersytetach, natomiast język grecki nie uważa się za obowiązkowy.

Kandydaci, którzy otrzymali patent od uniwersytetów Oksfordzkiego i Kembrydżskiego, bywają bez egzaminu przyjęci do większéj części „kolegiów" tychże uniwersytetów, oraz zwykle i do szkół medycznych, prawnych, technicznych, wojskowych i t. p. Do ostatnich zakładów mają także wstęp bez egzaminu ci, którzy uzyskali patent od uniwersytetu londyńskiego lub „kolegium nauczycieli."

Jednakże wyraźnie nadmienić wypada, że egzamina i świadectwa bynajmniéj nie posiadają charakteru ani przymusowego ani oficyalnego; żadna téż szkoła nie jest obowiązaną poddawać swoich wychowańców egzaminowi, a świadectwa wydawane przez komisye egzaminacyjne nie mają charakteru urzędowego, tak iż uznanie ich pozostawia się zupełnie publiczności lub zwierzchności tych specyalnych i wyższych zakładów naukowych, do których kandydaci wstąpić zamierzają; rząd zaś (jakeśmy widzieli) żadnéj do nich nie przywiązuje wartości.

Oprócz wyżéj przytoczonych istnieje w szkołach średnich i wyższych jeszcze wiele innych egzaminów. Uczniowie egzaminują się przy wstąpieniu do szkoły, przy promocyi z klasy do klasy, a nawet z jednego oddziału do drugiego, przy ubieganiu się o stypendyum lub inne beneficium. W szkołach uposażonych według aktu parlamentarnego, wydanego dla nich, powinien raz w rok odbyć się ogólny egzamin przed jaką uczoną komisyą, wybraną przez zarząd szkoły i na koszt tegoż. Oprócz tego na żądanie szkoły i na koszt tejże odbywają się od czasu do czasu wizytacye komisyj uniwersyteckich lub „kolegium nauczycieli" lub jakiegobądź towarzystwa uczonego. W szkołach realnych na wyraźne żądanie tychże odbywa się często ogólny egzamin przed komisyą rządową, wyznaczoną z członków „wydziału politechnicznego," który stanowi sekcyą Wydziału edukacyjnego (por. Ateneum zesz. Majowy str. 219). Jaka przesada, jaka prawdziwa mania egzaminów opanowała pedagogów angielskich, niechaj posłuży następny przykład. Wiese (II, str. 162) w pewnéj szkole dla jednéj tylko (najwyższéj) klasy naliczył w drukowanym planie na przeciąg czasu pięciotygodniowy niemniéj jak 44 egzamina!! Tenże pisarz powiada, że do jakiéjkolwiek zajrzéć szkoły, jakiekolwiek pismo pedagogiczne wziąść do ręki, o niczém inném nie mówią i nie piszą, jak tylko o egzaminach, nagrodach, stypendyach, stopniach uczonych i t. p.!

Czy jednakże system tak licznych i tak różnorodnych egzaminów wychodzi na pożytek szkołom, o tém bardzo wątpić należy. Pomijając bowiem dotkliwą stratę czasu i pieniędzy, pomijając niewłaściwość (przynajmniéj według naszych pojęć) używania profesorów uniwersyteckich do tego rodzaju zajęć, pomijając niepraktyczność i drobiazgowość całéj manipulacyi, niejednolitość programu, niekorzystną przewagę egzaminu piśmiennego nad ustnym, pomijając częstokroć zdarzającą się niestosowność pytań i tematów, pomijając inne mniéj ważne względy; za kardynalny błąd tego systemu uważamy to, że odrywa szkołę od jéj głównych zadań, t. j. od nauczania i wychowywania, a natomiast popycha ją do celów zewnętrznych i podrzędnych. Wychowaniu i nauce szkoła powinna oddać się z całym spokojem i w warunkach zupełnie normalnych; egzamina nie powinny być ani celem ani środkiem, lecz tylko jakby próbą tego, czy zadanie dobrze było postawionêm i czy trafnie zostało rozwiązaném. Dowiedzioną jest rzeczą, że im więcéj się egzaminuje, im więcéj się wystawia „stopni“, tym więcéj nauka staje się mechaniczną, tym gorsze bywają rezultaty. W Anglii zaś obecnie główna uwaga zwrócona na przygotowanie uczniów ad hoc do egzaminów: w każdéj szkole pewna ilość lepszych uczniów tresuje się według programów nadesłanych przez komisye egzaminacyjne, przy czém naturalnie zaniedbują się inni mniéj zdolni uczniowie; dzieje się zaś to dla tego, ażeby szkoła figurowała w gazetach z jak największém odznaczeniem! (1). Tak więc szkołom angielskim zagraża niebezpieczeństwo: ażeby złudne rezultaty egzaminów nie odniosły przewagi nad istotnemi celami szkoły, ażeby gorączkowa chęć odznaczenia się nie zwichnęła normalnego rozwoju, słowem aby blichtr nie zastąpił rzeczy. Przeciw temu niebezpieczeństwu posiadają wszakże szkoły angielskie wyborną broń i silną oporę w swych starych tradycyach, oraz w praktycznym i trzeźwym rozumie Anglików, pomiędzy którymi dziś już odzywają się głosy stanowczo potępiające istniejący obecnie system egzaminów (2).

---

(1) „Cram i cramming“ (właściwie „napchać, napakować, obładować“) jest w szkołach i uniwersytetach angielskich pospolite techniczne wyrażenie, tak jak u nas „kuć i kucie“ albo u Niemców „einpaucken;“ szkołę zaś ktoś w Anglii złośliwie nazwał „racing stable“ t. j. stajnią do hodowania koni wyścigowych!

(2) Wiese (II, str. 188) przytacza następne oderwane zdania z pism pedagogów angielskich.—Jeżeli nadal tą drogą (egzaminów) pójdziemy, to całkiem zepsujemy wychowanie naszéj młodzieży i spaczymy charakter narodowy.—Grozi nam niebezpieczeństwo pomięszania zdolności połykania ze zdolnością trawienia —Manja egzaminów posu-

Jednakże sama myśl egzaminów była uzasadnioną: egzamina bowiem miały wprowadzić do szkół angielskich pewną jednolitość, świadectwa zaś wydawane przez uniwersytety miały nadać tymże pewien autorytet, miały zastąpić władzę, któréj w Anglii dla szkół wyższych nie było i nie ma. Im większą była nieufność do rządu, z tym większą gotowością poddawano się kierownictwu uniwersytetów i innych ciał uczonych; lecz zamiast rzeczywistych korzyści i w zamian za wiązkę patentów zwaliła się na szkołę prawdziwa pańszczyzna egzaminów i zależność daleko gorsza od biurokratycznéj; gdyż przez nią szkoła staje się zależną na zewnątrz i krępuje się w swym normalnym wewnętrznym rozwoju.

Tak więc szkołom angielskim brak spójności w organizacyi, jednolitości w programie nauk i egzaminów, brak solidarności w działaniu pojedyńczych zakładów. Nawet rzeczy tak prostéj i zdaje się, tak łatwéj do przeprowadzenia, jak to, ażeby egzamina odbywały się tylko w saméj szkole przed własnymi nauczycielami, nie zaś po za szkołą przed obcymi i niekoniecznie kompetentnymi egzaminatorami, oraz aby świadectwa wydane przez szkołę miały uznanie w całym kraju, nie podobna w Anglii przeprowadzić; różnice bowiem między szkołami są ogromne, autorytet zaś szkoły niczém nie poparty.

Od r. 1869 odbywają się prawie corocznie (w Grudniu) k o n f e r e n c y e r e k t o r ó w szkół pewnych kategoryj, zwłaszcza szkół uposażonych, w celu narad i postanowień w różnych kwestyach szkolnych. Konferencye te mogłyby być bardzo pożytecznemi, mogłyby nawet z czasem zastąpić władzę szkolną, gdyby na nich więcéj zajmowano się praktycznemi kwestyami szkolnemi i mniéj tracono czasu na załatwienie formalności. Główny i bardzo wybitny cel ich stanowią narady, jak bronić swoich przywilejów i niezależności przeciwko rządowi. Nieufność Anglików do rządu jest rzeczą bardzo charakterystyczną i tém więcéj zastanawiającą, że w żadnym kraju rząd nie jest więcéj w zgodzie z opinią publiczną i z wolą narodu

---

niętą została do ostatnich granic.—Inny, robiąc złośliwą aluzyę do ustawicznych wędrówek na egzamina, przyrównuje nauczycieli do „powozów“ a szkołę do „zakładu wynajmowania powozów“ i powiada: System, przez który nauczyciele zostali zamienieni w powozy, jest systemem przeciwnym prawdziwemu pojęciu o wychowaniu; szkoła zaś, która się zamienia w zakład wynajmowania powozów, nie jest zakładem wychowawczym we właściwém znaczeniu tego wyrazu. Albowiem spokój i trwałość, które panują we wszelkiém zdrowém wychowaniu, obcém są gorączkowemu usposobieniu, które panuje w przedpokoju lokalu egzaminacyjnego.

jak w Anglii. Lecz tradycye Anglików oraz przekonanie, że wychowanie jest rzeczą prywatną nie państwową, są jeszcze tak silnemi, że wszystko cokolwiek wychodzi od rządu napotyka niechęć i nieufność, natomiast zaś osoby i stowarzyszenia prywatne z łatwością pozyskują zaufanie publiczności a nawet przyswajają sobie atrybucye jakby jakiéj władzy lub powszechnie uznanego ciała uczonego.

Do takich stowarzyszeń zaliczyć należy przedewszystkiem istniejące w Londynie od roku 1846 College of Preceptors (kolegium albo stowarzyszenie nauczycieli), którego członkami oprócz pedagogów jest także wielu ludzi zajmujących wysokie stanowiska.— Głównem zadaniem stowarzyszenia jest przysposabianie nauczycieli do średnich zakładów naukowych. W tym celu utrzymuje ono w Londynie rodzaj seminaryum nauczycielskiego (Training class for teachers) z osobną katedrą dla pedagogiki; wystawia na mocy odbytych egzaminów dyplomy na nauczycieli szkół średnich i wyższych, a nawet na mocy specyalnych egzaminów udziela stopnie naukowe (Associate albo Licentiate albo Fellow of the College of Preceptors) takim osobom, które nie były w możności odbycia studyów uniwersyteckich. Nadto, jak wyżéj wzmiankowaliśmy, stowarzyszenie urządza egzamina uczniów ze średnich zakładów naukowych i wystawia świadectwa, które mają takie same uznanie, jak świadectwa wydane przez uniwersytety; wreszcie wydaje czasopismo pedagogiczne pod tytułem „Educational Times.“

II.

Klasyfikacya szkół wyższych. — Podział według stopnia: szkoły średnie, gimnazya i uniwersytety. — Podział według rodzaju.— Według płci: męskie, żeńskie i mieszane; według pochodzenia: szkoły uposażone i nieuposażone; według celu: konwikty i szkoły dzienne; według programu: klasyczne, realne i mieszane.—Kompleksa szkół.— Szkoły wyznaniowe.—Podział według patronatu i praw własności: szkoły publiczne i prywatne. — Podział według stanów.—Szkoły międzynarodowe —Różnorodność szkół angielskich i jednolitość wychowania przez narodowość.—Jednolitość inteligencyi.

Klasyfikacya szkół wyższych w Anglii jest bardzo trudna: najprzód z przyczyny wielkiéj rozmaitości zakładów naukowych różnego stopnia i charakteru; następnie dla tego, że granice pomiędzy szkołami różnych kategoryj nie są stałe, lecz częstokroć jedna kategorya szkół przechodzi w zakres drugiéj. Samo określenie

szkoły wyższéj przedstawia trudności. Jeżeli szkołą wyższą nazwać taką, w któréj oprócz religii, czytania, pisania i rachunków uczą jeszcze innych przedmiotów, np. języków obcych (starożytnych lub nowożytnych), to w takim razie wiele szkół elementarnych w Anglii i prawie wszystkie w Szkocyi należałoby zaliczyć do wyższych, gdyż w nich—jakeśmy widzieli—oprócz elementarnych uczą także przedmiotów właściwych szkołom wyższym.

Jakbądź, według *stopnia* szkoły wyższe angielskie dają się podzielić w następujący sposób.

Przejście od szkół elementarnych do wyższych albo uczonych stanowią „szkoły średnie“ znane w Anglii pod ogólną nazwą „Middle class schools“ (właściwie „szkoły dla klas średnich“), odpowiadające niemieckim Bürgerschulen, mające na celu dać gruntowne i przeważnie realne wykształcenie młodzieży, poświęcającéj się zawodom praktycznym, jak handel, rzemiosła i t. p. Szkoły te przeznaczone są dla stanu średniego, który z jednéj strony reprezentuje przemysł i handel, a z drugiéj strony przez swą zamożność i wskutek reform wyborczych (parlamentarnych i municypalnych), przeprowadzonych w ostatnich dziesiątkach lat, odgrywa także ważną rolę polityczną. Niedawno dopiéro zwrócono uwagę na dotkliwy brak szkół dla klas średnich; podczas gdy wychowanie klas niższych i przez rząd i przez prywatnych dostatecznie zostało zabezpieczoném, a klasy wyższe oddawna posiadają znaczną ilość odpowiednich zakładów naukowych. Dla tego też w ostatnich czasach na żadném polu szkolnictwa angielskiego nie widać takiego krzątania i takiego nawoływania, jak właśnie na tém polu. Tak w roku 1866 zawiązało się wspomnione wyżéj towarzystwo w celu zakładania szkół dla klass średnich; niektóre cechy w Londynie i w innych miastach z własnych funduszów założyły także kilka szkół tego rodzaju; nadto są silne starania o to, ażeby znaczne fundusze miejskie, pochodzące z legatów, użyć na ten cel. Przy niektórych zakładach naukowych otworzono klasy równoległe, odpowiadające właśnie takim szkołom średnim; wreszcie niektóre zaliczone przez nas do szkół elementarnych są właściwie szkołami średniemi, jako to: szkoły handlowe i tak zwane Birbeck-schools, szkockie Middle-class i Burgh-schools, oraz prawie wszystkie szkoły towarzystwa narodowego i brytańskiego.

Szkoły odpowiadające naszym gimnazyom i wyższym szkołom realnym mają w Anglii różne nazwy, jako to: public schools, grammar schools, colleges. Nazwa „public school“ w zwykłém użyciu nie oznacza tego, co właściwie oznaczać powinna, t. j. szkołę publiczną w przeciwieństwie do prywatnéj (gdyż wszystkie szkoły są prywatne),

lecz jest tylko tradycyjną i konwencyonalną; tak mianowicie nazywają niewielką ilość starych słynnych szkół, połączonych z konwiktami, które właściwie wypadałoby nazwać „szkołami gramatyki“ albo „szkołami łacińskiemi,“ dla tego, że głównymi przedmiotami wykładowymi są w nich języki starożytne. „Grammar school“ jest właściwie to samo co public school, lecz w zwykłém użyciu tak nazywają podrzędniejsze public schools; dodać i to należy, że wiele z nich nie posiada konwiktów. „College“ jest ogólną nazwą dla jednych i drugich. W Szkocyi gimnazyum nazywa się także „High school“ (szkoła wyższa) albo „Academy;“ natomiast „public school“ oznacza w Szkocyi wszelką szkołę, zostającą pod zarządem Rady szkolnéj (School board). Nieco wyższe od poprzednich są tak zwane Collegiate schools albo Collegiate institutions albo Univercity colleges. Są to albo zakłady naukowe charakteru mieszanego, nawpół gimnazyum na wpół uniwersytet; albo téż kurs gimnazyalny (czyli przygotowawczy) prowadzi się w nich oddzielnie od uniwersyteckiego. Większa część tych szkół, zwłaszcza starsze, dążą do przekształcenia w rzeczywiste uniwersytety,' lecz dotąd nie otrzymały prawa udzielania stopni uczonych. Przedmiotami naukowymi są w nich głównie nauki ścisłe w praktyczném zastosowaniu, lecz także języki starożytne i nowożytne, literatura i historya, prawo i medycyna. Na szczycie hierarchii szkolnéj stoją uniwersytety, które wszakże w Anglii, a zwłaszcza w Szkocyi, więcéj są szkołami, aniżeli uniwersytetami w naszém znaczeniu; oraz specyalne zakłady naukowe dla teologów, prawników, lekarzy, wojskowych, architektów i t. d. w których obok specyalnego jest także reprezentowane ogólne humanitarne wykształcenie.

Według *rodzaju* albo *charakteru* szkoły podziały mogą być rozliczne.

I tak podług *płci* rozróżniają w Anglii (jak wszędzie) szkoły wyższe dla chłopców (męskie) lub dla dziewcząt (żeńskie) lub téż mieszane dla obojéj płci. System szkół mieszanych, powszechnie przyjęty w Ameryce nietylko w szkołach elementarnych, lecz także w szkołach wyższych i uniwersytetach, a nawet we wspólnych pensyonatach dla obojéj płci, zastosowany jest w Anglii prawie tylko w szkołach elementarnych; chociaż liczy i w Anglii gorących zwolenników, którzy chcieliby go zastosować do wszystkich zakładów naukowych.

Według *pochodzenia* szkoły mogą być: kościelne, miejskie, uposażone lub zakłady dobroczynne. Ostatnie dwie kategorye nazywają się: albo foundations, albo endowed schools, albo charities.. Prawie wszystkie szkoły wyższe t. j. przedewszystkiém public- i grammar-

schools są „uposażone“ (endowed) i to albo całkowicie albo częściowo, stosownie do tego, czy posiadają dostateczny fundusz do całkowitego utrzymania lub nie. „Fundacyami“ nazywają przedewszystkiém stare słynne szkoły publiczne, o których już mówiliśmy. „Zakładami dobroczynnemi“ (charities albo charity schools) nazywają głównie szkoły dla biédniejszych klas ludności. Osobny gatunek tych ostatnich stanowią tak zwane „Hospitals“ t. j. zakłady dobroczynno-naukowe (niższe i wyższe) z alumnatami i stypendyami, których zwłaszcza w Szkocyi jest znaczna ilość.

Jeżeli szkoła ma na *celu* i wychowanie i naukę, natenczas jest zakładem zamkniętym, „boarding school“ (konwikt, alumnat, pensyonat); jeżeli zaś ma na celu głównie naukę, natenczas zowie się „szkołą dzienną“ (day school) t. j. szkołą z przychodnimi uczniami jak w naszych gimnazyach. Prawie wszystkie stare public schools są konwiktami, większa zaś część powstałych w nowszych czasach grammar schools są szkołami dziennemi. Oddawać konwiktom pierwszeństwo przed szkołami dziennemi, nietylko należy do dobrego tonu, lecz i pod względem wychowawczym uważa się za korzystniejsze. W Szkocyi jest mniéj konwiktów jak w Anglii; lecz wiele szkół dziennych przyjmuje także pensyonarzy, przez co szkoła otrzymuje charakter mieszany.

Według *programu* przedmiotów naukowych szkoły są: albo klasyczne albo realne albo mieszane z jednym i drugim kierunkiem. W tym względzie najtrudniéj rozpoznać charakter szkoły. Do niedawnego czasu we wszystkich szkołach publicznych i szkołach gramatyki przeważał, a nawet prawie wyłącznie panował kierunek klasyczny; lecz w ostatnich czasach przez wprowadzenie do planu szkolnego nauk przyrodzonych i języków nowożytnych, oraz przez rozszerzenie planu historyi, jeografii i matematyki, nastąpiło w znacznéj części szkół połączenie obydwóch kierunków. Niektóre szkoły gramatyki, tak istniejące oddawna, jak zwłaszcza założone w ostatnich czasach, zostały przekształcone na szkoły realne, z zatrzymaniem jednakże wykładu języka łacińskiego, a niekiedy nawet (dla życzących) i greckiego. Często też szkoła składa się z trzech oddziałów, a mianowicie: jednego wspólnego niższego albo przygotowawczego i dwóch oddzielonych wyższych; z tych ostatnich jeden jest klasyczny zwany także ogólnym (classical albo general side), drugi zaś realny zwany także nowożytnym (mathematical or modern side). Każdy z oddziałów składa się naturalnie z kilku klas.

Dość często zdarza się w Anglii *połączenie* pod jednym zarządem kilku szkół odmiennego charakteru, a nawet znajdujących się w różnych miejscowościach. Tak np. do jednéj z londyńskich szkół

publicznych należy (jako filia) szkoła przygotowawcza w Hertfordzie; a wspomniana wyżéj korporacya SS. Mary and Nicolas w Londynie założyła trzy szkoły w różnych miejscowościach południowéj Anglii, które, pomimo, że jedna jest gimnazyum klasyczném, druga szkołą realną, trzecia wyższą elementarną— stanowią jedną całość albo kompleks.

Ważnym jest także podział szkół pod względem *wyznaniowym*, chociaż kwestya religijna (religions difficulty) w szkołach wyższych wcale niema tego znaczenia, jak w szkołach elementarnych. Jakeśmy wyżéj widzieli, za ministeryum Gladstonea w większéj części szkół uposażonych zniesiono ograniczenia, istniejące na niekorzyść dyssydentów i katolików; lecz za to w innych, do których powyższe rozporządzenia nie zostały zastosowane, jak również i w szkołach nowo założonych, tym większy położono nacisk na charakter wyznaniowy. Tak tedy dziewięć starych szkół publicznych są wybitnemi szkołami anglikańskiemi, gdyż w nich tylko członkowie kościoła anglikańskiego mogą korzystać ze stypendyów i beneficyów i tylko anglikanie mogą w nich pełnić obowiązki rektorów i nauczycieli.— Tak samo i wszystkie szkoły założone w ostatnich czasach pod auspicyami kościoła panującego mają wybitny charakter anglikański, nie mówiąc już o szkołach katedralnych i innych istniejących przy kościołach anglikańskich. Z drugiéj znów strony i dyssydenci posiadają znaczną ilość wyższych zakładów naukowych, jako to: Weslejańczycy, Metodyści, Independenci. Bardzo dobréj opinii używają szkoły Kwakrów, a także szkoły braci Morawskich, znane i na stałym lądzie z wzorowego kierunku. Do szkół dyssydentów uczęszcza także młodzież innych wyznań. Szkoły katolickie, ze wzrastającym wpływem katolicyzmu w Anglii, mnożą się coraz więcéj; tak np. oprócz wielu pomniejszych istnieje w saméj Anglii kilka większych kolegiów pod kierunkiem Jezuitów. — W Szkocyi oprócz szkół zostających pod zarządem rady szkolnéj, są szkoły należące do zarządu panującego kościoła szkockiego, kościoła wolnego, episkopalnego i rzymsko-katolickiego.

W kraju, w którym całe wyższe szkolnictwo jest rzeczą prywatną i fundusze czerpie głównie z legatów, bardzo ważną jest kwestya *patronatu i praw własności*. Pod tym względem szkoły dzielą się na: public-proprietary i private-schools. Konwencyonalne znaczenie nazwy „public schools" już wyżéj zostało objaśnioném; właściwe jednak i prawne znaczenie jest o wiele obszerniejszém i prawie równa się znaczeniu szkół „uposażonych" (endowed schools). W Anglii bowiem wszelki zapis uczyniony na rzecz szkół, czy to pewnéj miejscowości, czy pewnéj prowincyi, czy też całego kraju, uważa się jako

ofiara publiczna, jako własność narodowa, i w tem właśnie znaczeniu wszystkie szkoły uposażone nazywają się *publicznemi.* Kontrolę nad funduszami szkolnymi, pochodzącymi z legatów, posiada wspomniany wyżéj Court of Chancery; zresztą zaś rząd, nawet w szkołach uposażonych przez królów, nie posiada ani *wyłącznego* prawa patronatu ani prawa własności, lecz jedno i drugie należy do kuratoryum każdéj szkoły. Kuratorya te noszą różne nazwy; najczęściéj zowią je: governing bodies (ciała zarządzające); kuratorów zaś zowią „trustees.“ Skład kuratoriów jest bardzo rozmaity, niekiedy nawet bardzo dziwaczny, stosownie do woli zapisodawców lub na mocy zwyczaju, jaki się z czasem wyrobił i uzyskał moc prawną. Tak np. w kilku ze starych szkół publicznych do kuratorium należą reprezentanci uniwersytetów Oksfordzkiego i Kembrydżskiego, oraz królewskiéj akademii nauk; niekiedy ciało nauczycielskie włącznie z rektorem ma prawo wybrać także jednego kuratora. W ogólności prawo patronatu nad szkołami posiadają (oprócz rządu, który w pewnych razach może także mianować jednego lub kilku kuratorów): kościoły, uniwersytety, miasta, korporacye i stowarzyszenia wszelkiego rodzaju. W Szkocyi niektóre szkoły zwolniły się od patronatu miejskiego, do którego dotąd należały, a przeszły pod zarząd rady szkolnéj, w skutek czego przy miastach pozostały się tylko prawa honorowe.

Tak zwane „proprietary schools“ są własnością osoby albo częściéj stowarzyszenia prywatnego, które założyło szkołę w interesie własnym albo w interesie pewnego wyznania lub pewnéj klasy ludności; albo téż są własnością towarzystwa akcyjnego, które je założyło na spekulacyę.

W zwykłém użyciu odróżniają od powyższych „szkoły prywatne“ w ścisłém znaczeniu t. j. zakłady naukowe utrzymywane i kierowane przez *jednę* osobę prywatną. Szkoły takie zowią także bardzo często „adventure schools“ t. j. szkoły utrzymywane na ryzyko (adventure) osoby prywatnéj.

W kraju tak arystokratycznym, jak Anglia, i w szkole odbijają się różnice *stanów,* jak w żadnym kraju. Są szkoły dla wyższych, średnich i niższych stanów, dla zamożnych i niezamożnych. Zwierzchnicy niektórych arystokratycznych konwiktów nie przyjmują np. synów drobniejszych kupców i wogóle takich, którzy mają sklep otwarty; z drugiéj znów strony bogaci hurtownicy lub przemysłowcy chętnie oddają synów do arystokratycznych kolegiów, ażeby w nich synowie nabrali manier wielkiego świata, oraz ażeby przez koleżeństwo z młodymi dżentelmanami wyrobili sobie stosunki na przyszłość.— Rzecz naturalna, że i koszta utrzymania w konwiktach są bardzo nie-

równe, stosownie do wyższego lub niższego tonu przyjętego w tychże; tak samo się ma z wysokością opłaty szkolnéj (por. niżéj).

Jako curiosum wspomnieć wreszcie wypada o tak zwanych *szkołach międzynarodowych* (international schools), nie pozostających w związku z żadną kategoryą wyżéj wyszczególnionych szkół. Myśl do takich szkół podał Francuz Eugeniusz Rendu w czasie wystawy paryskiéj 1862 r.; w Anglii zaś znalazła ona gorliwego zwolennika zwłaszcza w Cobdenie. Plan był pierwotnie nakreślony na wielką skalę: miano utworzyć wielkie międzynarodowe towarzystwo akcyjne i założyć gimnazya w Oksfordzie, Paryżu, Monachium i Florencyi. Program nauk miał być tak ułożony, iżby młodzież różnych narodowości, w wieku od 11 do 18 lat, co dwa lata mogła przechodzić z jednego kraju do drugiego, a w przeciągu lat ośmiu ukończyć całkowity kurs gimnazyalny. Język kraju, w którym znajdowało się gimnazyum, miał być językiem wykładowym. Ztąd obiecywano sobie nietylko nabycie czterech głównych języków europejskich, lecz także chodziło o to, żeby przez zbliżenie do siebie młodych ludzi różnych narodowości i przez poznanie krajów obcych, wykorzenić przesądy i nienawiści narodowe i tym sposobem przygotować erę powszechnego pokoju europejskiego; przytém jednakże nie zwrócono uwagi na to, jak wielkie trudności wynikną przy wykładzie w kilku językach i jak powierzchowne w skutek tego będą rezultaty. Plan pierwotny nie przyszedł do skutku głównie dla tego, że na stałym lądzie nie znalazł poparcia; lecz w saméj Anglii powstało i istnieje dotąd kilka szkół międzynarodowych, w których oprócz Anglików są uczniowie ze wszystkich stron świata, a wykład nauk odbywa się w kilku językach. Rzecz naturalna, że takie zboczenie z drogi wskazanéj przez rozsądek i przez samą naturę, t. j. odstąpienie od wykładu w języku ojczystym, w którym jedynie nauka może być z pożytkiem zrozumianą i umysł prawidłowo rozwiniętym, dało się dotkliwie uczuć szkołom międzynarodowym, które też czy to w Anglii czy gdziekolwiek indziéj, należy uważać za pomysł chybiony.

Tak więc, jak widzimy, nie brak w Anglii zakładów naukowych dla wszechstronnego wyższego wykształcenia; zdawać by się mogło, że może jest ich nawet za wiele. Tak jednakże nie jest: w pewnych okolicach, zwłaszcza w wielkich miastach i w bliskości tychże jest rzeczywiście może nawet zbyteczna ilość, gdy w innych okolicach jest ich za mało, a nawet niéma wcale. Taki nierówny podział szkół wyższych widzimy w każdym kraju, którego rozwój historyczny był swobodny i normalny; gdyż wszędzie pewne okolice kraju w skutek różnych sprzyjających okoliczności, tak pod wzglę-

dem ekonomicznym jak i umysłowym wyprzedziły inne; lecz nigdzie nierówność ta nie jest tak rażącą jak w Anglii, co zresztą obecnie w wieku kolei żelaznych, a zwłaszcza też w Anglii, prawie żadnego niema znaczenia.

Niezmierna rozmaitość i bogactwo form wyższego szkólnictwa angielskiego objaśnia się też bardzo prosto zupełnie swobodnym rozwojem tegoż; jest ono bowiem wynikiem kilkowiekowéj umysłowéj pracy narodu i niezmiernie obudzonego ducha obywatelskiego, jest dowodem wyrobienia indywidualności, samorządu i samopomocy. Nic tu nie zostało zrobionóm bez udziału i samowiedzy narodu, nie zostało zadekretowaném z góry, przeniesioném z obczyzny, zaszczepioném niezręcznie na gruncie jałowym lub nieprzygotowanym, nic nie zostało stłumioném, zwichniętém lub spaczoném przez czczy formalizm, albo przez nienaturalne i potworne narzucenie obcych form. Jakżeż odbija różnorodność i niezależność szkół angielskich od jednostajności i centralizacyi stałego lądu! Francya np. i Anglia są na polu wychowania jakby dwa przeciwne bieguny. Taki fakt, jak ten, że pewien minister francuzki, trzymając zegarek w ręku, mógł cudzoziemcowi dokładnie wskazać, nie tylko jaki przedmiot wykłada się w danéj godzinie we wszystkich liceach francuskich, ale nawet co w danym przedmiocie w tejże godzinie się przechodzi— jakżeż odmiennym jest od romantycznego chaosu szkół angielskich, w których nawet program nauk jest tak odmienny, że trudno np. uczniowi przejść z jednéj szkoły do drugiéj takiejże kategoryi i dostać się do odpowiedniéj klasy.

A jednakże pomimo takiéj różnorodności panuje w szkólnictwie angielskiém jedność i stałość tak pod względem wychowawczym jak i naukowym. Anglia jest krajem kontrastów i paradoksów: we wszystkiém obok różnorodności form istnieje jedność rzeczy i ducha; albowiem ponad pstrą mieszaniną form, wytworzonych w ciągu wieków i zakonserwowanych z przeszłości, ponad różnicami wyznaniowemi i społecznemi, ponad antagonizmem stronnictw i ras, góruje idea państwowa i idea narodowości. Tak też i w szkołach angielskich narodowość jest punktem środkowym, około którego wszystko się skupia; jest ideą przewodnią i potężną dźwignią nadającą wszystkiemu ruch i życie; jest ciepłem ożywczém, bez którego szkoła, jak każda instytucya publiczna, pozostanie martwym mechanizmem. Ztąd to—dzięki właśnie téj silnéj podstawie, jaką w szkołach angielskich stanowi narodowość—i charakter narodowy Anglików jest tak wybitny i tak jednolity, jak zapewne żadnego narodu w Europie. W Anglii nawet ucząca się młodzież przejętą jest poczuciem i szlachetną dumą narodową; wié bowiem dobrze o tém, że należy do

wielkiego wolnego narodu, znanego i szanowanego na całéj kuli ziemskiéj....

Jedno tedy zadanie tak rodziny jak szkoły jest kształcenie charakteru czyli *wychowanie*, na które w szkołach angielskich największy kładą nacisk; drugiém zaś zadaniem szkoły jak *nauka*. I pod tym ostatnim względem, pomimo niezmiernéj rozmaitości w szczegółach, istnieje jedność w całości: suma wiedzy i poglądów, jaką młodzieniec angielski wynosi ze szkoły, jest w przecięciu jednakową u wszystkich. Szkoły bowiem angielskie mają wspólne pewne stare tradycye i pewne stałe normy, z któremi niżéj obszerniéj zapoznamy czytelnika. Ztąd też poziom umysłowy klas oświeconych i jednolitość inteligencyi jest zapewne w Anglii większą, aniżeli gdzieindziéj, co bezwątpienia nadaje Anglii pewną przewagę umysłową nad innymi krajami.

III.

Szkoły publiczne (public schools).—Wiadomość historyczna o dziewięciu wielkich szkołach publicznych.—Cel pierwotny i charakter tychże: flogging i fagging system, stare zwyczaje, gry i zabawy.—Zarząd szkoły: kuratorium, provost, fellows, headmaster, lower master, assistant masters.—System tutoryalny.—Urządzenie zewnętrzne szkoły.- Zajęcia wychowańców w domu i w szkole.—Podział szkoły; plan szkoły Etońskiéj.—Nazwy klas i oddziałów. — Promocye; system fachowy. — Rok szkolny. — Cenzury. Nagrody.

Pomiędzy średnimi zakładami naukowymi wiekiem, znaczeniem, zasługą i sławą najwybitniejsze miejsce zajmują stare bogate zakłady naukowe, połączone zazwyczaj z konwiktami, zwane powszechnie s z k o ł a m i p u b l i c z n e m i (public schools). Na szkoły te, przeznaczone przeważnie dla wyższych i najwyższych klas ludności (collegia illustria) „stara Anglia“ (old England) spogląda z dumą i radością, gdyż im obok uniwersytetów zawdzięcza niezliczony szereg mężów, którzy w kościele i w państwie, w sztuce i w literaturze przynieśli pożytek i sławę narodowi. Szkoły te są to—tak jak uniwersytety Oksfordzki i Kembrydżski—instytucye zostające w ścisłym związku z kościołem anglikańskim i z państwem, lecz niezależne i od jednego i od drugiego. Wzięły one początek w ogólno-chrześciańskiéj średniowiecznéj uczoności i dotąd pomimo reform wprowadzonych w ostatnich czasach w zewnętrznem i wewnętrznem urządzeniu wiernie przechowały tradycye średniowiecznéj szkoły; nadto wyrobi-

ły sobie tak wybitny wyznaniowy i narodowy charakter, iż poza granicami właściwéj Angili nie ma i nie może być podobnych im zakładów naukowych.

Każda ze szkół publicznych posiada kilkowiekową historyę.

Założycielem najstarszéj z nich był słynny Wykeham, biskup Winczesterski i kanclerz państwa, pierwszy reformator szkolnictwa angielskiego. On to rozszerzywszy uniwersytet w Oksfordzie przez założenie w nim nowego kolegium (istniejącego po dziśdzień New college) w r. 1387 założył w swéj rezydencyi biskupiéj, jako szkołę przygotowawczą do tegoż, Winchester college. Kolegium to miało głównie służyć celom kościelnym, gdyż składało się ze zwierzchnika duchownego (warden), oraz dziesięciu kapelanów i sług kościelnych, których zadaniem była służba boża: lecz w połączeniu z niem była szkoła i konwikt na 70 uczniów pod kierunkiem nauczyciela wyższego—„headmaster“—i niższego—„lower master“—nazwy, które się dotąd we wszystkich szkołach angielskich przechowały. Szkoła miała pierwotnie służyć tylko celom kościelnym tj. miała z niższych klas ludności wydobyć zdolniejsze siły i wykształcić na usługi kościoła.

Taki sam kościelny charakter miała pierwotnie najsłynniejsza ze wszystkich szkoła Etońska—Eton college—(schola Etona). Henryk IV założywszy w uniwersytecie Kembrydżskim kolegium zwane dotąd King's college, założył w r. 1441, jako szkołę przygotowawczę do tegoż, kolegium w Eton (czytaj: Iton), nad Tamizą w blizkości Londynu, naprzeciwko Windsoru, rezydencyi królów angielskich. W akcie fundacyjnym wyraża król cel fundacyi w następujących słowach: „Na cześć i chwałę Tego, który cierpiał na krzyżu, na sławę przezacnéj dziewicy Maryi i ku pomocy przenajświętszego kościoła zakładamy i ustanawiamy kolegium, składające się z przełożonego (provost), dziesięciu duchownych, czterech sług kościelnych i sześciu chłopców do chóru, którzy codziennie służyć mają w służbie Bożéj; następnie z 25 biédnych uczniów, którzy mają się uczyć gramatyki (tj. języka łacińskiego); daléj z 25 biédnych i chorych ludzi, którzy za nasze zdrowie i pomyślność—dopókąd żyjemy, a za duszę naszą—gdy umrzemy—modlić się mają; wreście z nauczyciela, który bezpłatnie powyższych uczniów ma uczyć gramatyki, jak również i wszystkich tych, którzy z jakiejkolwiek części naszego królestwa Anglii wstąpią do kolegium.“ W krótkim czasie szkoła Etońska takiéj nabyła sławy i zachowała ją po wszystkie czasy, że najzamożniejsze rodziny oddawały do niéj swych synów na wychowanie, a i dziś jeszcze uczęszcza do niéj młodzież z najwyższéj arystokracyi. Liczba stypendystów oznaczoną jest w akcie fundacyjnym

na 25, lecz zaraz na samym wstępie przyjęto 70 i ta też ostatnia cyfra podziśdzień jest normalną. Dochód stały z ziemi i kapitałów wynosi obecnie około 30.000 f. rocznie; opłatę od wychowańców za naukę i utrzymanie obliczają na 180.000 do 200.000 f., tak iż budżet roczny szkoły Etońskiéj wynosi przeszło 200.000 f. a szkoła uważaną jest bodaj czy nie za najbogatszą w świecie.

Wszystkie późniejsze szkoły publiczne nie posiadają charakteru duchownego, lecz mają wyłącznie wychowanie i naukę na celu; nie nazywają się też kolegiami, lecz po prostu „szkołami“ albo „łacińskiemi“ czyli „szkołami gramatyki“ (grammar schools). Tak w r. 1508 Jan Colet, dziekan kościoła Św. Pawła w Londynie, jeden z najuczeńszych mężów swego wieku i przyjaciel Erazma, założył przy tymże kościele szkołę (bez konwiktu), zwaną dotąd St. Paul's school albo Schola Coletana.

W r. 1552 Edward VI założył w Londynie Christ's Hospital dla biednych sierot, których na samym początku przyjęto 340. Szkoła ta, zwana także popularnie „szkołą niebieskich kapot“ (Blue—coat school) od koloru odzieży wychowańców, jest obecnie dla stanu średniego i dla biednych klas ludności tém, czém jest Eton dla arystokracyi. Dochody jéj wynoszą około 60.000 f. rocznie; nie mniéj jak 1500 młodzieży (w téj liczbie około 100 dziewcząt) otrzymuje w niéj (i w połączonéj z nią szkole w Hertfordzie) bezpłatnie wychowanie i utrzymanie. Kuratorium składa się z lorda majora i korporacyi miasta Londynu, oraz z kilkuset innych członków, którzy ofiarowali na rzecz szkoły przynajmniéj 500 funtów.

W r. 1560 królowa Elżbieta podniosła i uposażyła istniejącą oddawna lecz podupadłą Westminster school w Londynie. W tymże roku cech krawiecki w Londynie założył Merchant Taylor's school (bez konwiktu). Wawrzyniec Sheriff, bogaty kupiec londyński, uposażył szkołę w Rugby w r. 1567; Jan Lyon w Harrow w r. 1571. Tomasz Sutton założył w Londynie w r. 1611 Charterhouse school tj. „szkołę (klasztoru) Kartuzów,“ tak nazwaną od klasztoru po Kartuzach, w którym pierwotnie została pomieszczoną. Nazwę tę szkoła zachowała podziśdzień, pomimo że w ostatnich latach przeniesioną została w okolice Londynu do nowo wzniesionych gmachów, na co wydano nie mniéj jak 200.000 f.

Te tedy 9 szkół przedewszystkiém nazywają w Anglii publicznemi, chociaż oprócz nich jest jeszcze bardzo wiele innych zakładów naukowych, bądź to połączonych z konwiktami, bądź też bez nich. Niektóre z ostatnich istnieją nawet od dwustu i więcéj lat, większa część wszakże powstała dopiéro w bieżącém stuleciu;

wszystkie jednakże pod względem uposażenia i znaczenia o wiele ustępują pierwszym. Stare szkoły należy tedy uważać za głównych reprezentantów średniego szkólnictwa w Anglii; pomiędzy niemi znów szkoła Etońska, którą nieraz nazwano „uniwersytetem dla chłopców,“ najwybitniejsze zajmuje stanowisko. Do ostatnich czasów szkoły publiczne całkowicie przechowały swój stary średniowieczny charakter i długo opiérały się wszelkim reformom, których rząd i opinja publiczna żądała od nich. Najwięcéj konserwatywna ze wszystkich szkoła Etońska przez kilka dziesiątków lat odpierała wszelkie nowatorstwa swem niezłomnem „non possumus“: It always was so (zawsze tak było)! Nareście i ona, ostatnia ze wszystkich, uległa i (dopiéro od r. 1872) wprowadziła reformy w planie nauk, które przez inne szkoły (zwłaszcza przez szkołę w Rugby za czasu rektoratu słynnego Tomasza Arnolda) już dawniéj zostały przyjęte.

Przystępując teraz do opisania szkół publicznych uprzedzić musimy czytelnika, iż opis nasz z natury rzeczy nie może być dokładnym, gdyż rozmaitość w szczegółach jest tak wielką, iż wypadałoby—bez przesady mówiąc—opisać każdą szkołę z osobna, aby otrzymać dokładny obraz całości (1). W opisie naszym głównie będziemy mieli na uwadze kolegium Etońskie; raz dla tego, że najwięcéj o niém pisano, wskutek czego o niém posiadamy najdokładniejsze wiadomości; następnie dla tego, że szkołę tę uważać należy za wzór wszystkich szkół publicznych.

Szkoły publiczne połączone z konwiktami mieszczą się zazwyczaj po wsiach lub w małych miastach tj. właściwie na końcu tychże, tak iż tworzą jakby osobną kolonią. Warunki hygieniczne są

---

(1) Tak np. postąpił Voigt w swoich ciekawych i pouczających „Mittheilungen über das Unterrichtswesen Englands und Schottlands“ (1863); opisuje on szczegółowo pomiędzy innemi w Anglii: szkołę w Rugby i kolegja Etońskie i Westminsterskie w Szkocyi: High school w Edynburgu, Academy i Heriot's Hospital tamże, Madras college w St. Andrews.—Literatura o szkołach publicznych jest dosyć obfitą. Z niemieckich pisarzów oprócz Voigta, Wiesego i Schölla (którego gruntowny artykuł w Schmid'a Encyklopedyi cytowaliśmy Aten. zesz. Czerwcowy str. 441) przytaczamy; jeszcze małą ale cenną pracę Schachta p.t. über das Schulwesen Englands“ (1859). Z angielskich pisarzy zasługują na uwagę: Coleridge: On public school education (1861); Stounton: The great schools of England (1865); Creasy: Some account of the foundation of Eton college (1848). Bardzo ciekawym i obfitym w szczegóły jest: John Timbs „School days of eminent men“ (1858). Dla zapoznania się z trybem życia wychowańców w wielkich alumnatach i z zabawami narodowemi posłużyć mogą słynne „Tom Brown's School days, by an old boy“ przez Hughes'a (1857; włączone także do kolekcyi Tauchnitza klasyków angielskich), w niemieckiem opracowaniu Wagnera „Tom Brown's Schuljahre“ (1867).

jak najpomyślniejsze: świeże powietrze, drzewa, kwiaty, łąki, woda, obszerne place do zabaw, igrzysk i uroczystości—oto żywioły, bez których szkoła w Anglii obejść się nie może. Szkoły znajdujące się w zacieśnionych miejscowościach wielkich miast w ostatnich latach coraz więcéj poczęły przenosić się poza obręb tychże; te zaś, którym „religio loci“ nie pozwala opuścić swych siedlisk, niewielu mają wychowańców, jak np. szkoła Westminsterska w Londynie, licząca przecięciowo zaledwie 120—150 uczniów. Gmach szkolny jest zazwyczaj ozdobą okolicy; uderza on w oczy albo swoją starożytnością, albo téż—jeżeli został przebudowany lub nanowo wzniesiony w czasach ostatnich—swą wykwintnością i praktycznością. W gmachu szkolnym mieści się szkoła, kaplica, biblioteka, czytelnia, gabinety itd.; tu także mieszka rektor, a zazwyczaj i stypendyści lub téż pensyonarze prywatni rektora. Daléj ciągną się schludne domy nauczycieli, u których większa część wychowańców znajduje pomieszczenie; reszta stoi na stancyi u osób prywatnych mieszkających w pobliżu.

Pierwotnym celem konwiktów było wychowanie biednych chłopców. Lecz ponieważ w czasach dawniejszych były to prawie jedyne dobre szkoły, przeto uczęszczali do nich także synowie ludzi zamożnych i bogatych, tak iż z czasem liczba niestypendystów o wiele przewyższyła liczbę stypendystów. Tak np. w Eton w r. 1876 było 952 wszystkich uczniów, z których 70 stypendystów, 882 niestypendystów; tj. ostatnich było przeszło 12 razy więcéj jak pierwszych. Stypendystów nazywają „foundationers“ albo „resident pupils“ tj. uczniami mieszkającymi w zakładzie; niestypendystów zowią „non residents“ albo „oppidans“ tj. „miejskimi“ czyli mieszkającymi w mieście. Z czasem stypendya stały się przystępnemi i dla młodzieży zamożniejszéj (por. wyżéj); dla ułatwienia zaś studyów uniwersyteckich każda szkoła posiada stypendya w Oksfordzie i w Cambridge, przeznaczone specyalnie dla najlepszych wychowańców téjże.

Konwikty urządzone były dawniéj z surowością i ascetyzmem klasztornym. „Aut disce aut discede, manet sors tertia caedi“ (albo się ucz, albo się wynoś; pozostaje trzecia ostateczność—rózga)—taki napis dziś jeszcze wyczytać można na frontonie kolegium Winczesterskiego. Rózga tedy czyli słynny i osławiony „system (!) chłosty“ (flogging system) dawniéj często był w użyciu, a niejeden srogi rektor był postrachem młodzieży. Prawo bowiem wymierzania własnoręcznie chłosty oddawna przysługiwało i dotąd przysługuje tylko rektorowi, który czynność tę odbywa w przytomności jednego lub kilku nauczycieli, aby się zbytecznie nie unieść.—Porządek zajęć dziennych był ściśle uregulowany; pożywienie było bardzo proste i skrom-

ne (w Eton codziennie dawano baraninę na obiad); klasy, sale jadalne i sypialnie w celu zahartowania młodzieży, nie były nigdy opalane—zwyczaj, od którego w Eton odstąpiono dopiéro przed kilku laty.—Pomiędzy uczniami istniał (i dotąd istnieje) dziwaczny „fagging system.“ Uczniowi najwyższéj klasy służyło prawo wybierania sobie z pomiędzy młodszych kolegów „pachołka“ (fag), który obowiązany był wypełniać pewne małe posługi swemu „panu“ (master), za co ze strony tegoż miał zapewnioną opiekę i pomoc.—W każdéj szkole było dawniéj mnóstwo starych zwyczajów, obrzędów i uroczystości. Tak np. w szkole Westminsterskiéj odbywały się walki kogutów; zwyczaj przedstawiania komedyj łacińskich (Terencyusza) przechował się w téjże szkole dotąd. W Eton obchodzono dawniéj bardzo swobodnie zakończenie karnawału, a jeszcze do r. 1847 około zielonych świątek odbywano w fantastycznych kostiumach procesyą na sąsiednię górę (ztąd nazwa procesyi: „in montem“ albo tylko „montem“); przy tém od widzów zbierano składkę dla odchodzącego do uniwersytetu prymusa szkoły, częstowano ich solą, uczniów zaś nowicyuszów nacierano solą i obrzucano szyderczemi wierszami, po czém dopiéro tychże uważano za prawdziwych „scholares.“ Wszystkie te zwyczaje coraz więcéj wychodzą z użycia. Natomiast w pełnéj sile przechowały się dotąd gry i zabawy narodowe (athletic sports). Pływanie i wiosłowanie, słynny criquet, football (duża piłka albo balon popędzany nogami), racket (palant) itd.—są w Anglii, w kraju zagorzałych sportsmanów, ulubione rozrywki nie tylko młodzieży szkolnéj i uniwersyteckiéj, lecz i ludzi dojrzałych. W ostatnich czasach wprowadzono także do szkół ćwiczenia wojskowe; uczniom wyższych klas pozwolono nawet tworzyć korpusy ochotników, przyjmować udział i ubiegać się o premie w publicznem strzelaniu do tarczy. Z dawnych czasów odbywają się wyścigi i zapasy nie tylko pomiędzy wychowańcami jednéj szkoły, lecz także pomiędzy dwoma szkołami; tak np. Etończycy i Westminsterczycy często urządzają na Tamizie wyścigi na łodziach (regaty); również często odbywają się zapasy kriketowe (Cricket matches) itp.

Zwierzchni zarząd szkoły należy do kuratorjum, które—jakeśmy wyżéj widzieli—może być w rozmaity sposób złożone. Kuratoryum radzi i czuwa nad wszelkiemi sprawami tyczącemi się fundacyi, nominuje tam gdzie są kolegja (jak w Eton i Winchester) „proboszcza“ (provost albo warden) i członków kolegium (fellows), nadto rektorów szkoły wyższéj i niższéj (headmaster i lower master), a także wybiéra stypendystów; zresztą zaś nie miesza się wcale do wewnętrznego zarządu szkoły. Władza „provosta“ w Eton i Winchester nominalnie jest bardzo znaczną, lecz w rzeczywistości jest to

tylko urząd honorowy czyli raczéj bardzo korzystna synekura, którą może otrzymać tylko były wychowaniec i były nauczyciel szkoły, będący zarazem duchownym. Tak samo posady członków kolegium (fellows) są niczem więcéj jak bardzo dochodnemi synekurami.

Pozostają Headmaster i Lower master jako właściwi zwierzchnicy szkoły. Nazwy te pozostały się z dawnych czasów, kiedy przy każdéj szkole było tylko dwóch nauczycieli: jeden „główny“ albo „wyższy“—headmaster, drugi „niższy“—lower master. Z czasem, kiedy liczba nauczycieli znacznie się zwiększyła, Headmaster został zwierzchnikiem czyli *rektorem* całéj szkoły i specyalnie szkoły wyższéj (tj. wyższych klas, por. niżéj), Lower master zaś jest zwierzchnikiem szkoły niższéj i podwładnym pierwszego. Aby nie naruszać starych nazw i starego porządku, wszystkich innych nauczycieli nazwano „assistant masters“ tj. pomocnikami albo rektora szkoły wyższéj albo rektora szkoły niższéj, stosownie do tego, czy wykładają w wyższych czy też niższych klasach. Dodać jednakże należy, że nazwę „asystentów nauczycieli“ noszą właściwie przedewszystkiém nauczyciele języków starożytnych, gdy z nauczycieli matematyki tylko główny albo pierwszy nauczyciel tego przedmiotu nazwę tę posiada, inni zaś nauczyciele matematyki nazywają się „pomocnikami w szkole matematycznéj.“ Nauczyciele języków nowożytnych, rysunku, tańca itd. nazywają się zwykle „extramasters.“

Władza Headmastera jest prawie nieograniczoną: on bowiem nietylko na własną odpowiedzialność kieruje szkołą, czuwa nad karnością, układa plan, naznacza klasy i lekcye nauczycielom itd., lecz nadto ma prawo mianować i oddalać wszystkich nauczycieli szkoły wyższéj oraz nauczycieli szkoły niższéj oprócz klasycznych, których to ostatnich naznacza lub uwalnia Lower master. Taka centralizacya władzy w ręku jednego człowieka uderza bardzo w kraju takiéj decentralizacyi jak Anglia; jednakże powszechném jest w Anglii przekonanie, że dla jednolitego kierunku i w ogóle dla korzyści szkoły jest nieodzownem, ażeby zwierzchnik był nieograniczonym „królem i panem“ w swoim zakresie. Rzecz naturalna, że przy wyborze rektora zarządy szkół postępują z wielką skrupulatnością.

Liczba nauczycieli w wielkich szkołach publicznych dochodzi do 20 i więcéj; w Eton ciało nauczające składa się nawet blizko z 40 osób. Położenie finansowe nauczycieli jest wogóle bardzo dobre, nie tyle wskutek stałego uposażenia, ile głównie ze znacznych

dochodów, jakie mają z pensyonarzy. W szkołach bowiem angielskich wyrobił się (jak i w uniwersytetach) tak zwany systemtutorów. Słowo „tutor" oznacza właściwie nauczyciela domowego albo guwernera. Każdy uczeń musi mieć swego tutora pomiędzy nauczycielami. Obowiązki te pełni wobec uczniów stypendystów, mieszkających w zakładzie (1), sam Headmaster i dodany mu do pomocy inspektor; dla niestypendystów utrzymują nauczyciele, a nawet i rektorzy konwikty, do których przyjmują nieograniczoną liczbę pensyonarzy, zwykle 3o, niekiedy nawet i więcéj. Nauczyciel tedy jest tutorem wszystkich uczniów, stojących u niego na stancyi; w Eton jednakże wprawdzie wszyscy nauczyciele mogą utrzymywać pensyonaty, lecz tutorami mogą być tylko nauczyciele języków klasycznych; obowiązki zaś tutora wobec uczniów, będących na stancyi u nauczycieli nieklasyków, pełni nauczyciel języków klasycznych, za co otrzymuje osobne wynagrodzenienie (por. niżéj). Zadanie tutora polega nietylko na tém, aby czuwać nad moralnością i zdrowiem swoich wychowańców, lecz także przedewszystkiém na tém, aby pełnić wobec nich obowiązki nauczyciela domowego; tutor przechodzi tedy ze swoim uczniem lekcye zadane w szkole, przegląda i poprawia roboty piśmienne (które uczeń następnie oddaje nauczycielowi klasowemu i w formie pierwotnéj i w formie przerobionéj przez tutora) wypytuje się o to, jak w szkole odpowiadał itp. Tym sposobem nauczyciel, wykładający dany przedmiot w szkole, własciwie tylko kontroluje pracę swego kolegi, albo téż— co także może się zdarzyć —jeżeli tutor jest zarazem nauczycielem ucznia w szkole, natenczas podwójnie tegoż kontroluje; z drugiéj znów strony tutor kontroluje pracę nauczyciela klasowego. Przy systemie tedy tutoryalnym najważniejsza część nauczania przypada na pracę domową; w szkole głównie się tylko przesłuchuje, przegląda kajeta i zadaje. System tutoryalny uważają w Anglii (zwłaszcza w Eton) za bardzo ważny w wychowaniu młodzieży, a to głównie z dwóch względów: najprzód uważają za bardzo korzystne to, że uczeń przez cały czas pobytu w szkole zostaje bezpośrednio pod dobroczynnym wpływem i kontrolą dwóch umysłów, t. j. tutora i nauczyciela klasowego (z wyjątkiem krótkiego czasu, kiedy znajduje się w tym oddziale, w którym jego tutor jest zarazem nauczycielem

---

(1) Tak jest w Eton i Winchester; w innych znowu zakładach, jak np. w Rugby, jest zupełnie przeciwnie: stypendyści mieszkają w mieście, a w zakładzie u rektora jego właśni pensyonarze.

klasowym) (1); następnie za niemniéj ważny wzgląd uważają także wzajemną kontrolę nauczycieli nad sobą, bez któréj (jak sądzą w Anglii) nauczyciele mogliby się opuszczać, powierzchownie tylko przeglądać wypracowania uczniów i t. d.

Za całkowite utrzymanie w pensyonacie naczycielskim płaci się w Eton 150 f. rocznie; lecz włącznie z nadzwyczajnemi dodatkami (zabawy, ćwiczenia wojskowe, podróże i t. p.) koszta utrzymania jednego wychowańca wynoszą w Eton około 200 f. rocznie; nawet stypendyści dokładają jeszcze z własnych funduszów 25 f. i więcéj.— W innych mniéj arystokratycznych konwiktach, płaci się mniéj: tak np. w Rugby pensya kosztuje 120 f., a całkowity koszt wynosi 150 f. rocznie; w najtańszych konwiktach płaci się 50 f. a nawet i mniéj. (2) Ci uczniowie, których rodzice nie są w stanie opłacać drogiéj pensyi u nauczycieli, mieszkają w domach prywatnych czyli u tak zwanych „dam" (dames), gdyż dawniéj głównie kobiéty (wdowy po nauczycielach, pastorach i t. p.) trudniły się utrzymywaniem stancyj dla uczniów; oddawna wyrażenie to w Eton jest rodzaju wspólnego to jest może oznaczać także stancyę utrzymywaną przez mężczyznę. Uczniowie mieszkający na stancyi prywatnéj winni także mieć swego tutora pomiędzy nauczycielami, który codziennie zwiedza stancyę i cokolwiek pomaga uczniom w ich zajęciach, za co otrzymuje od nich po 10 gwinei (63 rs.) rocznego wynagrodzenia. Prawo wybierania tutora z pomiędzy nauczycieli przysługuje wyłącznie rodzicom; tutor też zastępuje miejsce rodziców, jest dla swego pupila zupełnie „parentis loco." Każdy nauczyciel ma jeszcze zwykle na stancyi uczniów prywatnych, nie uczęszczających do szkoły, lecz przysposabiających się do téjże lub do złożenia jakiego specyalnego egzaminu; takimi uczniami zajmuje się niezależnie od tych uczniów, dla których jest tutorem. Z uczniami uczęszczającymi do klas zajmuje się tutor także i takiemi przedmiotami, których w szkołach nie przechodzą albo uczą się niedostatecznie; daje im zwłaszcza rady i wskazówki, co i jak czytać powinni, rozwija w nich zdolność samodzielnego zajmowania się nauką, zachęca do przedmiotów takich, do któ-

(1) Zdarza się to bardzo rzadko, gdyż w Anglii nauczyciel nie prowadzi swych uczniów przez kilka klas (jak to ma zwykle miejsce u nas i w Szkocyi, o czém niżéj), lecz ma przez rektora na lat kilka wydzieloną swoją klasę czyli swój oddział, w którym prawie wszystkie przedmioty wykłada i którego jest „gospodarzem."

(2) Również i opłata szkolna w szkołach różnych kategoryj jest bardzo niejednostajna, dochodzi bowiem w niektórych do 25 f. rocznie, w najtańszych znów wynosi tylko 10 f. a nieraz i znacznie mniej. Opłata wnosi się na ręce rektora (o czém niżéj); stypendyści naturalnie za naukę nic nie płacą.

rych widzi w wychowańcu upodobanie i zdolności. W utrzymaniu porządku i dozoru nad młodszymi uczniami, tak w domu własnym jak i w domach prywatnych, wyręcza tutora najstarszy i najpoważniejszy uczeń stancyi, czyli tak zwany „prepostor" (praepositor); natomiast w udzielaniu pomocy naukowéj tutor żadnego pomocnika nie posiada. Każdy tutor jest także „gospodarzem" téj klasy, w któréj największą ilość lekcyj udziela; jako taki (oprócz zwyczajnych obowiązków nauczycielskich) powinien czuwać nad karnością i sprawowaniem powierzonéj mu (przez rektora) klasy, odwiedzać po domach uczniów nieobecnych w klasie i przekonać się o przyczynie ich nieobecności; nadto obowiązanym jest po kolei dyżurować na nabożeństwie i t. p. W jaki sposób jedna osoba podołać potrafi tak rozlicznym obowiązkom, jest to zagadka, któréj rozwiązanie wiadomém jest tylko pedagogom angielskim.

Urządzenie zewnętrzne szkół jest bardzo rozmaite. Szkoły, które się w nowszych czasach pobudowały, odpowiadają wszelkim wymaganiom pedagogiki i hygieny; natomiast inne, mieszczące się w starych gmachach, wiele jeszcze pozostawiają do życzenia. Charakterystycznym jest mianowicie ten szczegół, że dawniéj powszechnie a dziś jeszcze w wielu szkołach albo wszystkie albo kilka klas mieści się w jednéj wielkiéj sali, i to albo oddzielone jedna od drugiéj parawanem, albo téż wcale nieoddzielone. Jako przyczynę takiego urządzenia podają w Anglii najprzód wzgląd praktyczny: taka wielka sala jest bardzo dogodną dla pomieszczenia w czasie uroczystości szkolnych tak wszystkich uczniów i nauczycieli, jako téż i licznych zaproszonych gości; drugi wzgląd jest następujący: w kraju tak wysoko rozwiniętego życia publicznego, wśród gwaru licznego zebrania każdy powinien umieć orientować się, powinien wszystko widzieć i słyszeć; przeto—utrzymują Anglicy— dobrze już w szkole przyzwyczajać młodzież do uwagi i skupienia umysłu, co właśnie osiąga się przez połączenie kilku klas w jednéj sali. Jednakże względy pedagogiczne wzięły przewagę nad powyższemi: obecnie powszechnie starają się pomieścić każdą klasę w osobnym pokoju; tam zaś, gdzie jeszcze istnieje połączenie kilku klas w jednéj sali, starają się rozkład lekcyj tak urządzić, iżby jedna lub kilka klas miały „cichą" lekcyę (np. rysunki, rachunki na piśmie, lub wypracowania), podczas gdy inna klasa ma „głośną" lekcyę. Z wielu niedogodności zwłaszcza starych szkół, jakiemi są brak dobrego światła, wentylacyi i t. p., zasługuje na uwagę ten szczegół, że często ławki szkolne są bez oparcia, albo téż, co jeszcze częściéj się zdarza, zwłaszcza w wyższych klasach — nie mają pulpitów, tak iż uczniowie, chcąc

sobie coś zanotować, zmuszeni są pisać na kolanie. Ten niedostatek pochodzi ztąd, że uczniowie we wszystkich szkołach angielskich wogóle bardzo mało piszą w klasie, gdyż głównie zajmują się w domu, jakeśmy wyżéj widzieli. Nie należy wszakże sądzić, iżby gimnazyaści angielscy byli przeciążeni pracą domową; przeciwnie, z pewnością mniej zajmują się w domu od średnio-pilnego naszego ucznia; w przecięciu bowiem tylko od 1 do 2 godzin w niższych, od 2 do 3 godzin w wyższych klasach (1). Lekcyj szkolnych jest także znacznie mniéj jak u nas. Najprzód bowiem w sobotę zwykle w szkołach angielskich przez cały dzień jest rekreacya; oprócz tego w ciągu tygodnia często w jeden dzień jest półrekreacya t. j. niema lekcyj popołudniowych; nie mówiąc już o często zdarzających się uroczystościach szkolnych lub o starym zwyczaju panującym w Eton, na mocy którego za bardzo dobre wypracowanie, albo piękne wiersze łacińskie, napisane przez ucznia najwyższéj klasy, cała szkoła otrzymuje od prowosta pół albo cały dzień wolny. Lekcye trwają wprawdzie od godziny 9-téj lub 10-téj do godziny 3-éj; lecz są krótkie; trwają bowiem pół godziny, trzy kwadranse, rzadko całą godzinę a bardzo rzadko więcéj niż godzinę; pomiędzy lekcyami zaś są długie pauzy przeznaczone na zabawy lub na śniadanie. Tym sposobem właściwych lekcyj jest zaledwie 3—4 godzin, czasem i mniéj.

Podział szkoły na szkołę „wyższą“ i „niższą“ (upper school, ower school), niekiedy także i na „średnią“ (middle school) przechował się od wieków. Tak szkoła wyższa jak i niższa składa się z 3 klas; razem tedy powinno być 6 klas i nominalnie wszędzie liczba ta skrupulatnie jest zachowaną. Lecz ponieważ oddawna okazała się potrzeba utworzenia więcéj klas i oddziałów, przeto — niechcąc zarzucać starego porządku—wszystkie nowe klasy i oddziały wstawiono, jak się dało, w stary szemat. Tak np. w Eton nominalnie w szkole wyższéj i niższéj jest tylko 6, w rzeczywistości zaś 9 klas, a w tych nie mniéj jak 20 pododdziałów; tym sposobem uczeń rozpocząwszy od najniższéj a kończący na najwyższéj klasie powinien być 20 razy przesadzonym z klasy do klasy lub z oddziału do oddziału. Dodać bowiem winniśmy, że oddziały i pododdziały nie są wcale klasami równoległemi, lecz tylko nieznacznemi odcieniami jednéj klasy. Klasa najniższa nazywa się oficyalnie (jak u nas) pierwszą, najwyższa zaś szóstą.

---

(1) Jest tu mowa tylko o pomocy obowiązkowéj t. j. o przygotowaniu lekcyi szkolnych; że jednakże oprócz tego młodzież angielska pracuje pod kierunkiem tutorów nad uzupełnieniem swego wykształcenia, o tem już wyżéj napomknęliśmy i niżéj jeszcze omówimy.

Dla dokładności załączamy podział szkoły Etońskiéj, w którym cyfry rzymskie oznaczają klasy pierwotne i główne, cyfry zaś arabskie oznaczają tak te jak i klasy dodatkowe.

A. **Szkoła wyższa**.

1.	VI Klasa	2 pododdziały.
2.	V Klasa	
	a) Oddział wyższy	2 ” ”
3.	*b*) Oddział średni	2 ” ”
4.	*c*) Oddział niższy	2 ” ”
5.	Klasa przejściowa (Remove)	3 ” ”
6.	IV Klasa	3 ” ”
	6 Klas	14 pododdziałów.

B. **Szkoła niższa**.

7.	III Klasa	4 pododdziały.
8.	II Klasa	2 ” ”
9.	I Klasa	
	3 Klasy	6 pododdziałów.
	Razem 9 Klas	20 pododdziałów.

Nazwy klas, oddziałów i pododdziałów są rozmaite. Oprócz nazwy „class“ istnieją jeszcze: form (w Eton), division, book, school itp. Dla oddziału przejściowego powszechnie przyjętą jest nazwa „remove“ (właściwie „posunięcie“) lub trudna do przetłomaczenia nazwa „shell“. W Christ's Hospital istnieją następne nazwy klas: mały i wielki Erasmus, Grecy, deputacya Greków itp. W szkołach katolickich przechowały się stare nazwy szkół jezuickich, jak: poetyka, retoryka, filozofia. Jak dziwaczne nieraz nazwy istnieją dla pododdziałów, o tém świadczy podział trzeciéj klasy (właściwie „formy“) w Eton na następne 4 pododdziały: „nonsens“ tak nazwany dla tego, że uczniowie zaczynają tu składać wiersze łacińskie i to tylko metrycznie bez względu na sens; następnie idzie „sens“ tj. oddział, w którym przy składaniu wierszy zważa się także na sens; trzeci pododdział, w którym rozpoczyna się nauka języka greckiego, nazywają „niższym greckim“, czwarty „wyższym greckim.“

Klasy niższe są—zupełnie przeciwnie jak u nas—zwykle nieliczne, wyższe natomiast przepełnione. W Anglii bowiem, zwłaszcza w zamożniejszych rodzinach, panuje zwyczaj początkowe wychowa-

nie dawać w domu i dopiéro w 12 roku życia oddawać do szkoły: chłopcy tedy najczęściéj wstępują do 3 lub 4 klasy. Egzamin wstępny jest obecnie w szkołach publicznych obowiązkowym; natomiast nie istnieje wcale w saméj szkole egzamin dojrzałości, który uczniowie mogą zdawać, jeżeli zechcą, tylko przed komisyami egzaminacyjnemi, o których wyżéj była mowa. Jeżeli uczeń doszedł do 18 lub 19 roku życia a nie jest jeszcze w jednéj z dwóch najwyższych klas, może być zmuszonym do opuszczenia zakładu, co téż zwykle się praktykuje w szkołach publicznych. Liczba uczniów w klasie nie jest ograniczoną; tylko w klasie najwyższéj czyli VI, zwanéj zwykle „klasą rektora", dla tego że tenże wykłada w niéj większą część przedmiotów, nie może być więcéj jak 20 uczniów, których sobie rektor wybiéra z najzdolniejszych uczniów klasy V; inni zaś uczniowie klasy V albo opuszczają szkołę przebywszy w niéj rok jeden albo też pozostają jeszcze na rok w téjże klasie. Promocyę z klasy do klasy można otrzymać po upływie jednego roku (przyjąwszy 9 klas potrzeba 9 lat do ukończenia całkowitego kursu gimnazyalnego); promocye z jednego pododdziału do drugiego odbywają się kilka razy do roku. Promocya daje się albo na mocy opinii nauczycieli albo téż na mocy egzaminu; następnie albo (jak u nas) według postępów we wszystkich przedmiotach, albo téż daleko częściéj (co u nas jest rzeczą niesłychaną) według postępów w każdym przedmiocie oddzielnie. W Anglii bowiem w większéj części szkół istnieje jeszcze dotąd system fachowy, a nawet utrzymał się podział na oddziały albo na osobne „szkoły," jako to: szkoła klasyczna, matematyczna, przyrodnicza, języków nowożytnych. Według tego systemu klasy tworzą się w każdym oddziale nauk czyli w każdéj „szkole" osobno; uczeń może np. z języków starożytnych należeć do 4 lub 5, a z matematyki do 2 lub 3 klasy itd. Przy takim też systemie po każdéj lekcyi zmieniają się klasy, nie nauczyciele jak u nas; niekiedy zdarza się nawet, że uczniowie przychodzą do nauczyciela, który na nich czeka w swojéj klasie, gdy u nas rzecz się zawsze ma odwrotnie. Niekiedy promocya daje się według wieku; w Szkocyi zaś panuje jeszcze powszechnie ten zwyczaj, że uczeń bez egzaminu zostaje przyjętym i corocznie bez względu na postępy przesadzonym do wyższéj klasy; zwykle też przez cały kurs gimnazyalny zostaje pod kierunkiem tego samego nauczyciela, który prowadzi swoich uczniów przez wszystkie klasy i wykłada wszystkie albo większą część przedmiotów.

Rok szkolny dzieli się we wszystkich szkołach angielskich na trzy części (terms): od Nowego roku do Wielkiéjnocy, następnie do letnich wakacyj, wreście do Bożego narodzenia. Początek roku

szkolnego przypada po Nowym roku, koniec na Boże narodzenie; tym sposobem rok szkolny w Anglii zupełnie zgadza się z rokiem cywilnym, o co w innych krajach tylokrotnie—lecz napróżno—się upominano. Wakacyj na Boże Narodzenie i Wielkanoc jest po 3 tygodnie, w lecie (w Lipcu i Sierpniu) 2 miesiące; razem 15 tygodni w ciągu roku.

Cenzury dawniéj w szkołach angielskich wcale nie były znane i dziś jeszcze w szkołach prywatnych nie bywają udzielane; natomiast weszły w użycie w wielu szkołach publicznych, w których zresztą i tutor co miesiąc zawiadamia rodziców o postępach i prowadzeniu pupila.

Bardzo ważną rolę nie tylko w szkołach publicznych lecz w całém szkolnictwie angielskiém od szkoły elementarnéj aż do uniwersytetu, odgrywają premje czyli nagrody (prizes). W każdéj szkole bez wyjątku rozdają mnóstwo nagród, głównie w książkach (często bardzo kosztownych), niekiedy w pieniądzach i stypendyach (exhibitions, scholarships). Pozyskanie nagrody jest rzeczą bardzo upragnioną nie tylko dla uczniów, lecz i dla rodziców. Uczeń w ciągu roku za odznaczenie się otrzymuje pewną ilość marek (np. 100, 200, 300 i więcéj), które zapisują się na jego conto a pod koniec roku liczą się; na mocy zaś cyfry ogólnéj otrzymuje odpowiednią nagrodę. Marki udzielają się tak za odznaczenie się w pojedyńczych przedmiotach, jako też za dobre sprawowanie, za regularne uczęszczanie do szkoły itp. W szkołach prywatnych dochodzi to nawet do karykatury: w nich uczeń otrzymuje np. 200 marek za to, że po wakacyach nie spóźnił się; 100 marek za to, że przychodzi do szkoły z uczesaną głową, z pięknie zawiązanym krawatem itp.! Nagrody udzielają się pod koniec roku szkolnego na akcie uroczystym, zwanym powszechnie w Anglii „Spech day,“ na który zbiéra się mnóstwo publiczności. W dniu tym, w którym uczniom pozostawiają zupełną swobodę, nie obywa się bez wielkiéj wrzawy ze strony tychże; oklasków zaś na cześć nagrodzonych uczniów, dobroczyńców szkoły, zwierzchności i nauczycieli nie ma końca. Prezydującym czyli tak zwanym „chairman“ jest zwykle jaka uproszona do tego znakomita osobistość, który też własnoręcznie rozdaje nagrody i naturalnie wypowiada pochwalny „speech.“ Nazwiska premjowanych ogłaszają się w gazetach, przez co jeszcze więcéj podsyca się ambicya i próżność tak uczniów jak i rodziców. Pomijając dziwaczną i mechaniczną procedurę, zachowywaną przy ocenianiu postępów, pilności i sprawowania ucznia—taka przesada w udzielaniu nagród ze względów pedagogicznych nie wytrzymuje żadnéj krytyki. Najprzód bowiem, jak w przygotowaniu do egzaminów, tak i ze względu na na-

grody, nauczyciele zajmują się przeważnie zdolniejszymi uczniami, ażeby przez pozyskanie jak największéj ilości nagród podnieść renomę szkoły. Następnie, ponieważ nagrody—zamiast być rzeczą podrzędną—stały się czynnikiem pierwszorzędnym, przeto szkoła z drogi spokojnéj, systematycznéj pracy schodzi na bezdroża gorączkowego ubiegania się o rzeczy takie, które udzielane umiarkowanie i rozsądnie mogą być dobre, lecz udzielane przesadnie i nierozsądnie stają się śmiesznemi i szkodliwemi. Wreście nie mniéj ważnemi od pedagogicznych są względy moralne: nie ulega wątpliwości, że zwyczaj przesadnego premiowania nie może korzystnie wpłynąć na wyrobienie charakteru młodzieży, zwłaszcza na wpojenie w nią poczucia obowiązku. A jednakże, jak powszechnie wiadomo, poczucie obowiązku jest w Anglii głęboko wpojone we wszystkie warstwy społeczeństwa; i trudno zaiste zrozumieć, dla czego Anglicy w tym względzie tak stanowczo odstępują od jednéj z kardynalnych „cnót angielskich.“ Jest to tedy przeciwieństwo, jakich się wiele w Anglii napotyka; jest zagadka, którą chyba w ten sposób rozwiązać należy, że Anglicy powodują się tu zbytnią praktycznością, sądząc, że pieniądze są najlepszym bodźcem pracy i gorliwości. Egzamina tedy i nagrody są najsłabszą stroną szkolnictwa angielskiego; jedne i drugie w innym kraju mogłyby nawet być wręcz zgubnemi dla szkoły. Ograniczyć wszakże i zreformować zwyczaj udzielania nagród, jest rzeczą bardzo trudną w Anglii; albowiem publiczność i uczniowie tak są do nich przyzwyczajeni i tak wielką przypisują im wagę, że wielka ilość nagród jest jedną z najlepszych rekomendacyj szkoły.

(*dok. nast.*)

FRANCYA DAWNIEJSZA.

(Dokończenie).

Les Origines de la France contemporaine par H. Taine.—La Revolution, Tome I. Paris. Librairie Hachette et Comp. 1878.

Dwa uwydatniające się stany, duchowieństwo i szlachta, pomnożone przyrostem wszystkich uszlachconych, zbogaconych mieszczan i nabywców gruntów szlacheckich, tworzyły przy boku rządu uprzywilejowaną arystokracyą, która posiadała wszelkie jego łaski pod warunkiem, aby ich się domagała z wytrwałością i zręcznością; uprzywilejowaną w swych dobrach, gdzie korzystała z praw dawnego pana feodalnego bez spełniania jego funkcyi. Widocznie nadużycie było niesłychane i powinno było ustać.

Jakkolwiek jednakże stanowisko uprzywilejowanych w dobrach ich i w obec rządu było nadużyciem, nie wypływało stąd przecież, aby im trzeba było odbiérać w ich posiadłościach wszelkie bezpieczeństwo i wszelką własność lub téż w rządzie wszelki wpływ i wszelkie zatrudnienie. Bez wątpienia, arystokracya faworyzowana, skoro jest rozpróżniaczoną, jest wielkiém złém, zwłaszcza, gdy nie oddając usług odpowiednich swemu stanowisku, przywłaszcza sobie zaszczyty, urzędy, promocye, uwzględnienia, pensye ze szkodą innych nie mniéj zdolnych, równie potrzebujących a lepiéj zasłużonych. Natomiast jest wielką korzyścią arystokracya poddana wspólnemu dobru i prawu, skoro jest zatrudniona, nadewszystko skoro jéj używają odpowiednio do jej zdolności, a mianowicie skoro się z niéj tworzy wysoką izbę, wypływającą z wyborów

lub dziedziczną. Cokolwiekbądź, nie można jéj zupełnie zagładzić; ponieważ przekreślona prawem, zmartwychwstaje drogą faktu, a prawodawca może zawsze tylko wybiérać między dwoma systemami: między systemem, który ją pozostawia odłogiem a systemem, który jéj pozwala zbiérać żniwo; między systemem, który ją usuwa od służby publicznéj a systemem, który ją dla niéj pozyskuje. W każdém społeczeństwie, które żyło czas dłuższy znajdzie się zawsze zawiązek rodzin, których fortuna i znaczenie są dawnemi: nawet gdy grono podobne zdaje się być zamkniętém, jak we Francyi z przed roku 1789, wprowadza doń każde pół wieku nowe rodziny, ludzi parlamentarnych, urzędników, finansistów wyniesionych na szczyt drabiny społecznéj przez bogactwo, jakie zyskali lub przez wysokie urzędy, jakie piastowali; a właśnie w zastępie podobnie się tworzącym wyrasta najnaturalniéj mąż stanu, dobry doradzca ludu, polityk niezależny i kompetentny. Rzeczywiście, z jednéj strony jest człowiek téj sfery, dzięki swemu majątkowi i stanowisku, wyniesiony po nad potrzeby i pokusy pospolite. Może służyć bezpłatnie, nie potrzebuje się kłopotać o pieniądze, zaopatrywać potrzeby swéj rodziny, wychodzić na człowieka. Stanowisko polityczne nie przerywa jego zawodu; nie jest zmuszony, jak inżynier, jak kupiec lub lekarz poświęcać swego awansu, swych spraw lub swéj klienteli. Może się podać do dymisyi bez szkody dla siebie, ani dla swoich, iść za głosem swoich przekonań, stawiać czoło opinii hałaśliwéj i niezdrowéj, być prawym sługą, a nie nikczemnym pochlebcą publiczności. Zgodnie z tém tedy, kiedy w położeniach średnich lub niższych głównym czynnikiem jest interes, jest u niego główną sprężyną duma. Otóż pomiędzy głębokiemi uczuciami człowieka, nie ma innego, któreby było właściwszém do przekształcenia się w uczciwość, patryotyzm i sumienność; ponieważ człowiek dumny potrzebuje własnego szacunku, ażeby go zyskać, doznaje pokusy, by sobie nań zasłużyć. Pod temi wszystkiemi względami porównajmy *gentry* i szlachtę angielską z *politicians* Stanów Zjednoczonych. Z drugiéj strony, przy równym talencie, ma człowiek tego świata więcéj warunków, aniżeli biedny plebejusz, do dobrego pojmowania spraw publicznych. Wiedza bowiem, któréj potrzebuje, nie jest erudycyą, jakiéj się nabywa po bibliotekach i samotném zatrudnieniem; co mu trzeba poznać, to ludzi żywych, więcéj może różne grupy ludzi, więcéj nadto jeszcze organizmy ludzkie, państwa, rządy, stronnictwa, administracye u siebie i zagranicą, na miejscu i w ich praktyce. Aby dojść do tego, jest tylko jeden sposób, przypatrywać się temu wszystkiemu samemu i własnemi oczami, z góry zarazem i w szczegółach, przez uczęszczanie do naczelników służby, ludzi wybitnych i specyalnych, w któ-

rych się koncentrują informacye i widoki całéj grupy. Otóż, jeżeli się jest młodym, uczęszcza się do tych ludzi tak u siebie, jak za granicą, tylko wtedy, jeżeli się posiada imię, rodzinę, majątek, wychowanie i obyczaje świata. Trzeba tego wszystkiego, aby w dwudziestu latach życia znaleść drzwi otwarte, aby wchodzić bez trudu do salonów, aby być w stanie mówić i pisać trzema lub czterema żyjącemi językami, przedłużać za granicą pobyt kosztowny i pouczający, wybiérać i zmieniać swoje zatrudnienie w różnych wydziałach zarządu, bezpłatnie lub prawie bezpłatnie, bez innego interesu, jak wzgląd na dobro publiczne. Wychowany w ten sposób człowiek, choćby zwyczajny nawet, zasługuje na to, by się go radzono. Jeżeli jest wyższym i jeżeli się go używa, może być przed trzydziestu laty mężem stanu, zyskać do tego zupełną zdolność, stać się ministrem kierującym, jedynym sternikiem, jedynie zdolnym, jak Pitt, Canning i Peel, do znalezienia przeprawy wśród podwodnych skał, do dania w odpowiedniéj chwili stosownego obrotu, który ocala statek. Takie to są usługi, do których wyższa klasa jest właściwa; jestto specyalna stadnina do dostarczania młodych biegunów wyścigowych, z pomiędzy których w wyścigu europejskim od czasu do czasu, najlepszy wygrywa nagrodę pomiędzy wszystkimi swymi współzawodnikami.“

Rewolucya uderzając w szlachtę, jéj stanowisko, majątek, przywileje, osobiste bezpieczeństwo nawet, popełniła tedy według autora nieprzebaczony błąd polityczno-społeczny, którego koszta opłaciła przedewszystkiém samaż Francya. Duchowieństwo padło ofiarą podobnie smutnego losu z nieinnemi téż dla kraju następstwami. Konfiskując majątek kościoła bez szczególnéj, nawiasowo powiedziawszy, korzyści finansowéj dla kraju; zmuszając duchowieństwo *albo* do wyjścia na narzędzia podległe państwowéj woli, *albo* do emigracyi, burząc katolicyzm a nie stawiając i nie mogąc postawić na jego miejsce nic, coby go w sercach, usposobieniach i organizmie społecznym narodu, zastąpić było zdolném, zachwiała rewolucya moralnym gruntem Francyi, pozbawiła ją znów owego balastu wewnętrznego, który jak okrętom na morzu, potrzebny niemniéj narodom w ich pochodzie dziejowym, lub téż wywoływała przeciw sobie reakcyą przedstawiającą się ostatecznie dla kraju i państwa w smutnym rezultacie anarchii.

Rozpatrując się w ten sposób w organicznéj części dzieła zgromadzenia narodowego, przychodzi autor do przekonania, iż właściwie nic dodatniego nie stworzyło, że przeciwnie ograniczyło się na destrukcyi, w któréj nie pozostało nic, coby było zdatném przedstawiać warunek siły i porządku państwowego. Tyczy się to mia-

nowicie według niego władzy królewskiéj, którą jak wiadomo, intencye zgromadzenia narodowego pozostawiały niby to jeszcze przy życiu. Król pozbawiony wszelkiéj inicyatywy; nie ma żadnego prawa *veto* w obec postanowień i uchwał zgromadzenia narodowego, czyli późniéj prawodawczego. Ale czyż i *ono* jest panem sytuacyi, czyż *ono* przynajmniéj było owém centralném ogniskiem, z którego na całą Francyą rozchodziłyby się dobroczynne promienie władzy, ładu i porządku? Broń Boże! Znany nam już z powyższego opowiadania stopień swobody, z jakim zgromadzenie narodowe obraduje, jaki wpływ na jego dyskusye i uchwały wywiera wrzask trybun; wiadomo nam, jak szpada i pistolet w robocie, by po opuszczeniu sali obrad zabezpieczyć życie choćby tylko reprezentantów nie przemawiających i nie głosujących w myśl prądów i namiętności ulicznego tłumu. Należałoby więc przypuszczać może, iż owym monarchą, ową władzą Francyi są naówczas ciała wyborcze, na które kraj cały podzielony. I tu jednakże omyłka. Owe ciała wyborcze ulegają wszystkie z osobna, tak samo jak zgromadzenie narodowe paryskie terrorystycznemu naciskowi tłumu, a kto nie przemawia, nie głosuje, nie wybiera w myśl prądów czasowych, naraża bezpieczeństwo mienia i osoby. Następstwem podobnego położenia rzeczy jest abstynencya od udziału w zgromadzeniach wyborczych wszelkich żywiołów zachowawczych, wszelkich pierwiastków, których obecność byłaby zdolną wprowadzić w życie jakibądź organizm, powstrzymać wściekłącą się i huczącą burzę. Sensem moralnym znów tego wszystkiego, rozkład wszystkiego co się nazywa, i co jest władzą lub organizmem państwowym, *anarchia* w najwłaściwszém i najgorszém tego wyrazu znaczeniu.

Autor kończy krytykę owéj niby to organicznéj, tylokrotnie podziwianéj i idealizowanéj fazy rewolucyi francuskiéj, dzieła zgromadzenia narodowego od roku 1789 do 1791 następnemi uwagami: „Otóż to dzieło zgromadzenia ustawodawczego. Przez niektóre prawa, nadewszystko przez prawa, które dotyczą życia prywatnego, przez zgromadzenie stanu cywilnego, przez kodex karny i kodex rolniczy, przez pierwsze początki i przyrzeczenie jednolitego kodexu cywilnego, przez ogłoszenie niektórych prostych reguł w przedmiocie podatków, procedury sądowéj i administracyi, zasiało dobre ziarno. We wszystkiém jednakże, co się tyczy urządzeń politycznych i organizacyi społecznéj, postępowało jak akademia utopistów a nie jak korporacya praktycznych prawodawców. Na zdrowém ciele, które mu powierzono, wykonało amputacye równie bezużyteczne, jak przesadzone, a położyło bandaże równie niedostateczne, jak szkodliwe. Z wyjątkiem dwóch czy trzech destrukcyj dopuszczonych

przez niekonsekwencyą, z wyjątkiem utrzymania królewskości pozornéj i obowiązku małéj opłaty elektoralnéj, wyczerpnęła do saméjże ostateczności swój system, będący systemem Rousseau'a. Z góry zapomniała o istnieniu człowieka rzeczywistego, jakiego miała przed oczyma, a uparła się widziéć w nim tylko istotę abstrakcyjną, stworzoną w książkach. W skutek tego, z zaślepieniem i uporem teoretycznego chirurga zniweczyła w społeczeństwie poddaném jéj lancetowi i jéj teoryom nietylko nabrzękłości, dysproporcye i niestosowności organizmu, lecz sameż nawet organa, nawet ich zawiązki żywotne i kierujące, około których tworzą się komórki zdolne odbudować zniszczony organ, z jednéj strony owe dawne grupy, samorodne a trwałe, które geografia, historya, wspólność zatrudnień i interesów potworzyły, z drugiéj strony owe naturalne czynniki, które nazwisko, znakomitość, wychowanie, niezależność, dobra wola, zdolności, przeznaczały do odegrania pierwszéj roli. Z jednéj strony odziera, pozwala niszczyć i rozwiązuje wszystkie korporacye historyczne, lub naturalne, kongregacye religijne, duchowieństwo, prowincye, parlamenty, korporacye artystyczne, przemysłowe lub rzemieślnicze. Po uskutecznionéj operacyi znajduje się wszelka łączność i spójność między ludźmi rozwiązaną; wszelka subordynacya lub hierarchia zniknęła. Nie ma już organicznych kadrów, nie ma ich naczelników. Pozostają tylko indywidua, 26 milionów równych i odosobnionych. Nigdy materya więcéj rozrobiona a mniéj zdolna do oporu nie była oddana w ręce chętne do jéj urabiania. Dla powodzenia, dosyć ino być twardemi i gwałtownemi, owe brutalne ręce są na pogotowiu, a zgromadzenie narodowe, które podniosło kurzawę, przygotowało także tłuczek moździerzowy. Równie niezręczne do budowania, jak do niszczenia, wynajduje, dla wprowadzenia ładu w społeczności wzburzonéj, machinę, która sama przez się, zdolną by była wprowadzić nieład w społeczność normalną. Zaledwie rząd najabsolutniejszy i najbardziéj scentralizowany wystarczał do wprowadzenia w życie, bez zamierzania podobnéj niwelacyi stanowisk, podobnego rozkładu korporacyj, podobnego zamięszania własności. Nie mając armii dobrze dowodzonéj, posłusznéj i wszędzie obecnéj, nie przeprowadza się spokojnie wielkiéj przemiany społecznéj. Całkiem przeciwnie tymczasem, sprowadza nowa konstytucya króla na stanowisko honorowego prezesa, podejrzanego nadto i ograniczonego w swéj władzy nad państwem zdezorganizowaném. Pomiędzy niego a ciało prawodawcze stawia tylko sposobności zatargu, usuwając wszelkie środki zgody. Nad wydziałami administracyi, któremi ma kierować, nie ma monarcha ża-

dnéj władzy, a począwszy od środka aż do kończyn państwa, wzajemna niezależność władz wtrąca wszędzie chłód, bezczynność, nieposłuszeństwo między rozkazem a wykonaniem. Francya jest federacyą 40000 niezależnych municypalności, w których powaga urzędowa, legalna, chwieje się według kaprysów *czynnych* obywateli, w których czynni obywatele, zanadto obarczeni, usuwają się od swych zatrudnień publicznych, w których mniejszość fanatyków i ambitników przywłaszcza sobie głos, wpływ, wybory, władzę, czynność i upoważnia swe pomnażające się ciągle uzurpacye, swój despotyzm bez wędzidła, swe wzrastające zamachy przez ogłoszenie praw człowieka. Arcydzieło rozumu teoretycznego a nierozumu praktycznego spełnione; na mocy konstytucyi dobrowolna anarchia staje się anarchią legalną. Jest ona najdoskonalszą; nie widziano piękniejszéj, począwszy od dziewiątego wieku.

Co jednakże wśród owéj destrukcyi z *góry* pozostaje ciągle naówczas podstawnym akordem straszliwéj, rewolucyjnéj harmonii na *dole* i *spodzie*, to gwałt, mord i pożoga, dotykające reprezentacyą jakąbądź zachowawczego porządku rzeczy na całéj przestrzeni Francyi. Opowiadanie autora pod tym względem, niezaprzeczalnéj jak nie wątpimy, autentyczności i prawdziwości historycznéj, staje się przecież ponuro jednostajném. Spodnie warstwy ówczesnego społeczeństwa francuskiego, to istny byk hiszpańskiego cyrku, któremu widok jakiegobądź, ocalałego jeszcze osobiście lub majątkowo żywiołu przeszłości, jest istnie ową rozdrażniającą, czerwoną chorągiewką. Widok podobnego żywiołu jest dlań zawsze i wszędzie hasłem gwałtu i mordu. Czy to ów „*ancien régime*“ przedstawi się w postaci urzędu celnego, czy magazynu mąki, czy klasztoru i kościoła, czy szlacheckiego zamku, czy cytadeli obsadzonéj królewskim żołnierzem, pozostaje rezultat wszędzie jeden i ten sam. Tłum zaczyna od podejrzliwości, następnie gromadzi się i domaga kapitulacyi. Strach i dobroduszność, obawa przelewu krwi i słabość otwiérają mu wszelkie bramy i drzwi na rozścież; rozpoczęta w ten sposób rzecz kończy się regularnie mordem, pożogą i zniszczeniem czy to urzędowego magazynu, czy klasztoru mnichów, czy szlacheckiego zamku, czy państwowéj twierdzy. Cała przestrzeń Francyi przedstawia naówczas pod tym względem niezmiernie jednostajne stanowisko, a jedyną różnicę mogłaby stanowić chyba tylko liczba wymordowanych osób czy zniszczonych gmachów. Własność prywatna cierpi tu nie mniéj od własności publicznéj, głód odgrywa rolę pierwszego i najnaturalniejszego czynnika, ale również nie da się zaprzeczyć, iż podrażnionym namiętnościom ludowym i głodu nie trzeba, aby się oddawać istnéj wściekłości mordu i zniszczenia. Że

wśród podobnych stosunków i warunków państwu żyć i istnieć niepodobna, rzeczą jest aż nazbyt naturalną.

Lud uwolniony postanowieniami zgromadzenia narodowego od ciężaru i ucisku podatków feodalnych, uważa się têm samém za zwolnionego od podatków jakiegobądź rodzaju. Niéma rozumie się państwa, któreby się mogło obejść bez skarbu i wojska. Pojmują to nawet utopiści zgromadzenia narodowego, ale niezdolny zrozumiéć tego lud Francyi. Niszcząc tedy magazyny rządowe, burząc twierdze, odmawia równocześnie opłaty podatków, od wina, soli, jakiegobądź innego wreszcie rodzaju. Machina państwa cierpi naturalnie na têm najniesłychaniéj, a skarb publiczny znajduje się w coraz to dokuczliwszym kłopocie. Cyfry pod tym względem podawane przez autora są wielce wymownemi.

„Na nieszczęście,“ mówi autor, „nim poborca może ściągnąć dwie pierwsze raty, trzeba aby były rozdzielone, a wśród zawiłości piśmiennych, formalności, reklamacyj, wśród oporu i ciemnoty miejscowéj, operacya przedłuża się nieskończenie. Podatek ruchomy i gruntowy z roku 1791 jest dopiéro przez zgromadzenie rozdzielony między departamenty w Czerwcu roku 1791. Ze strony departamentów jest znów dopiéro rozdzielony na okręgi w miesiącach Lipcu, Sierpniu i Wrześniu roku 1791. Ze strony daléj okręgów jest rozdzielony na gminy dopiéro w miesiącach Październiku, Listopadzie i Grudniu roku 1791. Tak więc w ostatnim miesiącu roku 1791 nie jest jeszcze rozdzielony przez gminy na opodatkowanych, z czego wypływa daléj, że opodatkowany na należytość przypadającą z roku 1791, w przeciągu tegoż całego roku nic nie zapłacił. Nareszcie w roku 1792 każdy zaczyna dostawać swą kwotę. Z jaką stronnością i fałszerstwami są one porobione, trzebaby całego tomu, aby to powiedzićć. Nasamprzód nadmienić należy, iż zatrudnienie rozkładu podatków jest niebezpiecznêm, i że municypalności mające polecenie przeznaczenia każdemu z osobna jego cząstki, nie mają spokojnego stanowiska we wspólnym domu. Już w roku 1790 urzędnicy municypalni z Montbazon znaleźli się zagrożeni śmiercią, skoroby układając podatek, śmieli szacować *industryą* i ocalili się ucieczką do Tours wśród nocy. W samém że Tours, 300 czy 400 powstańców z okolicy, ciągnąc za sobą urzędników municypalnych trzech miast, przyszło oświadczyć władzom miasta, iż zamiast całego podatku, chcieliby płacić tylko po 45 *sous* od gospodarstwa. Opowiedziałem już, jak w roku 1792 w tym samym departamencie, zabijają, mordują urzędników municypalnych, którzy mają śmiałość ogłaszania list podatku ruchomego. W okolicy Creuse, w gminie Clugnac, w chwili kiedy pisarz zaczyna ją odczytywać, rzucają się

na niego kobiéty, wyrywają mu listę, drą ją wśród tysiącznych przekleństw. Napadają radę municypalną, dwieście osób rzuca na nią kamieniami; jeden z jéj członków jest wywrócony; golą mu włosy, oprowadzają go wśród szyderstw po wsi. Kiedy mało opodatkowany broni się w ten sposób, dają polecenie oszczędzania go; repartycya odbywa się od kmotra do kmotra. Zwala się ciężar z siebie, obarczając nim innego. Taxują właścicieli; każą im ponosić cały podatek. Nadewszystko obarczają aż do ostateczności szlachcica, dawnego pana, do tego stopnia, że w niektórych miejscach dochód jego nie starczy do opłaty jego kwoty. Z drugiéj strony udają ubogich; fałszują lub omijają przepisy prawa. W większéj części municypalności domy, budynki, fabryki są tylko oszacowane na podstawie wartości powierzchni, na któréj stoją, staxowane jako ziemia pierwszéj klasy, co sprowadza ich należytość podatkową prawie do zera. Podstęp ten zaś jest praktykowany nie tylko po wsiach. Możnaby przytoczyć gminy liczące 8 do 9 tysięcy ludności, które pod tym względem tak się dobrze porozumiały, iż nie ma domu oszacowanego wyżéj po nad 30 *sous*. Ostatnim wreszcie sposobem jest ociąganie się, o ile możności jak najdłuższe gmin z wygotowaniem list podatkowych. Dnia 30 Stycznia 1792 r. jest na 40911 dopiéro 2560 gotowych; dnia 5 Października 1792 r. nie są jeszcze metryki gotowe w 4800 municypalnościach, dodać zaś należy, iż chodzi tu o wykonanie rzeczy dokończonéj od dziewięciu miesięcy. W tym samym czasie jest więcéj niż 6000 gmin, które jeszcze nie zaczęły pobiérać podatku gruntowego z r. 1791, więcéj niż 15000 gmin, które nie zaczęły jeszcze pobiérać podatku ruchomego z tegoż roku. Z tych dwóch pozycyj skarb i departamenty wzięły dopiéro 152 mil., pozostaje jeszcze 222. D. 1 Lutego 1793 pozostaje jeszcze na ten sam podatek zaległości 161 milionów, a z 50 milionów postanowionych w roku 1790, aby zastąpić podatek od soli i inne ciężary usunione, ściągniono tylko dwa miliony. Nareszcie w tymże samym terminie z dwóch podatków bezpośrednich, które miały dać 300 milionów, wydobyto cztery miliony. Jestto tematem dłużnika, iż należy płacić o ile możności jak najpóźniéj. Ktokolwiek jest wierzycielem, prywatny czy państwo, skoro go się tylko pociągnie, wykołata się na nim przecież cokolwiekbądź. Temat podobny jest prawdziwy, a na ten raz przynajmniéj dowodzi sukces jego słuszności.

Przez rok 1792 poczyna wieśniak spłacać część swéj zaległości *lecz w asygnatach*. Tymczasem w Styczniu, Lutym i Marcu 1793 45 i 50 na sto; w Maju, Czerwcu i Lipcu tegoż roku 54, 60 i 67 na sto. Tak tedy dawna należytość państwa stopniała w jego ręku, a ci którzy zachowali swe talary zarabiają 50 na sto i więcéj. Jeszcze lepiéj; im bardziéj zwłaczają, tém więcéj dług ich się zmniejsza,

a już dzięki owym odwłokom, znaleźli sposób uwolnienia się od długu do połowy.

Tymczasem rzucają się na posiadłości ziemskie słabo bronione, tego zbyt słabego wierzyciela. Dla mózgów pospolitych jest zawsze rzeczą trudną wyobrazić sobie, jako osobistość rzeczywistą, jako prawowitego właściciela ową istotę abstrakcyjną, nieokreśloną, niedostrzegalną, którą nazywają państwem, nadewszystko, gdy im powtarzają, że państwem są wszyscy. Co jest *wszystkich* jest *każdego* a ponieważ lasy są rzeczą publiczną, ma pierwszy lepszy prawo korzystania z nich. W miesiącu Grudniu 1789 w lasach pod Vincennes i Boulogne, bandy liczące 60 i więcéj ludzi ścinają drzewa. W miesiącu Kwietniu 1790 w lesie Saint Germain, we dnie i w nocy, przytrzymują patrole delinkwentów wszelkiego rodzaju. Oddawani gwardyom narodowym i municypalnościom okolicznym, są tuż uwolnieni, wypuszczeni, nawet z drzewem wyciętém podstępnie.

Przeciw powtarzającym się obelgom i groźbom pospólstwa nie ma oporu. Tłum kobiét, poduszczony przez dawnego gwardzistę francuskiego, plądruje pod okiem eskorty wóz z chróstem zabrany na rzecz szpitala, a w lesie bandy maroderów dają ognia do patroli. W Chantilly trzech urzędników łowczych rannych śmiertelnie, w przeciągu następnych dni ośmnastu, dwa parki są spustoszone, cała zwierzyna wybita, zwieziona do Paryża, sprzedana. W Chambord pisze naczelnik żandarmeryi doniesienie o swéj niemożności zapobieżenia złemu, lasy są zniszczone, a nawet spalone, złodzieje leśni są teraz panami miejsca, robią wyłomy w murach, wysuszają stawy, aby wydobyć ryby na wierzch. W gminie Claix, w Delfinacie, urzędnik leśny, który uzyskał zakaz, by okoliczni mieszkańcy nie wycinali drzewa w zagajeniach, został pochwyconym, dręczonym przez pięć godzin, wreszcie zatłuczonym kamieniami. Napróżno zgromadzenie narodowe przez trzy uchwały i regulaminy oddało lasy pod opiekę i nadzór korporacyj administracyjnych, obawiają się one zanadto swych podwładnych. Między władzą centralną, która jest słabą i odległą a ludem, który jest silnym i obecnym decydują się za ludem. Z pięciu municypalności otaczających Chantilly, żadna nie chce siłą bronić prawa, a zarząd okręgu, zarząd departamentu upoważnia ich bezczynność. Podobnie pod Tuluzą, gdzie pyszny las Larramet jest zniszczony wśród białego dnia zbrojną ręką, gdzie marnotrawstwo ludowe nie pozostawiło z zagajeń i zarośli młodych nic, prócz kilku drzew rozrzuconych i resztek pni poucinanych w różnéj wysokości, municypalności Tuluzy i Tournefenille odmawiają wszelkiéj pomocy. Gorzéj jeszcze w innych prowincyach, np. w Alzacyi, całe municy-

palności z merami na czele-ścinają drzewo, które im się podoba i uwożą takowe.

Jeżeli jaki trybunał chce zastosować prawo, pozostaje to rzeczą bezskuteczną, próbą niemożności sądzenia, lub przymusem do zrzeczenia się możności sądu. W Paryżu nie mógł być wydany wyrok przygotowany przeciw podpalaczom cła. W Montargis wyrok wydany przeciw maroderom, którzy kradli wozy z drzewem w lasach narodowych winien był być zmienionym i to przez samychże sędziów. W chwili, kiedy trybunał ogłaszał konfiskacyą powózek i bydła zabranego, podniosły się przeciw niemu wściekłe okrzyki. Został zelżony przez obecnych. Wskazani oświadczyli głośno, że odbiorą siłą swe powózki i bydło. W skutek tego ustępują sędziowie do komnaty obrad i wkrótce potém, zajmując krzesła, znoszą w swym wyroku wszystko, co się tyczy konfiskaty."

Otóż to ustęp z dzieła P. Taine'a dowodzący tragicznego stanu, w jaki Francya popadła przez same już choćby tylko początki wybuchu rewolucyjnego. Autor niewyczerpany w opowiadaniu i przytaczaniu szczegółów stwierdzających prawdę jego założeń, zasypuje istnie czytelnika mnogością faktów poświadczających na całéj przestrzeni Francyi, rzeczywistość gwałtów, mordu i pożogi. Owa Francya, któréj dotychczasowa historyografia francuska tak idealne kreśli obrazy począwszy przynajmniéj od pierwszych chwil zgromadzenia narodowego, aż do Sierpnia 1792, dymi się cała i krwawi w opowiadaniu obecnego swego dziejopisa. Jestto wręcz odwrotna strona medalionu rewolucyjnego, niż go nam dotychczas pokazywano, prawdziwa może faktycznie, ale dla tego może właśnie tém więcéj jednostajna i przerażająca. Rozkład wszystkiego i rozkład wszędzie, otóż sens moralny, na jaki się opowiadanie autora w ostatecznym rezultacie składa.

Na dobitkę zaś wszystkiego, wkrada się ów rozkład w ostatnie dwie dzielnice, *materyalnéj* z jednéj, *moralnéj* doniosłości i siły z drugiéj strony, które nienaruszone i niezachwiane byłyby mogły stać się jądrem i zawiązkiem *ochronnego* i *uchronnego* organizmu dla kraju i narodu, w *armią* i *kościół*. Zaczynając rzecz swą od pierwszéj, uważa autor za rzecz prawdy i obowiązku oddać należne uznanie nie mniéj żołnierzowi, jak korpusowi oficerów ówczesnéj armii francuskiéj. Żołnierz źle płatny, surowo traktowany znosił przecież swą smutną dolę, a ile razy tylko znalazł się na polu bitwy pod wodzem, który go umiał prowadzić, nie robił nigdy wstydu swéj ojczyznie. Korpus oficerów składał się z ludzi wykształconych, po większéj części młodszych synów znakomitych rodzin, którzy z równąż abnegacyą i poświęceniem znosili twardy swój los i pełnili obowiązki. By-

ła to w gruncie rzeczy najdemokratyczniejsza instytucya Francyi, w którą rewolucya nie miała zaiste powodu uderzać. A przecież uderzyła! Z jednéj strony uderza w nią licznemi i zaczepnemi wybrykami; namiętność niszczenia, objawiająca się naówczas w ludzie przeciw wszystkiemu, co przedstawia jakibądź żywioł organiczny, państwowy; z drugiéj podkopuje ją i rozkłada trujący jad analizy rewolucyjnéj, jaki się i w organizm saméjże armii zakrada. W *naczelne* jéj głowy uderza drąg i topór pospólstwa, *żołnierza* rozprzęga udzielająca mu się idea rewolucyjna. Nie mniéj armia lądowa, jak siła morska ówczesnéj Francyi, padają ofiarą owéj podwójnie destrukcyjnéj działalności.

„Skarb,“ mówi autor, charakteryzując ów rozkład siły zbrojnéj Francyi, „znajduje się w niedostatku i są zaległości żołdu. Zadłużone miasta nie mogą dostarczyć przypadającéj na nie kwoty dostaw, a w Orleanie, w obec ubóstwa municypalności, Szwajcarowie z Chateauvieux byli zmuszeni pozwolić na odciągnienie sobie jednego *sous* dziennie na człowieka, by mieć drzewo w zimie. Zboże jest rzadkie, mąka zepsuta a chleb żołnierski, który był złym, stał się jeszcze gorszym. Administracya stoczona dawnemi nadużyciami, jest zdezorganizowana prócz tego nowym nieporządkiem, a żołnierze cierpią nie mniéj z powodu jéj rozkładu, jak z powodu jéj marnotrawstwa. Uważają się za okradanych, skarżą się, nasamprzód z umiarkowaniem, i uwzględniają ich uzasadnione zażalenia. Niezadługo żądają składania rachunków, i zdają im takowe. W Strassburgu po sprawdzeniu uczynioném przez Kellermanna i komisarza Zgromadzenia narodowego, jest rzeczą dowiedzioną, że im nie uczyniono żadnéj krzywdy ani na jeden sous; mimo to dają im gratyfikacyą sześciu franków od głowy, i krzyczą, że są zadowolnieni, że nie mają nic więcéj do żądania. W kilka miesięcy późniéj nowe skargi, nowa weryfikacya; pewien chorąży, oskarżony o sprzeniewierstwo, zagrożony przez nich powieszeniem, jest osądzony w ich obecności, cała jego rachunkowość jest czysta, nikt z nich nie może sformułować, przeciw niemu żadnego zaskarżenia, a na ten raz jeszcze milczą.

Innemi razy wysłuchawszy przez kilka godzin czytania regestrów, ziewają, przestają słuchać i wychodzą sobie na kieliszek. Cyfra jednakże reklamacyi ich, taka jak ją sobie ułożyli ich rachmistrze kwaterowi, pozostaje wbita w ich mózgi; puściła w nich korzenie i odradza się nieustannie, a żadna rachuba, ani weryfikacya nie może ich wyrugować. Pisma i mowy nie wystarczają, trzeba im pieniędzy: 11000 liwrów pułkowi Beaune, 39500 liwrów pułkowi Forez, 44000 pułkowi Salm, 200000 pułkowi Chateauvieux i w po-

dobny sposób innym. Tém gorzéj dla oficerów, jeżeli kasa nie starczy, niech robią składki, lub niech pożyczają na swój podpis, od municypalności, od bogaczów, miasta. Dla większéj gwarancyi w różnych miejscach zabiérają żołnierze kasę wojskową, otaczają ją strażami; jest przecież ich własnością, ponieważ są pułkiem, a w każdym przypadku jest lepiéj strzeżoną w ich ręku, aniżeli w rękach podejrzanych. Już 4 Czerwca 1790, oznajmuje minister wojny Zgromadzeniu narodowemu, że organizm wojskowy zagraża popaść w najzupełniejszą anarchią. Raport jego wskazuje pretensye najniesłychańsze stawiane bez ogródki, rozporządzenia bez siły, dowódzców bez powagi, kasę wojskową i sztandary zabrane, rozkazy samegoż króla lekceważone głośno, oficerów wzgardzonych, poniżonych, zagrożonych, wypędzonych, niekiedy nawet powięzionych pośród własnych żołnierzy, ciągnących życie zakłopotane na łonie krzywd i poniżeń, a na domiar zgrozy, komendantów mordowanych pod oczyma a nawet w rękach własnych żołnierzy. Rzecz staje się jeszcze gorszą po federacyi lipcowéj. Częstowani, głaskani i pouczani przez kluby, delegowani ich, podoficerowie i żołnierze, powracają Jakobinami do pułków, a odtąd utrzymują stosunki z Jakobinami paryzkimi, odbierając od nich instrukcye i zdając im sprawę. Trzy tygodnie późniéj, minister wojny oznajmuje Zgromadzeniu narodowemu, że rozkiełznanie pośród armii nie zna granic. Co chwila przybywają kurjerzy z raportami nowych zażaleń. Tutaj domagają się rachunku z całéj masy pieniędzy i proponują je dzielić. Gdzie indziéj załoga wychodzi wśród bicia bębnów z miasta, zrzuca swych oficerów i wraca do miasta z pałaszami w ręku. Każdy pułk pozostaje pod zarządem komitetu żołnierzy, tam to przygotowuje się dwukrotnie uwięzienie pułkownika Poiton; tam to pułk Royal-Champagne podjął ruch, na mocy którego odmówił uznania pewnego podporucznika, którego mu przysłano. Codziennie jest gabinet ministra przepełniony żołnierzami wyprawionymi doń, którzy przychodzą dumnie oświadczać mu wolę swych mocodawców. W Strassburgu wreszcie, siedm pułków reprezentowanych każdy przez trzech delegatów, utworzyło kongres wojskowy. W tymże samym miesiącu wybucha straszliwe powstanie w Nancy; trzy pułki zbuntowane, pospólstwo z niemi, arsenał złupiony, trzy godziny walki wściekłéj w ulicach, powstańcy strzelają z okien domów i z otworów w sklepach, 500 poległych pomiędzy zwycięzcami, 3000 ze strony zwyciężonych. W miesiącu następnym i przez sześć tygodni wybucha inne powstanie, mniéj krwawe, lecz obszerniejsze, więcéj skoncentrowane, upartsze, powstanie całéj eskadry; 20000 ludzi zbuntowanych w Brest, z początku przeciw swemu

admirałowi i oficerom, następnie przeciw nowemu kodexowi karnemu i samemuż Zgromadzeniu narodowemu, które po nadaremnych przedstawieniach jest zniewolone nie tylko wstrzymać się od kary winnych, lecz nawet zmienić swe prawo. Począwszy od téj chwili nie można już zliczyć pośród armii i floty nieustannych wybuchów. Z upoważnieniem ministra żołnierz idzie do klubu, gdzie mu powtarzają, że jego oficerowie będąc arystokratami są naturalnie zdrajcami; w Dunkierce uczą na rozmaity sposób pozbywać się ich. Krzyki, denuncyacye, obelgi, strzały,—otóż wypadki naturalne, które się praktykują. Pojawia się jednakże inny sposób odkryty ku wypędzeniu oficera energicznego a wzbudzającego obawę. Najmuje się zawadyakę, patryotę, który go wyzywa na pojedynek. Jeżeli oficer się bije i nie jest zabity, wiedzie go municypalność przed sąd a dowódzcy jego wyprawiają go wraz z sekundantami, aby nie zakłócać harmonii między wojskowymi a cywilnymi. Jeżeli odmawia pojedynku, zmusza go pogarda żołnierzy do opuszczenia pułku. Tak więc w obu przypadkach, jest się uwolnionym od niego. Co do tego rodzaju osobistości niéma żadnych skrupułów. Obecny czy nieobecny, zawsze pewno, że oficer szlachcic konspiruje ze swymi kolegami emigrantami. Co do tego zbudowała się osobna legenda. Niegdyś, aby dowieść, że rzucano miechy z mąką w wodę, powiadali żołnierze, że miechy te były związane niebieskiemi sznurami. Teraz aby przekonać, że oficer jakibądź konspiruje z Koblencyą, wystarcza stwierdzić, że jeździ na białym koniu; pewien kapitan w Strasburgu nie jest zaledwie rozszarpany za tę zbrodnię. Djabeł nie wydobyłby im z głowy, że pełni obowiązek szpiega, a że mała charcica, która mu towarzyszy w jego przechadzkach nie służy do dawania sygnałów. W rok poźniéj, w chwili kiedy zgromadzenie narodowe dokończa swego dzieła, stwierdzają w obec niego PP. Cameth, Fréteau, Alquier, że Luckner, Rochambeau i najpopularniejsi generałowie nie odpowiadają za nic. Pułk Auvergne wypędził swych oficerów i tworzy osobną spółkę, która nie słucha nikogo. Drugi batalion pułku Beaune zabiera się podpalić miasto Arras. Trzeba prawie oblegać Falzburg, którego załoga się zbuntowała. Tutaj jest nieposłuszeństwo dla rozkazów generała formalne. Tam trzeba żołnierzy prosić nieustannie, aby pozostali na warcie, żołnierzy, których nie waży się osadzać w areszcie, którzy grożą dawać ognia do oficerów, którzy schodzą z drogi swego marszu, plądrują wszystko, biorą na cel kaprala, który ich chce nawracać. W Bloise część pułku nadciąga bez bagażów i broni, ponieważ żołnierze wszystko sprzedali po drodze, aby zaspokoić swe wybryki. Pewien z pomiędzy nich, wyprawiony przez swych kolegów, proponuje Jakobinom paryskim

„*odarystokratyzować*“ armią, kasując całą szlachtę pośród niéj. Inny oświadcza wśród oklasków klubu, że „co do sposobu, w jaki wzniesiono palisady w mieście Giret, pójdzie denuncyować ministra wojny przed trybunałem szóstego okręgu Paryża.“ Jest rzeczą jasną, że dla oficerów szlachty stanowisko ich nie jest do utrzymania. Po 23 miesiącach cierpliwości, usunęło się wielu z nich przez sumienność, gdy zgromadzenie narodowe, nakładając im trzecią przysięgę wykreśliło z jéj roty imię króla, ich naturalnego dowódzcy. Inni ustępują pod koniec zgromadzenia ustawodawczego, ponieważ znajdują się w niebezpieczeństwie powieszenia. Wielka liczba podaje się do dymisyi pod koniec roku 1791, w pierwszych miesiącach roku 1792 w miarę, jak nowy kodex i nowe rekrutowanie armii rozwijają swe następstwa. W rzeczywistości z jednéj strony nie istnieje już ani cień dyscypliny nawet, odkąd żołnierze i podoficerowie mają udział w wyborze swych dowódzców i miejsce w trybunałach wojskowych; czysty kaprys wyrokuje w sądach; żołnierz przyzwyczaja się lekceważyć swych dowódzców, od których żadnéj kary się nie obawia, i od których nie spodziewa się żadnéj nagrody; oficerowie są ubezwładnieni do tego stopnia, iż są osobistościami zupełnie zbytecznemi. Z drugiéj strony składa się większość narodowych ochotników z ludzi kupionych przez gminy i ciała administracyjne, osobistości złego prowadzenia, się z ulicy, włóczęgów zbieranych losem lub za pieniądze, wraz z nimi z fanatyków i egzaltowanych tak, że począwszy od Marca 1792, od miejsca ich przyjęcia aż do granicy, ślad ich jest wszędzie naznaczony rabunkiem, kradzieżą, spustoszeniem i mordami. Naturalnie, po drodze i nad granicą denuncyują, wypędzają, więżą lub mordują swych oficerów, mianowicie szlachtę. A przecież mimo téj ostateczności mnóstwo oficerów szlachty, mianowicie w artyleryi i inżynieryi, upierają się na swém stanowisku, jedni przez zasady liberalne, drudzy przez szacunek dla rozkazu, nawet po 10 Sierpnia, nawet po 2 Września, nawet po 21 Stycznia, jak ich generałowie Biron, Custine, de Flers. do Broglie, de Montesqieu z nieustanną perspektywą gilotyny, która ich pójdzie szukać u wyjścia z pola bitwy a nawet w biórach Carnota.“

Otóż to obraz rewolucyi *przeciw* wojsku i w samémże wojsku; jasne wytłómaczenie zagadki, dla czego zagrożona władza nie odezwała się do siły zbrojnéj przeciw rozruchowi, dla czego pozwoliła mu urość w potęgę i zniweczyć wszelki organizm państwowy. W owym wichrowym pochodzie wszelakiego niszczenia nie mogą się naturalnie ostać ani kościół, ani duchowieństwo. Jeżeli w zdezorganizowaniu i rozwiązaniu armii objawia się w przerażający i dotykalny sposób destrukcya żywiołu *materyalnéj* siły organizmu państwowego,

objawia się, jak już zauważyliśmy wyżéj, w sposób niemniéj zabójczy dla istnienia moralnego Francyi, destrukcya kościoła, jako pierwiastku duchowego i etycznego znaczenia.

Mniejsza, że majątek kościoła ulega konfiskacie, mniejsza, że biskupi i opaci średnich wieków schodzą ze stanowiska wielkich panów na ubogich kapłanów Chrystusowéj wiary. Być może, iż podobna metamorfoza podniosłaby nawet moralne ich znaczenie, wagę i powagę w obliczu narodu. Co tu gorsza i smutniejsza, że gdy z jednéj strony rozkiełznane masy rzucają się na mienie i osoby kościoła i duchowieństwa z tym samym drągiem, toporem czy kagańcem, co na mienie i osoby szlachty, lub reprezentantów państwa, z drugiéj samoż prawodawstwo rewolucyjne dezorganizuje nie tylko kościół, lecz gwałci wprost sumienia przez narzucenie duchowieństwu i krajowi owéj „cywilnéj konstytucyi duchowieństwa.“ Posłuchajmy i tutaj wymownego wywodu autora.

„Tutaj w departamencie Pas-de-Calais, trzystu wieśniaków z bębnem na czele, wywalają drzwi klasztoru zakonnic, kradną wszystko: żywność, napoje, bieliznę, meble, narzędzia, kiedy w parafii sąsiedniéj inna banda robi to samo u mera i starego proboszcza, grozi zabić i spalić wszystko, a obiecuje powrócić w przyszłą niedzielę. Tam w departamencie Dolnego-Renu, w pobliżu Fort-Louis, zniszczonych dwadzieścia domów *arystokratów*. Gdzieindziéj, w departamencie Ile et Villaine, biegają milicye wiejskie złączywszy się od parafii do parafii, a zwiększając się samymże wywieranym przez się przymusem aż do liczby band o 2000 ludzi, zamykają kościoły, wypędzają niezaprzysiężonych księży, zabiérają serca dzwonów, piją i jedzą do woli na koszt mieszkańców, a niekiedy u mera lub poborcy podatków robią sobie przyjemność niszczyć wszystko. Jeżeli jaki urzędnik publiczny robi mu przedstawienia, krzyczą: precz z arystokratą! i jeden z niewczesnych doradzców odbiéra uderzenie kolbą w plecy, dwóch innych wziętych na cel; zresztą naczelnicy tego rodzaju wypraw nie znajdują się w lepszém położeniu, a według ich własnego zeznania, jeżeli się znajdują na czele, robią to dla tego, aby samym nie być zrabowanymi lub powieszonymi. To samo widowisko w Mayenne, w Orne, w departamencie Mozelli, w departamencie Landes. Są to przecież tylko wybuchy odosobnione i prawie łagodne; na południu i w środku kraju oznajmia się klęska przez ogromną siłę prądu, który począwszy od Avignonu aż do Perigneux, od Auvillac aż do Tuluzy pokrywa od razu i prawie bez przerwy 10 departamentów: Vaucluse, Ardeche, Gard, Cautal, Correze, Lot, Dordogne, Gers, Garonny Wyższéj, Hérault. Wielkie masy wiejskie ruszyły się od razu, ze wszystkich stron a z tych samych przyczyn,

któremi są zbliżanie się wojny i Świąt Wielkanocnych. W departamencie Cautal, na zgromadzeniu kantonu odbytém w Aurillac na rzecz rekrutowania armii zażądał komendant wiejskiéj gwardyi zemsty przeciw tym, co nie są patryotami i obiega pogłoska, że z Paryża przyszedł rozkaz zniszczenia zamków. Co więcéj, powiadają powstańcy, że księża przez swą odmowę przysięgi wiodą naród do wojny domowéj. Nudzi się już być w niezgodzie i niepokoju z ich powodu, niechaj wyjdą na dobrych obywateli, a wszyscy pójdą na mszę. Niedość i na tém, wchodzą powstańcy do domów, nakładają haracz na mieszkańców, nie tylko na księży, nie tylko na dawną szlachtę, lecz i na tych jeszcze co są podejrzanymi być ich zwolennikami, tych co nie chodzą na mszę księdza konstytucyjnego, a nawet na ubogich ludzi, rzemieślników, robotników, których taxują na pięć, dziesięć, dwadzieścia, czterdzieści franków, a których sklep lub dzieżę wypróżniają. Ośmnaście zamków jest zrabowanych, spalonych lub zniszczonych, między innemi zamki kilku szlachty i dam, którzy nigdy nie opuszczali kraju. Jeden z nich P. d'Humières, jest starym 80-letnim oficerem; Pani de Peyronauc ocala swego syna tylko przebierając go za wieśniaka, Pani de Beauclerc, która ucieka przez góry, widzi dziecko swe umierające w swych objęciach. W Aurillac są wystawione szubienice przed głównemi domami. P. Niosse, dawny zawiadowca kryminalny, osadzony w więzieniu dla swego ocalenia, jest zeń wyrwany, a głowa jego odcięta jest rzucona na śmiecie. P. Collinet, przybyły z Malty a podejrzany o arÿstokracyą, jest żywo rozpruty, porąbany, a głowa jego obnoszona na ostrzu piki. Nareszcie, skoro urzędnicy municypalni, sędziowie, komisarz królewski zaczynają śledztwo przeciw zabójcom, znajdują się sami w tak wielkiém niebezpieczeństwie, iż są zmuszeni, albo śledztwo zawiesić, albo uciekać. W podobny sposób rozpoczęła się téż w departamencie Wyższéj Garonny ruchawka przeciw księżom niezaprzysiężonym i ich zwolennikom. Dzieje się to tém więcéj, iż w wielu bardzo parafiach proboszcz konstytucyjny należy do klubu i domaga się, aby go uwolniono od jego przeciwnika. Jeden z nich w Saint-Jean, wstąpiwszy na wóz, prawił zgromadzeniu 800 ludzi potrzebę rabunku. Następnie jako na początek, każda banda wypędza księży opornych, zmusza ich zwolenników, aby przychodzili na mszę księdza zaprzysiężonego. Taki sukces jednakże, całkiem abstrakcyjny i bezpłodny, nie zda się na nic a zbuntowani wieśniacy nie zadawalniają się tak tanim kosztem. Gdy parafie tuzinami idą w pochód i zapełniają dzień usługą publiczną, trzeba im wynagrodzenia: w drzewie, zbożu, winie, pieniądzach a koszta wyprawy spadają na arystokratów. Są zaś arystokratami nie tylko podżegacze księży niezaprzysię-

żonych, np. ta i owa stara panna, nader fanatyczna, która od 40 lat używa wszystkich swych dochodów na czyny filantropii, lecz wszelkie osobistości zamożne, wieśniacy czy panowie. Chcą bowiem wskazać na głodową śmierć ubóstwo, trzymając niesprzedane w swych spichlerzach i sklepach swe zboże i wino, dając mu tylko pracę niezbędną, aby robotnikom wiejskim odebrać środki egzystencyi. Tak więc im bardziéj się ich łupi, tém większą oddaje się przysługę sprawie publicznéj. Według tego co mówią powstańcy, zależy na uszczupleniu w ręku nieprzyjaciół narodu dochodów, jakie posiadają, aby nie mogli nadal wysyłać pieniędzy do Koblencyi i innych miejsc zagranicą."

Słowem, mord, gwałt i pożoga inaugurują według autora erę rewolucyjną, są niedość na tém jéj główném znamieniem charakterystyczném, są daléj jéj przypieczętowaniem. Posluchajmy jego konkluzyi. „Przygotowuje się rzecz straszna, zbliża się siódma „Jacquerie" szlachty, na ten raz ogólna i ostateczna, zrazu brutalna następnie legalna i systematyczna, przedsięwzięta i wykonana na podstawie zasad abstrakcyjnych przez przewódzców godnych swych czynów. Nie było nigdy nic równego w historyi. Po raz pierwszy widać zwierzęta oszalałe, pracujące na szerz i wzdłuż pod przewództwem niemniéj rozszalałych głupców. Jest pewna szczególna choroba spotykająca się zwykle w ubogich częściach miast. Robotnik przeładowany pracą, nędzny, źle żywiony, poczyna pić, codziennie pije więcéj i trunki mocniejsze. Po upływie kilku lat, organizm jego nerwowy, wycieńczony już przez głód, staje się rozdrażnionym i rozwiązuje się. Przychodzi chwila, w któréj mózg uderzony nagłym ciosem, przestaje prowadzić machinę. Nadaremno rozkazuje, nie jest słuchanym. Każdy członek, każda spójnia, każdy muskuł, działając osobno i dla siebie, podskakuje konwulsyjnie niezgadzającemi się z sobą podrzutami. Mimo to jest taki człowiek wesoły, uważa się za milionera, króla, kochanego i podziwianego przez wszystkich. Nie czuje złego, które robi, nie rozumie rad, które mu dają, odrzuca środki, które mu ofiarują, śpiewa i krzyczy całemi dniami, nadewszystko zaś pije więcéj, niż kiedykolwiek. Nakoniec twarz jego staje się ponurą, jego oczy zabiegają krwią. Promieniste wizye ustępują miejsca czarnym i potwornym widziadłom. Widzi tylko około siebie groźne postacie, zdrajców, którzy się zaczajają, aby się rzucić nań niespodzianie, morderców, którzy podnoszą ramiona, aby go zamordować, katów, którzy mu gotują męki i zdaje mu się, że kroczy w morzu krwi. Wtedy to rzuca się i zabija, aby nie być samemu zabitym. Nikt nie jest strasznieiszym, gdyż szał go podtrzymuje, siła jego jest podziwienia godną, ruchy jego nieprzewidziane, a znosi

nie zważając na nic, nędze i rany, pod któremi uległby człowiek zdrowy. Podobnież Francya, wycieńczona postami pod monarchią, upojona złą wódką układu społecznego i dwudziestu innych napojów palących lub zfałszowanych, następnie nagle uderzona paraliżem w głowę, natychmiast zaczyna się chwiać we wszystkich swych członkach w skutek niezgodnéj działalności i sprzecznego używania wszystkich swych rozstrojonych organów. Teraz przeszła peryod wesołego szaleństwa, a wchodzi w peryod szaleństwa ponurego; otóż widzimy ją teraz zdolną odważyć się na wszystko, cierpieć i robić wszystko, czyny niesłychane i straszliwe barbarzyństwa, skoro tylko przewódzcy, równie oszaleli jak ona sama, wskażą nieprzyjaciela, lub przeszkodę jego wściekłości.“ Otóż konkluzye autora, do których teraz dodać należy *nasze własne*.

Nasamprzód słówko obrony czy wytłómaczenia w obec szanownych czytelników w przedmiocie metody zachowanéj przez nas w sprawozdaniu z niniejszego dzieła. Przytaczaliśmy zaś umyślnie obszerniejsze, co charakterystyczniejsze ustępy, aby dać dostateczne wyobrażenie o naukowo-dziejowém pojawie, który mianowicie we Francyi saméj i w obliczu krytyki francuskiéj stanowi epokę w dotychczasowéj historyografii rewolucyi francuskiéj. Zależało nam wyraźnie i stanowczo na wtajemniczeniu o ile możności najdokładniejszém polskiego czytelnika w zapatrywania się i stanowisko pierwszego owego, można powiedzieć poważniejszego, szczerze naukowego objawu *reakcyi* polityczno-historycznéj przeciw dotychczasowemu traktowaniu owéj epoki. Dotychczas przedstawiano świetną i jasną stronę rewolucyi francuskiéj, nie inaczéj znał ją wraz z Francuzem i czytelnik polski. Czas poznać i odwrotną stronę medalionu, któréj pracowitą i sumienną analizę wziął na siebie P. Taine. Czyż jednakże znakomity cokolwiekbądź pisarz i badacz jest istotnie wyczerpującym, sprawiedliwym, a nadewszystko wszechstronnym historykiem rewolucyi francuskiéj? Otóż pytanie, nad którém nam się zastanowić przychodzi, a na które odpowiedź, jakkolwiek autor dwa jeszcze następne zapowiada tomy, nie może według najsumienniejszego przekonania naszego wypaść bezwzględnie pochwalnie dla P. Taine‘a. W języku niemieckim istnieje bardzo trafne i prawdziwe przysłowie: że nie należy dziecka wylewać z kąpielą, „*man darf das Kind nicht mit dem Bade ausschütten.*“ O ile nam się zdaje grzeszy znakomity autor, mimo wszelkiéj niezaprzeczalnéj znakomitości, bardzo mocno przeciw prawdzie owego przysłowia. *Pierwszy* tom jego studyów rewolucyjnych zawiera dzieje zniszczenia dawnego organizmu Francyi przez wybuchy ludowe i prawa Zgromadzenia narodowego, *drugi* ma zawierać dzieje stronnictwa wyznającego ostateczne doktry-

ny i zabierającego w ich imię władzę. *Trzeci* mówi autor dosłownie, „byłby potrzebny.... *do krytyki źródeł*". Wyznajemy, iż *rozpoczynając* czytać to zdanie, spodziewaliśmy się, mieliśmy się prawo spodziewać po wszechstronnym, sprawiedliwym, ogarniającym całość historyku rewolucyi francuskiéj, innego *zakończenia*. Niechajby *pierwszy* tom należał się dezorganizacyjnéj fazie i działalności rozruchów ludowych i Zgromadzenia narodowego, niechajby się należał *drugi*, fazie panowania ludu i krańcowych doktryn, to bezwątpienia *trzeci* powinienby nie trudnić się już tylko jedynie i jeszcze krytyką źródeł, lecz być poświęconym *fazie organicznéj* rewolucyi francuskiéj, temu co stanowi jéj wielkość i zasługę w obec dziejów ludzkości. Nie mając i nie zapowiadając *podobnéj* konkluzyi dla swéj historyi rewolucyi francuskiéj, dowodzi autor istotnie prawdziwości owego przysłowia niemieckiego „o wylewaniu dziecka wraz z kąpielą."

Pokazuje się niestety mimo wszelkich pisarskich i badawczych przymiotów jednostronnym, dostarcza nowego argumentu do smutnéj prawdy, iż jakoby nieubłaganą fatalnością polityki i historyografii francuskiéj oscyllować tylko między ostatecznościami, nie umiéć się wznieść na wyżyny tyle potrzebnego dla wydania sprawiedliwych sądów dziejowych Olimpijskiego spokoju. Wszystko co P. Taine opowiada w swém dziele jest jaskrawą, straszną, ale niezaprzeczalną, na mozolnych pracach i poszukiwaniach opartą *prawdą*. Rewolucya francuska nie jest bezwątpienia owym jasnym, beznagannym, bezplamnym, słonecznym rzutem światła, który rozświeca nagle ćmę cymeryjską, jaka zalegała dotąd koleje ludzkości. Trzeba było bezwątpienia daléj z pochodnią prawdy i światła oprowadzić obałamuconą pod tym względem systematycznie potomność po przepaściach rewolucyjnych namiętności, odsłonić ich szkarady, wybryki i gwałty. *Poprzestać* jednakże na tém, jak to jest widoczną dążnością P. Taine'a, pozostanie *nieprawdą* historyczną, bo nie jest *całą prawdą*. Smutnym, przerażającym pomnikiem wybuchu rewolucyjnego Francyi są owe głowy zatknięte na ostrza pik, owe mordy, owe płonące zamki, owe niszczone klasztory, owo zburzenie aż do ostatniéj cegiełki organizmu państwowego Francyi. Czyż na tém jednakże koniec i czy takiém jest ostatnie słowo rewolucyi francuskiéj? Z pośród owéj czarnéj nocy mordów, pożog i gwałtów świta dostrzegalnie jutrzenka pogodniejszego dnia, z pośród ruin dawnéj Francyi wyrastają pierwiastki życia nowéj. *Społecznie* wyrastają z obalonego feodalizmu i monarchii absolutnéj równość w obliczu prawa i co najmniéj obecność licznéj warstwy mieszczaństwa, jako nowego czynnika narodowego życia. *Politycznie* wznosi się nowy gmach na gruzach dawnego, rozprzęgająca się armia staréj monarchii ustępuje miesca armii rewolu-

cyjnéj śpiewającéj pieśń Rougeta de Lisle i żołnierzowi napoleońskiemu. Są to prawdy oczywiste, dotykalne, niedostrzegalne jedynie tylko, albo upartéj jednostronności, albo też niemniéj upartéj niechęci. Szkoda, ujemną stroną dzieła P. Taine'a pozostanie przecież, iż właśnie zamyka je w owéj jednostronności, że się ogranicza na charakterystyce destrukcyjnéj fazy i destrukcyjnéj działalności rewolucyi francuskiéj, że mając otwarte oko jedynie na nią, zamyka je dla jéj fazy i działalności organicznéj. Mimo to pozostanie jego dzieło znakomitym pojawem i znakomitą zasługą w dziedzinie historyografii francuskiéj. Dotychczasowi historycy rewolucyi francuskiéj kierowali się dla niéj tylko bezwzględnym *podziwem*; z dzieła P. Taine'a przemawia po raz pierwszy głos energicznego, sumiennego i uczonego przeciw podobnéj jednostronności protestu. *Wystarcza* to dla myślącego i umiejącego się uczyć czytelnika. Z dawniejszéj admiracyi dotychczasowych historyków rewolucyi francuskiéj, z obecnego, pessymistycznego potępienia P. Taine'a niechaj sobie czytelnik złoży, niechaj *umie* złożyć całość a w nagrodę nietrudno mu będzie zyskać nareszcie to, do czego się jako do upragnionego celu dąży we wszelkich badaniach i poszukiwaniach nad całością czy szczegółowemi ustępami dziejów—*prawdę*.

BAROMETR
W STOSUNKU DO POGODY.

(Dokończenie).

Poszukiwania nad stanem barometru przy różnych wiatrach z deszczem, na podstawie wielkiéj liczby spostrzeżeń wykonane, doprowadziły do wypadków następnych:

1) Na stronie zachodniéj róży wiatrów po wietrze ciepłym następuje zimny, na wschodniéj przeciwnie—cieplejszy po zimniejszym.

2) Na stronie zachodniéj, zimny cięższy wiatr północny usuwa południowy lżejszy snadniéj, aniżeli na stronie wschodniéj, ten ostatni zwycięża pierwszy.

3) Na stronie zachodniéj prężenie pary wiatru następnego jest mniejsze niż poprzedzającego, na wschodniéj zaś ma miejsce stosunek przeciwny. Zdaje się też, że jednocześnie, na stronie zachodniéj wiatr następny jest stosunkowo suchszy, a na wschodnio-południowéj wilgotniejszy.

4) Na stronie zachodniéj wiatr zimniejszy objawia się najprzód u dołu i wypiera panujący przedtém wiatr południowy od dołu do góry; na stronie wschodniéj zjawia się wiatr cieplejszy najpierw u góry i usuwa północny z góry do dołu. Przytém wyciskający prąd biegunowy na stronie zachodniéj wpada nagle do warstw dolnych i coraz powolniéj przechodzi na północ; ciepły zaś prąd równikowy obwiewając najprzód strefy górne, bardzo pomału i z wielką trudnością zwycięża prąd północny, nim dostanie się do warstw dol-

nych, poczém kierunek wiatru już szybko zwraca się na południe.

Ponieważ na stronie zachodniéj wiatr zimny następuje po ciepłym, na wschodniéj zaś—ciepły po zimnym, przeto bierność pary w powietrzu zmniejszać się powinna na zachodzie, a powiększać się na wschodzie. Z nagłego wciskania się wiatru północnego ze strony zachodniéj, a powolnego opanowywania przez wiatr południowy od wschodu wypada, że na stronie zachodniéj następuje nagłe zmieszanie się mas powietrza nierównie ogrzanych, na wschodniéj zaś powolne usuwanie. Najczęściéj przeto oczekiwać możemy opadu od Pd do Z, najrzadziéj zaś od Pn do W., w pierwszym bowiem razie różnica ciepłoty mieszających się prądów będzie większa, niźli w ostatnim; z tych téż powodów opad od strony zachodniéj posuwa się i daléj ku północy. A że temperatura wiatrów zimową porą różni się najbardziéj, przeto w téj porze roku opady będą częstsze niż latem; ze względu na większe jednocześnie różnice w stanie barometru, zwracanie się wiatrów będzie odbywało się prędzéj w zimie niż w czasie lata, a ztąd przy wietrze północno-wschodnim zimową porą oczekiwać możemy prawdopodobniéj śniegu, aniżeli latem deszczu.

We wszystkich zmianach wiatrów wahanie barometru bierze udział tak dalece, że rzec można, iż stan barometru pokazuje kierunek prądów powietrznych na znacznych przestrzeniach z większą dokładnością, aniżeli chorągiewka, obracająca się często skutkiem powiewów miejscowych. I w rzeczy saméj, kiedy chorągiewka stale jeszcze wskazuje wiatr wschodni i o wkroczeniu prądu południowego w strefach górnych żadnego jeszcze znaku nie daje, opadający barometr zdradza już lekkiego południowca i wnet zwiastuje o rozpoczynającéj się powoli zmianie wiatru od góry do dołu; również podnoszenie się kolumny barometrycznéj świadczy pewniéj i bardziéj stanowczo o nagłém wdzieraniu się u dołu prądu biegunowego, aniżeli wszelkiego rodzaju wahania chorągiewki, pod wpływem miejscowych stosunków zostającéj. Temi wskazówkami zmiany wiatrów barometr pokazuje wszystkie odmiany pogody z niemi połączone.

Podług tego wzajemne wyciskanie prądów i towarzyszące im opady należą wyłącznie do zmian, o których najczęściéj barometr naprzód zwiastuje, albowiem w każdym razie pociągają za sobą zmianę ciśnienia atmosferycznego. Dla pewniejszego atoli wyrokowania o tych przepowiedniach barometrycznych odróżniać należy koniecznie: czy te odbywają się na zachodniéj, czy na wschodniéj stronie

widnokręgu, tj. czy do ich objawienia się wiał wiatr zachodni, czy wschodni.

Podnoszenie się barometru na stronie zachodniéj zapowiada wciskanie się zimnego prądu biegunowego, którego mieszanie się z wilgotnym ciepłym do tego czasu płynącym wiatrem południowym sprzyja opadowi. Jeśli zatém przy nizkim stanie barometru i południowo-zachodnim wietrze deszczu powszechnego nie było, a powietrze odznaczało się wilgotnością, tedy barometr podnoszący się zwiastuje deszcz lub śnieg, które pospolicie prędko nawet tuż z podnoszeniem się kolumny często spadają, albowiem prąd biegunowy zwykle wdziera się nagle i będąc zimniejszym, snadnie zgęszcza obficie rozlaną w powietrzu parę; a że dla zupełnego usunięcia lżejszego powietrza potrzebuje pewnego czasu, przeto nie podnosi do razu kolumny barometrycznéj do właściwéj temu wiatrowi wysokości. Deszcz ten odznacza się wielkiemi kroplami; najczęściéj burze, grad, krupki i wściekłe zawieje śnieżne mamy z téj strony widnokręgu. Jeśli barometr podnosić się nie przestaje, to znaczy, że prąd biegunowy zwycięża; chmury wtenczas rozdzierają się, niebo wyjaśnia i następuje ostre zimno w porze zimowéj,—ciepło słoneczne latem. Zimny ten prąd, jak wiemy, wpada najprzód u dołu, podobnie jak przez drzwi otwarte w ogrzanym pokoju czujemy zaraz ciąg w nogach; wiatr wieje tu bezpośrednio z chmury, którą w swym biegu tworzy i drogę swą na niebie ciemnemi obłokami odznacza. Ponieważ wdzierający się ten prąd zimny spotyka panujący ciepły ze strony mniéj więcéj wręcz przeciwnéj, często więc przy wzajemném ich znoszeniu i pasowaniu się powstaje latem cisza, którą pospolicie powietrzem duszącém zowią. Że chmura, jak zwykli mawiać, wiatr z przeciwnéj strony odwraca, znajduje to w powyższém wyjaśnienie swoje. Tuż z wiatrem jest i burza, ztąd owa nagła pomroka i zwrot wiatru. Jeśli zaś po pierwszym do podniesienia się popędzie barometr znowu opada—przyczém deszcz lub śnieg najczęściéj padać zaprzestają—to znaczy, że prąd równikowy został niezwyciężonym, wiatr wstecz się cofnął z południa, i wówczas z pewnością prawie liczyć możemy na powrót opadu przy ponowném natarciu wiatru północnego; a dopóki trwa walka tych prądów, dopóty spodziéwać się nie możemy, ażeby śnieg, deszcz itp. znowu nie powtórzyły się. Ztąd deszcz przeciągły, nie jestto jeden i ten sam opad, lecz częste tylko powtarzanie się w mowie będącego zjawiska, które na chorągiewce przedstawia się w ciągłych wahaniach jéj między zachodem a południem, na barometrze zaś—w ustawicznych zmianach kolumny.

Na stałą pogodę wtenczas tylko liczyć możemy, kiedy podnoszenie się barometru, w początku szybkie, w dalszym ciągu odbywa

się powolniéj—jak to się dzieje i z przemianą samych wiatrów. Jeżeli barometr po prędkiém wznoszeniu się—jak to często bywa—znowu opada, to obniżenie się kolumny powtórne zwykle nie tak wielkie bywa, jak pierwsze. Podczas zimy od najniższego do najwyższego stanu barometru zaledwie kilka dni przedziela tylko, t. j. barometr daleko prędzéj podnosi się, aniżeli opada; co naturalnie wynika z przytoczonego tu prawa obracania się wiatrów.

Zupełnie rzecz się ma inaczéj ze zmianą pogody na stronie wschodniéj, t. j. jeżeli przez pewien czas panował wiatr wschodni. O pierwszém wciskaniu się prądu równikowego do warstw górnych ostrzega obniżenie się barometru, gdy tymczasem chorągiewka długo jeszcze wschód pokazuje. Jednocześnie prawie ze zmianą barometru niebo pokrywa się cienką powłoką subtelnych obłoków pierzastych (cirri), które znamionują ślad wiatru południowego, przynoszącego deszcz lub śnieg. Ta wskazówka barometru poprzedza często na kilka dni przyszłą odmianę i zapowiada śnieg i odwilż po mrozach ostrych, a deszcz po jasnych ciepłych dniach lata. Na tę zmianę pogody z tém większą pewnością liczyć możemy, że cofanie się wiatru wsteczne w téj stronie widnokręgu o wiele rzadziéj się zdarza, aniżeli na zachodzie. Wyjątkowy atoli zwrot wsteczny wiatru sprowadza zawsze z téj strony deszcz lub śnieg przy wznoszącym się barometrze,— zjawisko podobne, jak przy zwyczajném krążeniu wiatru na stronie zachodniéj: w jednym bowiem i drugim razie bierność pary wraz z ciepłotą nowego wiatru maleje. Lecz gdy wstecz cofnięty wiatr na wschodniéj stronie poziomu, jako zimniejszy, zgęszcza parę i podnosi kolumnę barometryczną, cofający się prąd na zachodzie, jako cieplejszy, podnosi maximum rozprężliwości pary i zniża ciśnienie powietrza. Ztąd na stronie wschodniéj deszcz częściéj pada przy barometrze wznoszącym się, aniżeli na zachodniéj przy obniżającym się. Takie atoli cafanie się wiatru na stronie zachodniéj, gromadząc parę z okolic południowych, wróży deszcz, skoro tylko przywrócone krążenie prawidłowe wiatru przez Z. na Pn. wciśnie powietrze chłodniejsze. A że wsteczne cofanie się prądów powietrza na stronie zachodniéj zdarza się częściéj niż na wschodniéj, upatrujemy przeto w téj okoliczności jedną więcéj z przyczyn, dla których z zachodu obficiéj dostajemy opadu. Przy normalném obracaniu się wiatru na stronie zachodniéj barometr podnosi się i często deszcz spada w dużych kroplach, przy czém powietrze ochładza się, jest to zwykle przejście od słoty do pogody. Na stronie wschodniéj przeciwnie: zwrot prawidłowy wiatru sprowadza często deszcz drobny, przeciągły, przy obniżającym się barometrze, powietrze przytém nie oziębia się, — jest to przejście z pięknéj pogody do słoty. Gdy

w pierwszym razie, jak się rzekło, barometr nie dochodzi do wysokości płynącemu wiatrowi właściwéj i stoi niżéj, to w drugim znowu nie opada odrazu do miary nowemu wiatrowi odpowiedniéj, wysokość więc kolumny jest w początku deszczu większa; w obu bowiem przypadkach nowy wiatr zostaje pod wpływem poprzedniego: z zachodu lżejszego, ze wschodu cięższego. Na stronie zachodniéj tworzenie się obłoków postępuje z dołu do góry; na wschodniéj—z góry do dołu. Nagłe powstawanie obłoków ma miejsce na stronie zachodniéj, powolne— na wschodniéj. Tamte odpowiadają kłębiastosmużystym (*cumulostrati*), te — pierzastym (*cirri*). Zaprzestanie tworzenia się obłoków przy przewadze wiatru północnego nazywamy rozdarciem się chmur, w swoim rodzaju charakterystyczne i bardzo się różni od powolnego rozpływania się w powietrzu cieplejszém obłoków kłębiastych (*cumuli*), kiedy te zniżają się wieczorem przy osłabieniu wznoszących się prądów. Podniesiona po deszczu ciepłota zapowiada deszcz powtórny; albowiem na stronie wschodniéj oznacza prawidłowe opanowanie wiatru południowego, a na zachodniéj wsteczne cofanie się, które zrównoważyć musi nowe natarcie prądu z północy, połączone z opadem.

Widzimy tedy, że tak przy prawidłowém jak i nieprawidłowém zwracaniu się wiatrów zjawisko z jednéj strony widnokręgu zupełnie jest przeciwne jak z drugiéj. Barometr opada przy deszczu ze strony wschodniéj, podnosi się podczas deszczu z wiatrem zachodnim.—Bliższe poszukiwania Dovego nad postrzeżeniami w Paryżu pokazują, że kolumna barometryczna podnosi się w czasie deszczu od Z. do Pn. w przecięciu o 1‴ w ciągu 12 godzin. Tym sposobem, powiada ten uczony, rozwiązują się wszystkie sprzeczności, w których się wikłano, stawiając za konieczność, ażeby barometr przed deszczem albo opadał, albo podnosił się, bo nie odróżniano strony zachodniéj od wschodniéj. Kiedy w walce prądu północnego z południowym na stronie zachodniéj cała zbyteczna ilość pary skropliła się i z deszczem lub śniegiem spadła, a powietrze tym sposobem osuszyło się, wiatr wdzierający się z północnego wschodu nie może już sprowadzić deszczu; płynąc bowiem do coraz mniejszéj szerokości geogr., powietrze ociepla się, a tém samém od stanu nasycenia parą oddala. Z tego powodu przy barometrycznéj wartości czyli wysokości tego wiatru na podziałce napisano *pogoda* albo *posucha*. Następnie barometr zaczyna opadać, i powiadają będzie słota, właściwiéj: będzie wiatr znowu z południa. Tu należą: śnieg po ostrych mrozach, który przechodzi w odwilż, wysoko unoszące się burze latem, które ciągną z wiatrem wschodnim i jakbądź są gwałtowne, powietrza jednak nie oziębiają. Deszcz zatém z wiatrem zachodnim przy pod-

noszącym się barometrze przechodzi zimą w śnieg i zapowiada mróz, a śnieg z wiatrem wschodnim przy opadającym barometrze zamienia się w deszcz i każe spodziewać się odwilży. Całą sprawę tego zjawiska zimową porą, kiedy najprawidłowiéj powtarza się, Dove opisuje w Berlinie następnie: „Przy niskim stanie barometru długo panuje wiatr południowo-zachodni, niebo pochmurne, powietrze ciepłe przy drobnym jednostajnym deszczu. Jak tylko wiatr poczyna zwracać się na Z. (ku Pn. Z.), ciemne masy obłoków nadciągają z zachodniéj strony widnokręgu, przed któremi tuż zimny wiatr powiewa, niosąc gęste tumany śniegu. Zjawisko to powtarza się często; podczas którego tu i owdzie pomiędzy niższą warstwą obłoków dostrzegać się dają wyższe coraz rzadsze smugi, unoszące się jeszcze z wiatrem południowo-zachodnim. Z każdém nowém natarciem wiatru północnego barometr nagle podnosi się, śnieg krzepnie pod nogami, chmury dolne coraz się wznoszą, w końcu rozdzierają, jakby w długie pasy poprzerzynane i jak tylko chorągiewka odwróci się z północy, znikają. Niebo rozjaśnia się, walka skończona, wynikiem jéj — sanna, powietrze dziwnie przezroczyste, dymiące się tylko kominy chwilowo ją zamącają, mróz tęgi wszystkich nagli po śniegu skrzypiącym. Prąd północny wziął górę—może na długo, niezmienny kierunek chorągiewki z północnego wschodu świadczy o zwycięztwie. Lecz nareszcie przychodzi z kolei wiatr południowy, z nim jednocześnie okazują się owe lekkie górne obłoczki (napowietrzne drzewa), barometr opada, lubo chorągiewka kierunku nie zmienia. Atoli coraz wyraźniéj wiatr południowy wyciska wschodni z góry do dołu: obłoki zgęszczają się w owę, do mleka podobną powłokę, w któréj księżyc opromienia się świetną koroną, zwiastującą słotę; z południowo-wschodnim wiatrem śnieg sypać poczyna, barometr coraz więcéj opada, wiatr zwraca się na południe, deszcz leje, wiatr przechodzi na południowy zachód; po krótkiéj téj przerwie wracają na nowo mrozy.“

Jest to idealny obraz okresu peryodycznego zmian pogody, któremu zaiste pojedyncze, oderwane przypadki mogą w zupełności nie odpowiadać; niemniéj jednak maluje w całości ogół przebiegu, jeśli tylko zmiany wiatrów tych głównych sprawców zjawiska, odbywają się podług prawa ogólnego. Gdzie wiatry nie następują po sobie wedle prawa ich krążenia, lecz wieją niestale z téj i owéj strony; gdzie w ciągłych zapasach z sobą raz posuwają się naprzód, to znowu cofają: tam objawia się stan pogody zmienny, dający się uczuć przez częste i nagłe zmiany ciepła i deszczu lub śniegu. Zachodnia strona widnokręgu odznacza się szczególniéj tą grymaśną pogodą, zwłaszcza w kwietniu, kiedy śniegi topnieć prędko zaczynają: uwydatnia się wówczas wpływ różnorodnego gruntu, którego powietrze

dotyka, następuje oraz przełom między wpływem morza a lądu, nim wzrastające ciepło nie rozstrzygnie téj walki i nie nada tym wpływom cechy stałéj, różnéj od poprzedniéj.

Jeśli porównamy stan barometru przy każdym wietrze z przecięcia wszystkich spostrzeżeń ze stanem przy tychże wiatrach podczas deszczu lub śniegu, to znajdziemy, iż przy każdym wietrze barometr w czasie deszczu stoi niżéj od średniéj wysokości temu wiatrowi przynależnéj tak, że w przecięciu przyjąć możemy, że średnia wysokość kolumny w czasie deszczu zniża się mniéj więcéj o 2‴. Przyczyna jest ta, że ze strony zachodniéj wiatr ciężki, zarywając u dołu z północy, miesza się z wiatrem południowym lżejszym, który w górnych strefach płynąć od razu nie przestaje; ciśnienie zatém całéj powietrzni podnieść nie może kolumny barometrycznéj do téj wysokości, do jakiéj posuwa wyłącznie płynące z téj strony powietrze w całéj rozciągłości atmosfery. A ponieważ dopóki trwa deszcz, dopóty i mięszanie się tych prądów—jako przyczyna samego opadu — też nie ustaje, przeto i barometr w tym czasie zawsze niżéj stać musi od średniéj wysokości płynącemu u dołu wiatrowi przynależnéj. Podobnież ze strony wschodniéj: ciepły i lżejszy wiatr południowy, usuwając z góry wiatr cięższy, zniża jego wartość barometryczną. Różnica pomiędzy stanem barometru podczas deszczu a średnią wysokością kolumny dla tegoż samego wiatru zależéć będzie tak od stosunku jaki zachodzi pomiędzy wartościami barometrycznemi wiatrów w walce zostających, jak i od gwałtowności wzajemnego usuwania. Ponieważ w zimie różnice barometryczne wiatrów są największe i zmiany prądów najprędsze, przeto różnica pomiędzy średnią wartością barometryczną przy deszczu a średnią ogólną tegoż samego wiatru będzie w téj porze roku największa. Barometr więc w ogólności stać będzie najniżéj w czasie padania śniegu; lecz jeśli w tym samym obrocie wiatru pada śnieg i deszcz, to w ostatnim razie kolumna barometryczna usunie się jeszcze niżéj, albowiem przewaga powietrza ciepłego będzie tu większa. Prócz tego nizki stan barometru w czasie niepogody Dove przypisuje ubywającemu prężeniu pary, wprawdzie ta uwaga niewątpliwie słuszna, lecz że nie stanowi wyłącznéj i rozstrzygającéj przyczyny, widzimy ztąd, że właśnie podczas deszczu z zachodu, kiedy skrapla się najwięcéj pary spreżystéj i oddziaływać na barometr przestaje, wysokość jego kolumny wzrasta. Również mało przemawia za tém regularne podnoszenie się barometru prawie o 1‴ w miarę zbliżania się burzy do zenitu, kiedy najwięcéj pary z deszczem wylewa się z powietrzni.— Możnaby jeszcze mieć przytém na względzie wielką ilość cieplika,

wywiązującego się przy zgęszczeniu pary i rozrzedzającego swoim cieplikiem powietrze. Są to jednak podrzędne działacze, które nikną wobec różnicy ciepłoty dwóch walczących z sobą prądów.

Ze wszystkiego, cośmy o stosunkach ciśnienia powietrzni i zachowania się barometru przy pojedynczych wiatrach powiedzieli, przychodzimy do przekonania, jak niepodobna ufać napisom na podziałce barometrycznéj: *posucha*, *deszcz*, *zmienna pogoda* i t. d. Chcąc skalę podobną zastosować, należałoby ją właściwie dla każdego osobno miejsca utworzyć: podziałka, np. dla Genewy służąca, nie może odpowiadać swemu przeznaczeniu na górze św. Bernarda, gdzie barometr do tych wysokości jak w Genewie wznosić się wcale nie może. Lecz nie potrzeba nawet tak znacznéj w wyniesieniu miejsc różnicy, dość porównać średnią wysokość barometru w miejscowościach wyżéj podanych (Kraków, Warszawa, Wilno, Petersburg) ażeby przekonać się, że ta jest odmienna. Jakimże więc sposobem jedna i taż sama wysokość kolumny barometrycznéj oznaczać wszędzie może jednakowy stan pogody? Gdybyśmy dla jednego i tegoż samego nawet miejsca zamierzali urządzić stałą skalę barometryczną pogody, to i tak zawiedlibyśmy się w oczekiwaniu, albowiem wartość barometryczna wszystkich wiatrów zmienia się nietylko w każdéj porze roku, w każdym miesiącu, lecz nadto w każdym dniu i godzinie, jak to postrzegamy z następującéj róży barometrycznéj w pojedynczych miesiącach dla Karlsruhe, obliczonéj ze spostrzeżeń lat 26 (1808—1833):

	Pn	Pn W	W	Pd W	Pd	Pd Z	Z	Pn Z	Średnia
	‴	‴	‴	‴	‴	‴	‴	‴	‴
Styczeń . . .	335,241	335,696	335,017	334,843	332,879	333,760	333,349	334,587	334,532
Luty	6,098	5,682	3,897	3,794	3,588	4,083	4,220	5,034	4,643
Marzec . . .	3,895	4,907	4,349	1,493	2,718	3,104	3,658	3,730	3,922
Kwiecień . .	4,129	4,211	3,538	2,232	1,399	2,192	2,880	3,847	3,171
Maj	4,131	3,997	4,008	3,755	2,946	2,918	3,334	3,885	3,531
Czerwiec . .	4,806	4,806	4,082	3,580	3,376	3,362	3,682	4,383	3,994
Lipiec . . .	4,752	4,675	4,629	3,407	3,591	3,530	3,763	4,384	4,009
Sierpień . . .	4,746	4,797	4,426	3,785	3,742	3,671	3,831	4,586	4,094
Wrzesień . .	5,200	5,275	5,117	3,389	3,502	3,585	3,806	4,049	4,299
Październik .	4,909	5,255	5,108	3,648	2,249	3,054	3,756	4,907	4,107
Listopad . .	4,969	4,991	5,348	2,943	1,747	3,661	3,919	4,839	4,133
Grudzień . .	4,440	4,762	5,232	4,049	2,000	3,322	3,911	3,957	3,875
Zima . . .	5,325	5,381	4,637	4,326	2,782	3,702	3,863	4,504	4,362
Wiosna . .	4,055	4,482	3,946	2,835	2,380	2,750	3,293	3,818	3,542
Lato . . .	4,772	4,760	4,347	3,582	3,583	3,530	3,756	4,450	4,033
Jesień . . .	5,032	5,182	5,183	3,444	2,413	3,447	3,798	4,605	4,179
Rok . . .	4,715	4,967	4,513	3,496	2,782	3,387	3,660	4,301	4,026

Porównanie podziałek barometru:

Zamiana cali i linij paryskich i angielskich na milimetry.

1 cal paryzki =27,069948 milim. =1,065765 cali angielskich.
1 linia paryzka =2,255829 milim. =0,88814 linii angielskiéj.
1 cal angielski =25,397001 milim.
1 linia angielska =2,5397 milim.

Z drugiéj strony, taż sama wysokość barometru mieć może w jednym roku inne niż w drugim znaczenie, przy kombinowaniu tedy postrzeżeń zwracać głównie uwagę należy na koléj, w jakiéj wiatry przy zmianach po sobie następują, a stosownie do strony widnokręgu, na któréj zwrot wiatru prawidłowy lub wsteczny objawia się, jedna i taż sama wysokość kolumny odmienną dać może wskazówkę. Jeśli przytém zważymy, że przy deszczu i śniegu stoi barometr około 2‴ poniżéj stanu średniego każdemu wiatrowi właściwego, to podobna, jak wyżéj, róża barometryczna, dla każdego miejsca z dostrzeżeń długoletnich obliczona, może lepiéj niż wszystkie napisy barometryczne posłużyć w dociekaniu przyszłego stanu pogody. Takie róże słusznie zowią słownikiem dla nauczenia się mowy barometrycznéj i dla każdego miejsca winny być obliczane. Dla takiéj doniosłości przedmiotu musimy najusilniéj prosić tych, co wstęp do materyałów długoletnich postrzeżeń mają, aby nie szczędzili trudu dla wyliczeń; a tabele takie, zamieszczone w kalendarzach, realniejszą dla publiczności zapewniłyby korzyść, aniżeli przepowiednie pogody, nie mające żadnéj rękojmi ziszczenia się.

Pilne śledzenie ruchów barometrycznych, obok jednoczesnéj na kierunek wiatrów uwagi, daje w wielu razach możność odgadywania poniekąd przyszłego stanu pogody. Przy tém śledzeniu nie chodzi o to, jak wysoko w danéj chwili stoi barometr, lecz głównie czy kolumna jego ma się ku podnoszeniu, czy obniżeniu. W mowie codziennéj opadanie barometru zwiastuje u nas słotę, podnoszenie się pogodę. To prawidło wiele ma słuszności, częstéj atoli ulega modyfikacyi. Wiatry południowe należą u nas do ciepłych, które barometr zniżają; jakoż mniéj więcéj przy południowo-zachodnim dochodzi on zwykle do stanu najniższego. Lecz ten wiatr w Europie, jak wiemy, przynosi najczęściéj słotę, a więc bardzo możliwą jest rzeczą, że przy niskim stanie barometru lać będzie, jeśli tylko powietrze zawiera w sobie dostateczną ilość pary. Przy wietrze znowu północno-wschodnim, suchym, płynącym od lądu, niebo zwykle wypogodzone bywa, barometr stoi najwyżéj. Tym sposobem samo przez się powstaje rzeczone prawidło ogólne. Lecz przy tym związku barometru z pogodą, przedewszystkiém mieć zawsze należy na względzie panującą cechę pogody, cechę, któréj znaczenie określają sam barometr i jego zachowanie się w najbliższym czasie ubiegłym i przyszłym. Jeżeli np. latem pogoda szczególną odznacza się posuchą, to może się zdarzyć, że przy opadającym barometrze niebo zachmurza się, zdaje się niechybnie dészcz silny spadnie, tymczasem przekonywamy się tylko z jednéj strony o prawdziwości przysłowia „z wielkiéj chmury mały dészcz," z drugiéj — o mylno-

ści podziałki barometrycznéj, wskazującéj na *dészcz*; zaledwie trochę pokropi, albo bez żadnego nawet opadu obłoki rozpływają się i znikają. W takich przypadkach, jeżeli barometr, jak często bywa, stoi nizko, powietrze tak jest suche i ciepłe, że para w stanie rozprężliwym może rozpościérać się w atmosferze. W innych zaś latach, kiedy cecha pogody jest dżdżysta, powietrze bardzo wilgotne, bywa przeciwnie, że i przy wysokim stanie barometru, kiedy ten pokazuje *pogodę*, dészcz leje, i znowu słuszną ten przyrząd obudza wątpliwość w tych, co do napisów jego chcą wiarę przywiązywać. W tém zdarzeniu wiatry północne, oziębiając powietrznię, łatwo zgęszczają parę w nasyconém powietrzu i lada chmurka sprawia wylew obfity. Taką cechę pogody barometr częstokroć na jakiś czas naprzód zapowiada: jeżeli, mianowicie w jesieni i początku zimy, zdradza barometr niepokój, jeśli w tym czasie częściéj, niż to zwykle bywa, opada nagle, to pospolicie mamy przy tém burze z południowego zachodu; często się zdarza, że barometr wówczas przy silném jeszcze uderzaniu wiatru i gwałtownym dészczu lub śniegu nagle zatrzymuje się w swéj mierze, obłoki ciągną w jednym prawie i tym samym kierunku na północny wschód, i po niejakimś czasie zaczyna kolumna podnosić się przy wzrastającym chłodzie. Jeśli to podnoszenie się barometru i wzrastanie zimna trwa bez przerwy najmniéj 24 godzin, to w przyszłości liczyć na mróz można. Jeżeli zaś po mrozie barometr mocno opada, nie podnosząc się znowu prędko od swego minimum, to zwykle nastaje czas łagodny. Kiedy w Kwietniu lub Maju słońce już znacznie przygrzeje, wówczas przy nagłém zrywaniu się wiatru z północnego wschodu lub zachodu przechodzą zwykle silne dészcze. Jeśli się zdarza, że przy podnoszącym się szybko barometrze zapanują wiatry północno-wschodnie, jeżeli przytém całemi dniami niebo wypogodzone bywa, a wiatry te dojmujący chłód rozniecają, tedy zwykle liczyć na to można, że czas przyszły tém pogodniejszy będzie, im dłużéj trwa to zimno przenikliwe, każdemu nieprzyjemne. Bywa téż, że, jakimbądź jest stan powietrza latem, od czasu do czasu oba prądy, północno-wschodni i południowo-zachodni, toczą zaciętą między sobą walkę, podczas któréj objawiają się burze. Przyszła cecha pogody zależy w takim razie przedewszystkiém od stosunku wiatrów: jeśli przez kilka dni z rzędu pojawiają się burze i, ciągnąc od północy nawet, ciepłoty nie zniżają, a barometr opada przytém powoli i bez przerwy, to i nadal zmiennéj pogody spodziéwać się należy, lecz kiedy wiatr północno-wschodni burzę przepędzi, poczém robi się znacznie chłodniéj i barometr podnosi się, w takim razie nastaje zwykle pogoda.

Ze względu na dzienne ruchy peryodyczne, podług których w stanie prawidłowym pogody kolumna rtęci każdego dnia około 9—10 godziny z rana podnosi się od 0''',5 do 1''', a koło 4—5 wieczór o tyleż prawie opada, Muncke podaje prawidło, że skoro barometr z rana podnosi się, dészczu oczekiwać nie można, przeciwnie, obniżanie się barometru w tym czasie, kiedy właściwie podnosić się powinien, zapowiada dészcz z pewnością tegoż samego dnia. I w rzeczy saméj lubo to prawidło nie jest zupełnie bez wyjątku, policzyć je można do pewniejszych. Przy wietrze zachodnim zwykle w południe albo nawet wcześniéj dészcz latem wypada, a zimą śniég i odwilż następują, jeżeli tylko nagłe opadnięcie barometru w godzinach rannych ma miejsce. Przy wietrze wschodnim objawia się taż sama odmiana, lecz w ogólności nie tak rychło i z mniejszą na nią pewnością liczyć możemy. Zresztą w obu razach, jak widzimy, wciska się wiatr południowy: z zachodu przez cofanie się, od wschodu zaś przez prawidłowe krążenie. Tak samo podnoszenie się barometru po południu, kiedy ten zwykle opada, zwiastuje piękną pogodę przy wysokim stanie barometru.

Że znaczne opadnięcie barometru zapowiada wichry, spostrzeżono to zaraz po wynalezieniu tego przyrządu. Niezwykłe kolumny barometrycznéj wahania znamionują zawsze zwichnięcie równowagi w powietrzni wtenczas nawet, kiedy skutków na miejscu postrzeżenia wcale nie widzimy, atoli stronami zawsze się objawiają. Wzburzenie atmosfery występuje zwykle na wielkich przestrzeniach. Spostrzeżenia, robione w Europie, pokazują niekiedy część tylko tych zawichrzeń, których dopełnienia w innych częściach świata szukać należy: powietrze z gwałtownością przenosi się z jednych krajów do drugich, tam barometr opada, tu się wznosi. Mamy więc tym sposobem do czynienia z falą pewnego rodzaju, która na jedném miejscu piętrzy się, kiedy na drugiém zagłębia. Uderzający tego przykład przedstawił się w Grudniu 1856. W tym miesiącu następowały po sobie niezwyczajne zmiany barometru tak prędko, jak się rzadko zdarza: kolumna rtęci w niektórych miejscach opadła o 9''' poniżej średniego stanu miesięcznego, a po trzech dniach podniosła się po nad ten stan o 10''', owóż wkrótce potém czytano obwieszczenia o licznych rozbiciach się okrętów na brzegach Anglii. Dnia 14 Listopada, kiedy Pontyjska Anglo-francuska flota wielkiego doznała na morzu Czarném uszkodzenia, barometr tam opadł o całe 33'''.

Pamiętając o stosunku, jaki zachodzi między barometrem a termometrem, zgodzić się musimy, że różnica ciepłoty, jaką okazują kraje pod wypogodzoném niebem w głębi Rossyi lub Azyi a pod zamglonem zachodniéj Europy, znacznie odmienny stan barometru po-

ciągać za sobą musi. A że to przeciwieństwo temperatury objawia się zwykle od południowego zachodu na północny wschód, przeto i najwyższy stan barometru, według porównawczych dostrzeżeń, posuwa się po większéj części w tymże kierunku. Największe obniżenie barometru wywołuje się przeciągłém powietrza płynieniem z południowego zachodu; najmniejszość zaś ciśnienia powietrzni na pewném miejscu charakteryzuje się przez burzliwe wiatru przejście w kierunku Pd, Z, Pn, W. Tam, gdzie gładka powierzchnia widnokręgu zawady prądom powietrznym nie przedstawia, jak np. na morzu lub stepach, ruch postępowy tego minimum z wiatrem południowo-zachodnim objawia się najwyraźniéj; lecz gdzie góry stawiają tamę, skupiać się musi powietrze od strony wiatru, gdy tymczasem z przeciwnéj—mamy przerywane obniżanie się barometru. Tym sposobem często postrzegamy w Alpach jak na południowéj ich pochyłości barometr nagle staje wyżéj, niż na północnéj. Na szczytach gór, gdzie ta zawada ustaje, widzimy np. na górze ś. Bernarda prędkie już opadanie kolumny, kiedy na równinach Lombardyi zjawisko to jeszcze nie występuje. A ponieważ różnice ciśnienia powietrzni tém są większe, im bliżéj poziomu morza, zatém w przerwach między górami—gdzie powietrze przedrzéć się może—wiatr pędzi z całą gwałtownością, nierównie silniéj niż na górach. W miarę dłuższego trwania wichru różnice barometryczne naturalnie zmniejszają się i przy coraz malejącém jego natężeniu nareszcie znikają.

Większa część wichrów ciągnie do nas z południowego zachodu; barometr przy nich opada bardzo prędko. Często bywa, że takie wichry przerywa cisza, a po niejakimś czasie również gwałtowny dmie wiatr z północnego zachodu przy podnoszącym się barometrze. Nagłe wzniesienie się barometru daje się tłómaczyć przez zwarcie obu prądów: biegunowego i równikowego, a ztąd przy gwałtownem jednego z nich przełamaniu należy się spodziewać wichru.

Z powodu téj zależności barometru od stanu atmosferycznego żeglarze pilną zawsze zwracają uwagę na ruchy barometryczne i liczne podają przykłady wskazówek, które ich od przypadków i częstokroć od wyraźnéj zguby ocaliły. Pewność, z jaką Krusenstern przedsiębrał zawsze środki w celu uniknienia niebezpieczeństw wichrów, przypisuje głównie pilnemu śledzeniu ruchów barometru; tak samo Scoresby zapewnia, że czas i gwałtowność wichru przepowiadał ze stanu barometrycznego z dokładnością chybiającą raz tylko na 18 przypadków.

Między zwrotnikami nawet, gdzie wpływy zewnętrzne na barometr są bardzo małe, kolumna rtęci w czasie silnych wiatrów wielki

zdradza niepokój. Już na dni kilka przed nadciągnięciem **nortes** (silny wiatr północ. w Meksyku) można ze stanu barometru w Vera—Cruz przepowiedziéć z wielkiém prawdopodobieństwem odległość, siłę i czas trwania zbliżającego się wiatru. Atoli uraganom strefy gorącéj nie towarzyszy tak silne opadanie barometru, jak to z postrzeżeń w naszych krajach robionych wnosićby wypadało. Przy wielkich zakłóceniach atmosfery prawidłowość pogody często i między zwrotnikami naruszoną bywa, a to zawichrzenie uwydatnia się tam bardziéj, aniżeli w naszych krajach, gdzie zwykle ciepłe i zimne, mokre i suche dni naprzemian przez cały rok po sobie następują. Te anomalie najwyraźniéj postrzegamy tam, gdzie związek pomiędzy zjawiskami rozmaitych okolic dowieść się daje. Tak w Egipcie, gdzie deszcze należą do zjawisk nadzwyczajnych, w burzy złowieszczą upatrują wróżbę i nie bez słuszności przepowiadają nieurodzaj. Silnie rozgrzany ląd Afryki obudza wiatr północny od morza Śródziemnego, który znaczną przynosi z sobą ilość pary; ta, płynąc do okolicy coraz w wyższym stopniu ogrzanéj, skroplić się nie może, i w stanie rozprężliwym dostaje się aż do gór Sudanu, gdzie dopiéro wylewa się. Im silniéj ląd rozgrzany bywa, tém natarczywszy wiatr z północy większą na południe ilość pary przenosi; lecz w takim razie na żaden w Egipcie opad liczyć nie można i mieszkańcy jego cieszą się nadzieją wielkiego wezbrania Nilu. Jeżeli zaś zaburzenie w powietrzni zwichnie ten pęd musonu, wówczas w Egipcie spada często deszcz i grad nawet; mniéj więc pary do gór się dostaje, Nil rozlewa słabo, woda, należycie nie odświeżona, psuje się do najwyższego stopnia, mnóstwo robactwa w niéj się lęgnie, zaraza, wyrzuty i wszy same przez się powstają, nieużyznione pola pustkami stoją, a nareszcie głód dopełnia znaną tę plagę egipską.

Jeśli zważymy, jak rozmaity bywa jednocześnie stan ciepłoty w różnych okolicach,—jak ostro zimy w jednéj części świata odpowiadają łagodnym w drugiéj, a lata pogodne i skwarne jednéj —dżdżystym i chłodnym drugiéj,—jak panujące równocześnie w kierunkach wręcz przeciwnych wiatry nadają ten różnym porom roku właściwy charakter: tu nadzwyczaj ciepły, tam znowu zimny, jeśli dodamy, że we wszystkich tych stosunkach bierze udział barometr, tedy łatwo pojmiemy, jak to rozległe w rozmaitych częściach świata falowanie powietrzni odzwierciedla się w ruchach barometrycznych, w ścisłym z sobą związku pozostających.

Nie ulega wątpliwości, że rozważanie prawa krążenia wiatrów pospołu z oznakami barometru daje nam pewien punkt oparcia się w wyrokowaniu o charakterze najbliższego stanu pogody. Lecz obok tego komuż jest obca niepewność przepowiedni barometrycznych,

która zależy na tém, że nie określają one przedewszystkiém *czasu*, ani dają matematycznéj pewności spełnienia się zapowiedzianéj zmiany, jak niemniéj rękojmi dłuższego lub krótszego trwania obecnego stanu pogody. Zaiste opadanie barometru przy wietrze wschodnim zwiastuje wciskanie się prądu równikowego; lecz czy się ten przedrze rzeczywiście aż do dołu i opanuje atmosferę w całéj rozciągłości, czy téż ustąpi może przed przewagą prądu biegunowego ze swéj nie pewnéj jeszcze wysokości? A jeśli w kierunku tych ruchliwych nurtów oceanu powietrznego nowe nastąpią nieprzewidziane zmiany, czyż nie powinniśmy zgodzić się, że poprzednia wskazówka pogody będzie zobojętniona przez następną, a ta znowu przez dalszą? Lecz dajmy na to, że prąd południowy zwycięża; czy panowanie jego będzie dość długie, a ciepło wystarczające, ażeby w zimie mróz na odwilż zamienić? może w spadzistym swym przelocie przez krótką tylko przerwę przeprowadzi on zimno z jednego maximum do drugiego; czy dosyć posiada wilgoci, iżby latem spodziewany deszcz i burzę sprawić, albo może te zjawiska zachowane będą dla następnego wiatru z północnego zachodu? a cóż, jeśli i ten ostatni deszczu nie sprowadzi? A znowu pod względem stałości pogody: dopóki barometr stale i niewzruszony na swéj wysokości pozostaje, dopóty ciepło latem, a mróz zimą przy wietrze północno-wschodnim nie ustępują; lecz jak rychło pierwsze wraz z ostatniemi minie? o tém barometr żadnéj nie daje wskazówki. W zapasach prądu biegunowego z równikowym to się wznosi, to opada i przeplatana z deszczem lub śniegiem pogoda na stronie zachodniéj powtarza się ustawicznie; lecz *kiedy* jedno wraz z drugiém zdecyduje się na pewną stałość i stateczność, i na jaką mianowicie? o tém znowu barometr powiédzićć nie może. Czasem prawidłowy obieg wiatrów po krzyżownicy dopełnia się w dni kilka, czasem trwa kilka tygodni, to bez cofania się, to z częstemi odwrotami. Dla tego to z chwili obecnéj możemy z niejakiemś prawdopodobieństwem przeczuwać tylko stan pogody bezpośrednio nastąpić mogący, a nigdy nie jesteśmy w stanie posuwać przepowiedni do epoki odległéj. Mamy całe foliały prawideł, dotyczących wskazówek barometrycznych względem przyszłéj pogody, lecz nie pomnażają one nic zgoła tych prognostyków, o których tu powiedzieliśmy, a służą po większéj części do wzajemnego orzeczenia, do wyrażenia wieloliczných przypuszczeń i zachowania téj ostrożności, jakiéj podobnego rodzaju proroctwo wymaga. Sama mnogość tych prawideł, licznemi wywołana przypadkowościami, przestrzega dostatecznie i obudza wątpliwość względem napisów na podziałce barometrycznéj, nie mniéj zwodniczych jak i stanowczych: *stała pogoda*, *wielki deszcz*, *burza* itp., tudzież przekonywa każdego,

że zrozumienie i wykład niemylny wskazówek barometrycznych są nie możliwe bez własnego pilnego badania ich mowy, która ma swoje dyalekta prowincyonalne; niezależnie bowiem od harmonii w ogromie i całości istnieje wielka rozmaitość zboczeń w szczegółach, które wywołać mogą stosunki miejscowe, modyfikując rozlicznym sposobem rzeczone wskazówki.

Jeśli tedy wybujałe oczekiwania po wynalezieniu barometru nie ziściły się; jeśli z natury swéj nie może on zadowolić w takim samym stopniu rolników, w jakim stał się bez wątpienia użytecznym dla bacznych żeglarzy: to zawsze znajduje ten przyrząd zastosowanie pożyteczne w ciaśniejszych granicach praktycznych przy właściwém zrozumieniu jego natury. Jak z jednéj strony rozczarowanie było nieprzyjemne,—że opadanie i podnoszenie się kolumny, a mniéj jeszcze nizki lub wysoki jéj stan nie zawsze zapewniają deszcz lub pogodę, a ztąd potępiono na długi czas ten przyrząd i uznano zwodniczość jego proroczych przymiotów: tak znowu z drugiéj strony twierdzić nie mamy prawa, że wszystkie badania zostały już wyczerpane, ani też szczycić się wyjaśnieniem zjawisk, nic do życzenia nie zostawiającém. W nowszych dopiéro czasach przez połączenie stacyj meteorologicznych w jednę wielką sieć za pomocą telegrafu, który postrzeżenia z najodleglejszych krajów w jednéj chwili udzielać pozwala wzajemnie, zdobyto możność objęcia stanu pogody w jednym i tym samym czasie jako jednéj całości, jako zjawiska przyrody na wielkiéj przestrzeni, odbywającego się w jednym organizmie—powietrzni, a tém samém, dokładniéj niż dotąd ocenić znaczenie rozmaitych wskazówek i wzajemnego między przyrządami meteorologicznemi związku. Taka stacya meteorologiczna, obejmująca szczegółowo w jednéj chwili stan pogody w różnych częściach świata, czyż nie jest pierwszym węgielnym kamieniem tak pod względem zrozumienia przyczyn obecnego stanu pogody jak i oznaczenia naprzód zmian nastąpić mogących? W takich kombinacyach wskazówki barometryczne są zaledwie jedną oderwaną głoską całego wyrazu pogody. Ztąd poznajemy, jak mało barometr jest w stanie przepowiadać sam przez się pogodę na wielką skalę. Z samych tylko wahań jego niepodobna przyjść do pewników pod względem stanu pogody na czas odleglejszy: na miesiąc, a nawet tygodnie. Poznanie téj ujemnéj wartości albo raczéj właściwego wskazówek barometrycznych znaczenia należy bez wątpienia do postępu nowoczesnéj meteorologii. Dodajemy jeszcze, że meteorologia naukowa daleko jest od wszelkich mrzonek meteoromancyi czyli sztuki zgadywania pogody; jéj zadaniem dzisiejszém jest zdanie sobie sprawy i wytłómaczenie dostrzeganych rzeczywiście zjawisk w naszéj atmosferze na zasa-

dzie wiadomych i niezaprzeczalnych praw fizyki i mechaniki. Meteoromancya zaś musi sposobem wcale dotąd nie badanym zasadzać swe przepowiednie na ścisłych poszukiwaniach meteorologicznych, albo téż całą swą nicość okazać. Być może, że meteoromancya w stosunku do meteorologii jest tém, czém kwadratura koła dla matematyki albo perpetuum mobile dla mechaniki; a chociaż nauka uznała i dowiodła niemożebności jednego i drugiego, robiąc tém samém postęp rzeczywisty, mamy jednak coraz nowych wynalazców perpetuum mobile, a więcéj jeszcze niezdarnych proroków pogody.

A. Pietkiewicz.

JAN KOCHANOWSKI

WEDLE NAJNOWSZYCH OPRACOWAŃ.

(Johann Kochanowski (Johannes Cochanovius) und seine lateinischen Dichtungen. Ein Beitrag zur Literaturgeschichte der Slaven, von Raphael Loewenfeld. Posen 1878 VIII. 158).

Czytając, pod wyżéj przywiedzionym tytułem, studyum nad łacińskiemi utworami Jana Kochanowskiego, mimowoli przychodzą na myśl słowa tego poety, które, w chwili jakiegoś zniechęcenia do współczesnych oraz w głębokiém poczuciu swéj wartości, wypowiedział w jednéj z pieśni, noszącéj napis: *Muza*, wróżąc sobie w jasnowidzeniu natchnienia szerokie u potomnych uznanie.

> Jednak mam tę nadzieję, że przedsię za laty
> Nie będą moje czułe nocy bez zapłaty
> A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy
> To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy.

W istocie—jakkolwiek społeczności XVI wieku żadną miarą nie można robić zarzutu, by nie zrozumiała i nie oceniała należycie talentu wielkiego poety, gdyż owszem, nietylko ogół, ale i pierwszorzędni, począwszy od Reja, pisarze, powszechnie przed nim czoła schylali; to jednak dopiéro w bliższych nam i obecnych czasach, dzieła jego pozyskały gruntowne, bo na poważnych naukowych studyach oparte ocenienie i uznanie. Jakoż współcześni przy całém swém gorącém uwielbieniu dla poety, nie mogli się zdobyć na opis jego życia, choćby tak ogółowy, jaki Mikołaj Rej przyjaźni Andrzeja Trzecieskiego zawdzięczał.

W pismach Reja, w Górnickim, Bielskim, Paprockim, Orzelskim i innych, znajdujemy o Kochanowskim jedynie szczegółowe

wzmianki. Jan Januszowski, przy pierwszéj kompletnéj edycyi dzieł polskich, zgasłego poety, dokonanéj w r. 1585, umieścił nader cenną pod względem bibliograficznym przedmowę; ale przytoczywszy w niéj kilka szczegółów, odnoszących się do swych osobistych z poetą stosunków z przyczyny zamierzonego przezeń wydawnictwa wszystkich utworów jeszcze za życia; nie uważał również za właściwe dodać do niéj zaświéża skreślonéj jego biografii, choć jako pisarz, jako towarzysz lat akademickich i serdeczny swego imiennika przyjaciel, mógł i powinien był podjąć się tego zadania.

Dopiéro w XVII stuleciu, gdy się już żywa tradycya o poecie zatarła, zabrał się do napisania jego życiorysu Starowolski (*Scriptorum Polonicorum Hecatontas*) lubo w nim nawet dokładnéj daty jego urodzenia nie podał. W XVIII znowu, Franciszek Bohomolec, edycyą swą z r. 1767, choć z jednéj strony przypomniał społeczeństwu, po blisko trzydziestoletniéj przerwie w wydawnictwie dzieł Czarnolaskiego wieszcza jego zasługi; to jednak poprzestał na biografii przez Starowolskiego skreślonéj, którą dosłownie na język polski przełożył. Dokładniejszą już wiadomość o J. Kochanowskim podał Ignacy Krasicki w dziele swém: O Rymotwórstwie i Rymotwórcach. Z nagrobków bowiem odczytanych w Zwoleniu podaje datę jego urodzenia i lata zejścia jego rodziców; przytacza okoliczności, odnoszące się do jego za granicą pobytu, a do czego materyału dostarczyło mu wczytanie się w jego łacińskie poezye; wreszcie mówi o jego polskich utworach i te w krótkości ocenia. Obok tych wiadomości o życiu poety bibliografia skrzętnie opisuje liczne dzieł jego wydania. (Andrzéj Załuski, Daniel Janocki, Samuel Bandkie, Feliks Bentkowski). Wszakże właściwie dopiéro od czasów Kazimierza Brodzińskiego ogół zaczął odczuwać wartość utworów Kochanowskiego i o jego stanowisku w literaturze urabiać sobie właściwe pojęcie. Pierwszy autor Wiesława, choć jeszcze datę jego urodzenia za Starowolskim powtarzał, przykładając do utworów Czarnolaskiego wieszcza miarę nowoczesnéj estetyki, ukazał na zawarte w nich, niestarzejące się nigdy piękności, bo oparte na prostocie, naturalności i formie iście klasycznéj; pierwszy dopatrzył w nim, nie tylko uczuć swojskich, rodzinnych ale i ogólnych słowiańskiego ducha właściwości, mających źródło w uczuciach rzewnych, łagodnych, w zamiłowaniu sielskiego życia, w przysłowiowéj gościnności i innych cnotach domowych. Cechy te, uważał tak ściśle z charakterem narodowym związane, iż nawet najgorręcéj pragnął na zawsze poezyą polską uwięzić w sferze sielskiéj, domowéj. Przestąpienia tych granic poczytywał za wybujałości młodzieńczéj egzaltacyi, za skażenie narodowego charakteru, za żądzę wreszcie orygi-

nalności, lub nieudolne naśladownictwo Byrona, którego jednak geniusz umiał należycie oceniać. To też Jan Kochanowski najwięcéj do jego usposobienia przypadał i ze wszystkich narodowych poetów najzupełniéj zadawalał jego estetyczne uczucia. Czy to pisze rozprawę: *O klassyczności i Romantyczności*, czy z katedry uniwersyteckiéj wykłada *Historyą Literatury polskiéj*, czy wreszcie rozbiéra istotę *Satyry i Elegii*, zawsze powraca do niego i w jego dziełach każe szukać wzorów stosowności, miary, artystycznego rozmysłu, ducha rodzinnéj poezyi, słowem uważa je za punkt wyjścia, od którego każdy poeta powinien rozpoczynać swą drogę i, z uwzględnieniem czasu do którego należy, postępować nią w kierunku przez Kochanowskiego wytkniętym.

Przez pisma też krytyczne, przez wykłady uniwersyteckie, przez swego wreszcie Wiesława, Brodziński zdołał o tyle w ogół słuchaczów i czytelników przelać uwielbienia dla jego utworów, że gdy romantyzm niejednokrotnie z przekąsem wyrażał się o przedstawicielach poezyi Stanisławowskiego okresu, Kochanowski przeciwnie budził w nim najżywsze uwielbienie i miał to uznanie, jakie mu się, jako ojcu poezyi polskiéj, należy. Pod wpływem wreszcie Brodzińskiego Klementyna Hoffmanowa obrała życie domowe poety za przedmiot do powszechnie znanéj powieści; od jego także czasów studya nad pismami Jana stają się coraz częstsze i coraz głębiéj wnikają w istotę jego utworów. To też może żaden z naszych poetów, tak dawniejszych, jak nowszych nie doczekał się równie wielostronnego ocenienia, jak tłómacz pieśni Dawida. Każdy z zajmujących się kreśleniem dziejów Literatury polskiéj, poczynając od Michała Wiszniewskiego aż do chwili obecnéj, składał mu w hołdzie należyte uznanie. Wyjątek w tym jednozgodnym chórze stanowi A. W. Maciejowski, który zapatrując się na Kochanowskiego raczéj ze stanowiska historyka, niż estetyka, odmówił mu niemal prawa do tytułu narodowego poety, przyznając nad nim wyższość Klonowiczowi, który według niego w swych utworach daleko więcéj przedstawia swojskich pierwiastków.

Wszakże wiadomo, że samo ryczałtowe uwielbianie lub deprecyonowanie zasług jakiegokolwiek pisarza, bez głębszych i wszechstronniejszych studyów nad jego życiem i krytycznego rozbioru jego utworów, nie wystarcza w literaturze.

W tym przeto celu zaczęto podejmować oddzielne prace i nad Kochanowskim, które, odnosząc się, bądź do estetycznéj oceny jego utworów, bądź do licznych wydań dzieł jego oraz szczegółów życia, w dalszych nad nim badaniach zawsze uwzględnione być winny. Do takich należą: artykuł, odnoszący się do jego życia i utwo-

rów, umieszczony w *Nowych Studyach Literackich* J. I. Kraszewskiego (Warszawa 1843 r.); *Wiadomość o Życiu i Pismach J. Kochanowskiego* przez J. Przyborowskiego,—Treny J. Kochanowskiego p. Faleńskiego, oraz rozbiór krytyczny pieśni: *O Sobótce* prof. Rymarkiewicza zamieszczony w Ateneum z r. 1877. Obok tych prac, nie można przemilczeć ustępu zawartego w III tomie *Listów z Krakowa* Józefa Kremera, w którym pisarz ten znaczenie J. Kochanowskiego w literaturze polskiéj ze stanowiska fantazyi powszechno-dziejowéj ocenił.

Z powyższych studyów, *Wiadomość o Życiu i Pismach J. Kochanowskiego* do najznakomitszych należy. Równie gruntownéj, bo na wielostronnych źródłach opartéj i z całą naukową ścisłością nakreślonéj monografii, po rok 1857 nie mieliśmy o Kochanowskim. Stanowi też ona epokę w badaniach nad tym pisarzem. Przyborowski pominął stronę estetyczną utworów Kochanowskiego; ale widząc brak krytyki w pracach swych poprzedników, powtarzające się a mylne, gdyż bez sprawdzenia, na wiarę innych przytaczane fakta; zamierzył na nowo rozpocząć badania nad Kochanowskim, najprzód krytycznie rozbierając drukowane o nim prace, a następnie udając się do źródeł archiwalnych i samych dzie' poety, których treść, jako najściśléj związana z jego życiem i życiem narodu, jedynie dawała możność wyjaśnienia dotychczasowych wątpliwości i fałszów. Praca też prof. Przyborowskiego nie tylko przed dwudziestoma laty, lecz i dziś, gdy nowo wykryte źródła nie jedno z jego twierdzeń okazały wątpliwém, co do metody nie straciła nic na swéj naukowéj wartości i pozostanie na długo wzorem krytycznego obrabiania przedmiotu, źródłem bibliograficznych wiadomości dla wszystkich, chcących nad dziełami Kochanowskiego pracować oraz przewodnikiem w badaniach nad właściwościami jego języka.

Stosunkowo daleko mniéj zajmowano się łacińskiemi jego utworami. Gdy polskie wychodziły w coraz nowych edycyach, lubo nie zawsze starannością odpowiadających wysokiemu znaczeniu, jakie Kochanowski zajmuje w literaturze, utwory łacińskie, zatrzymawszy się w swych wydaniach na roku 1612, mogą się uważać za bibliograficzne rzadkości. W nowszych czasach, po mało znanym Zubowskim znowu pierwszy Kazimierz Brodziński zwrócił uwagę na łacińskie utwory Kochanowskiego i w r. 1829 przysłużył się literaturze przekładem znacznéj części elegij i niektórych epigrammatów.

Po nim Ludwik Kondratowicz w przekładach swych Łacińsko-Polskich poetów, brakujące elegie w tłómaczeniu Brodzińskiego ogółowi przyswoił. Od tego czasu było znowu głucho o utworach łacińskich Kochanowskiego. Dopiéro w roku bieżącym ogłoszone w języku niemieckim studyum o łacińskich poezyach Jana, choć

pośrednio przypomniały naszéj społeczności obowiązki względem jednego z najznakomitszych mężów, jakim się ma prawo pochlubić a który, mimo to, nie doczekał się w polskim języku takiéj oceny swych łacińskich utworów, na jaką się zdobył p. Loewenfeld, w szczerém uznaniu jego wysokiego talentu.

Z przedmowy dowiadujemy się, iż autor, idąc za natchnieniem Roepella, który zbadanie dziejów Słowian za najważniejsze zadanie dla obecnéj umiejętności uważa; przedsięwziął swą pracę w celu zaznajomienia Niemców z głównym przedstawicielem poezyi polskiéj XVI stulecia.

Wszakże to szczere uwielbienie dla Jana Kochanowskiego, w pisarzu po niemiecku i dla Niemców piszącym byłoby dla nas, przy obecnéj dążności literatury niemieckiéj, pewnego rodzaju anachronizmem, gdyby nie okoliczność, która nam rozwiązuje tę napozór dziwną zagadkę. Autor swą pracę poświęcił Dr. Wł. Nehringowi w dowód wdzięczności, jako swemu profesorowi.

Wiemy zatém z jakiego źródła wzięło początek to zamiłowanie rzeczy polskich i ta gorąca miłość do poety, któremu tak wszechstronne studya poświęca. Pracą tą p. Loewenfeld nie tyle może niemcom, ile się polskiéj literaturze, choć pośrednio przysłużył. Po studyach bowiem J. Przyborowskiego nad Kochanowskim ma prawo zająć pierwsze miejsce pod względem naukowéj wartości.

Studyum p. Loewenfelda składa się z pięciu części:

1) z przedmowy, 2) z wstępu, 3) z życiorysu, 4) z rozbioru łacińskich utworów poety i nakoniec po 5) z dodatków.

W przedmowie (V—VIII) autor robi i słuszny zarzut umiejętności niemieckiéj, że nieraz zajmując się najmniéj znaczącemi i od Europy oddalonemi ludami, zapoznaje wielki szczep słowiański, jego dzieje, literaturę, podczas gdy jego duchowa, zwłaszcza w nowszych czasach działalność daje mu najzupełniejsze prawo do powszechnéj uwagi. Przyznawszy wreszcie Polsce w XVI stuleciu przodownictwo wśród Słowian; wykazawszy, jak świetne w obec Europy pod względem umysłowym zajmowała stanowisko, mianowicie, że gdy uczeni zachodu pisali same komentarze na klasycznych autorów, ona w ich duchu i języku tworzyła: tém więcéj podnosi zasługę J. Kochanowskiego, że gdy inni poeci polscy wyłącznie po łacinie piszący, sięgali po wieńce kapitolińskie; on, mogąc się dobić podobnéj sławy, wolał pozostać narodowym pisarzem.

Daléj we wstępie (1—6) skreśla krótką charakterystykę złotego wieku, mówi o zasługach Zygmunta Augusta ze względu na podniesienie ojczystego języka, o wpływie nań reformacyi, wreszcie

określa stanowisko J. Kochanowskiego odnośnie do klasycznych rzymskich pisarzy, protestując energicznie przeciw nieuzasadnionym zarzutom, jakoby miał być tylko ich naśladowcą, pozbawionym wszelkiéj oryginalności i nakoniec przechodzi do źródeł, skąd czerpał wiadomości o życiu poety i wartość ich pokrótce ocenia. Sam wreszcie życiorys, (7—72) wiele dla nas interesu przedstawia, zarówno ze względu na fakta zupełnie nowe, które się autorowi wykryć udało, i które prostują wiele szczegółów, odnoszących się do życia poety; jak równie ze względu na różne hypotezy, które autor wysnuwa z tych faktów, usiłując przez nie nie jednę z wątpliwości wyjaśnić. Skorzystawszy téż ze wszystkich znanych dotąd źródeł i prac nad życiem i działalnością Kochanowskiego podjętych; szukając zresztą, za przykładem prof. Przyborowskiego, w samych utworach poety wskazówek, wyjaśniających rozliczne jego stosunki; nagromadził w swéj pracy tyle materyału, że z niego możemy sobie odtworzyć cały ciąg życia Czarnolaskiego wieszcza, w rysach daleko pewniejszych i wyrazistszych, niźliśmy je dotąd w jego biografiach spotykać przywykli. Pomijając znane skąd inąd szczegóły powiémy tylko, iż najważniejszym faktem, jaki się udało wykryć p. Loewenfeldowi jest ten, że Kochanowski uczęszczał na Akademią Krakowską. Dotąd bowiem, dla braku pozytywnych dowodów zupełnie o tém powątpiewano. Przypuszczano tylko, że w szkołach krajowych, co najwyżéj odebrał początkowe wykształcenie. Hoffmanowa wskazywała Policznę, prof. Przyborowski—zbyt odległy od Sycyny—Krasnystaw, wreszcie ks. Gacki—najbliższą miejsca urodzenia poety szkołę Sieciechowskich Benedyktynów. Jakkolwiek co do miejsca, gdzie odbiérał początkowe wychowanie dotąd nic stanowczego orzec nie można; dzięki wszakże poszukiwaniom p. Loewenfelda stało się pewném, iż w r. 1544, jako 14 letni młodzieniec zapisał się w poczet studentów akademii: w albumie bowiem akademickim, przechowaném w Bibliotece Jagielońskiéj, na str. 202 znajduje się zapiska: „*In Rectoratu secundo Johannis a Piotrków Commutatione aestivali. A. D. 1544, Johannes Kochanowski Petri de Syczynow Dives Cracovien 3 gr.*“ (domyśla się wpisowego zapłacił). To jest fakt, nie ulegający żadnemu zaprzeczeniu. Ale p. Loewenfeld, wydobywszy go na jaw, wyprowadza z niego dalsze hypotezy, mianowicie, że Kochanowski pozostawał na Akademii aż do r. 1549 i że ją opuścił w skutek znanego zaburzenia studentów, którzy wystąpiwszy ze skargą do króla Zygmunta Augusta o zabicie kilku żaków ze szkoły przy kościele WW. Świętych, przez sługi ks. Czarnkowskiego i nie mogąc według swéj myśli sprawiedliwości otrzymać, opuścili szkoły, bursy, kolegia co do jednego i albo popowracali do domów, albo też udali

się do Niemiec, gdzie do luterańskich akademij uczęszczać zaczęli. Otóż to przypuszczenie żadną miarą uzasadnić się nie da. Najprzód dowieśćby należało, że Kochanowski na fakultecie filozoficznym istotnie do roku 1549 przebywał. Sam wreszcie autor przypuszcza, iż śmierć ojca poety, przypadająca na r. 1547, na długi czas jego studya przerwała. Skądże więc dowód wypływa, że do nich w dalszym ciągu powrócił? Jeżeliby zresztą Kochanowski do r. 1549 na akademii zostawał, to ślady jego matrykulacyi musiałyby się znajdować w albumie akademickiém, nie tylko za jedno letnie półrocze 1544, *(Commutatione aestivali)*, ale z całego pobytu. Przypuśćmy jednak, że wszelkie piśmienne ślady, stwierdzające dalsze jego studya zaginęły; zawsze na słabéj podstawie opiéra się drugie znowu pana Loewenfelda przypuszczenie, iż od r. 1549—1551, Kochanowski przebywał w Niemczech, na jednym z uniwersytetów luterskich. Autor powołuje się co do tego na świadectwo Orzechowskiego i Bielskiego. Tymczasem ten ostatni w kronice swéj nic stanowczego nie orzeka. Powiada tylko: iż studenci „precz z Krakowa wszyscy, co do jednego wyszli, szkoły, kościoły, bursy, kolegja opuściwszy: *a po tym się do domów swych wróciwszy* do szkół luterskich się *wiele* ich obróciło“ (str. 590. Wyd. z r. 1597). A zatém nie wszyscy. Jeżeli więc, jak świadczy dokument wzięty z ks. Gackiego, Kochanowski w roku 1551 pozostawał w kraju; to nawet gdyby w chwili owego zajścia z studentami obecny był w Krakowie mógł jeszcze należéć do liczby tych, którzy po opuszczeniu akademii domu zostali. Że Niemcy zwiedzał, wiadomo: najprzód z ks. IV. pieśni XXVI (Wyd. Mostowskiego), a powtóre z rozprawy: *O pijaństwie*, które ganiąc powiada: „Ale mi podobno rzeczesz u Włochóweś tego nawykł: prawda, że nie u Niemców: bo takież ożralcy, jako i my“ (T. 11. str. 392. Wyd. Most.). Ale by się o tém przekonać, nie potrzebował koniecznie ani w Wittemberdze ani w Lipsku na uniwersytet uczęszczać. Tak więc na poparcie swéj hypotezy p. Loewenfeld nie ma stanowczo przekonywającego dowodu. Nie przeczymy, że tak być mogło, ale czy było w istocie? Trudno odpowiedzieć stanowczo. Pozostaje więc pewném, że od r. 1552 przebywa na akademii Padewskiéj, gdzie korzysta z wykładów Robertella i Manuciusa, i wchodzi w ścisłe związki przyjaźni z ziomkami, którzy współcześnie z nim odbywają swe studya. Do nich bezzaprzeczenia należą: Stanisław Fogelweder, Andrzéj Patrycy Nidecki i Jan Januszowski. Pan Loewenfeld, wbrew twierdzeniu pr. Przyborowskiego, idąc za Starowolskim, jeszcze Jana Zamojskiego i Łukasza Górnickiego do nich zalicza. Tymczasem pobyt w Padwie tych dwóch mężów, jednocześnie z Kochanowskim, żadną miarą uzasadnić się nie da. I tak co do pobytu za

granicą J. Zamojskiego ważne dane znajdujemy w pracy prof. Pawła Popiela p. t. *Jan Zamojski w Padwie i Wenecyi* (Kraków 1876), zostające w zupełnéj z powyższém twierdzeniem sprzeczności. Podług niéj jest faktem niezaprzeczonym „iż w r. 1562 Zamojski był w Padwie obecny; miał bowiem mowę na pogrzebie profesora Falopiusza, zmarłego w d. 14 Października t. r.; zatém w czasie, gdy J. Kochanowski już od lat pięciu w kraju przebywał. Ponieważ Zamojski urodził się w r. 1541; w chwili przeto rozpoczynania studyów przez Kochanowskiego na akademii Padewskiéj, miał dopiéro lat jedynaście. W tym wieku, a nawet o parę lat późniéj, nie mógł być w Padwie, skoro przed swym wyjazdem z kraju znajdował się na posiedzeniu sandomierskich ziemian, na którém czytano piérwszą pieśń polską, napisaną przez Kochanowskiego w Paryżu. Wiadomo zresztą, że przed przybyciem do Padwy, kształcił się wprzódy w Strasburgu pod kierunkiem Strumijusa, następnie w Paryżu pod przewodnictwem Turneba i Lambina, co mu cztery lata zajęło. Przypuściwszy tedy z prof. Popielem, że ze stolicy Francyi przybył do Padwy w r. 1560; to na wyjazd jego z kraju tym sposobem przypadnie rok 1556, to jest czas, w którym przypuszczalnie, jak twierdzi prof. Przyborowski, mógł się spotkać z Kochanowskim w Paryżu, ale nigdy na akademii Padewskiéj. Jeszcze więcéj nieprawdopodobném jest przypuszczenie autora co do Łukasza Górnickiego, jakoby ten miał się zetknąć w Padwie z Kochanowskim, sprawując obowiązki mentora przy jedném z paniąt ówczesnych, gdyż na to, żeby się bawił ochmistrzostwem nie tylko nie mamy żadnego dowodu, ale owszem, idąc w ślad za jego *dziejami w koronie*, możemy wykazać, że w latach, o które nam idzie, całkiem innemi zajęty był sprawami. Jakoż w czasie, gdy Kochanowski za granicą przebywał, Górnicki był już dworzaninem krakowskich biskupów. Nie wiemy, kiedy się dostał na dwór Samuela Maciejowskiego, to pewna, że musiało to nastąpić po roku 1545, w którym ten z płockiego przeszedł na krakowskie biskupstwo. Po jego śmierci w r. 1550 znajdujemy Górnickiego na dworze bis. Zebrzydowskiego. W r. 1551 przysłuchuje się sprawie, agitowanéj na sądzie tegoż biskupa przeciw Krupce Przecławskiemu, obwinionemu o sprzyjanie herezyi. (Dzie. w k. str. 32. Wyd. Tur.). W r. 1552 jest obecnym na sejmie Piotrkowskim; po jego zaś ukończeniu zapewne jako dworzanin Zebrzydowskiego, znajduje się w orszaku króla jadącego do Gdańska, jak to widać z jego wyrażenia się „*wyjechaliśmy w miasto in Junio*“ (str. 36), i daléj towarzyszy mu przez Królewiec na Litwę, gdzie aż do następnego roku zostaje. W r. 1553 około Wielkiejnocy wyjeżdża do Wiednia z Podkanclerzym Przerębskim, wysłanym w poselstwie do Fer-

dynanda cesarza z prośbą o rękę Elżbiety, ks. mantuańskiéj. Tu jest obecny na wszystkich posłuchaniach i spisuje ze Stanisławem Kunickim warunki, mającego się zawrzeć małżeństwa. Że zaś z Wiednia nie mógł do Włoch wyjechać, pokazuje się stąd, że go wkrótce po odbytém poselstwie, a przed weselem królewskiém, Przerębski znowu wysyła z Krakowa na Szląsk, by się przekonał, kto towarzyszy Elżbiecie, arcyksiąże Ferdynand, czy Maksymilian król czeski (str. 46). Są to właśnie lata pobytu Kochanowskiego w Padwie. Podobnie moglibyśmy wykazać wszystkie zajęcia Górnickiego i przez lata następne. Rok tylko 1554 zbywa w swych dziejach ogólnikowo, a przynajmniéj nie zdradza, by w wypadkach osobisty udział przyjmował. Mógł przeto w tym roku Padwę nawiedzić. Ale jeżeli pod rokiem 1548 wspomina o swéj podróży z ks. Padniewskim na Węgry, a pod rokiem 1559, już jako pełniący obowiązki dworzanina królewskiego, o dwukrotnéj do Włoch, z polecenia Zygmunta wycieczce, zapewne w celu rewindykacyi sum po zmarłéj królowéj Bonie, bo dla czegóżby nie miał wzmiankować o podróży w r. 1554, gdyby ją rzeczywiście był odbył. Tak więc zgodzić się wypadnie, że jeżeli spotkanie Kochanowskiego z młodym J. Zamojskim, na krótką chwilę mogło nastąpić w Paryżu, to nigdy to do Górnickiego nie może się w Padwie stosować. Zresztą autor mylnie podaje datę jego urodzenia na rok 1520. Już bowiem w r. 1848 w tomie 1. *Pamiętnika Naukowego*, owa data przez ks. Smoleńskiego sprostowaną została. Jeżeli bowiem według istniejącego wówczas w Tykocinie nagrobka umarł w r. 1603, dnia 22 Lipca, mając lat 76, to data jego urodzenia musi na rok 1527 przypadać. Że zaś, jak sam w dziejach podaje w r. 1538 wysłany został na naukę do Krakowa, a na nich mógł około pięciu lat przepędzić, to na czas jego pobytu we Włoszech przypada rok 1543 i 1544; po których upływie, za powrotem do kraju mógł się dostać na dwór Maciejowskiego, ale to właśnie są lata, w ciągu których Kochanowski jeszcze w kraju zostawał.

Jak długo Kochanowski w Padwie przebywał, na to nie posiadamy odpowiednich danych i p. Loewenfeld nie sili się rozstrzygnąć téj kwestyi. Przyjmuje téż rok 1557, jako datę ostateczną jego pobytu w Paryżu. Czas tu spędzony uważa za chwilę stanowczego przełomu w poetyckiéj twórczości Jana, który pieśnią *O dobrodziejstwach Boga* wstępuje na drogę czysto-polskiéj poezyi. Przełom ten jednak niesłusznie z taką stanowczością przypisuje wpływowi Rousarda. O ile wiemy, piérwszy Krasicki w dziele swém *O Rymotwórstwie i Rymotwórcach*, zwrócił uwagę na jego stosunek do przewódcy *Plejady*. Wiadomość jednak o tém zaczerpnął z po-

czyi łacińskich Jana, mianowicie z elegii 8, księgi III, u której Kochanowski mówi:

Rousardum vidi...

Nic też nadto więcéj nie przytacza o nim Krasicki. Również Brodziński w swym kursie literatury nic nie nadmienia o owym rzekomym wpływie. Dopiéro od czasów M. Wiszniewskiego wpływ ten zaczyna nabiérać coraz większego znaczenia. Niektórzy z późniejszych historyków literatury nie ograniczają się już na poznaniu i wpływie Rousarda, ale mówią o bliższych nawet między nim, a Janem stosunkach—bo o serdecznéj przyjaźni. Sądzimy téż, iż z tą kwestyą raz nazawsze należałoby się załatwić. Przypuśćmy, że Kochanowski widział i podziwiał Rousarda, że jako młody, pełen nauki i poetyckich zdolności cudzoziemiec był mu przedstawiony osobiście; to czyż stąd zaraz wynika, że musiał jego wpływowi ulegać? Że uwielbienie, jakie współcześni okazywali Rousardowi, nie wyłączając takich mężów, jak Muret, Turneb i Scaliger; że wreszcie cały blask jego sławy i względy dworu, mogły na młodzieńczą wyobraźnię Kochanowskiego oddziałać i obudzić w nim nawet pragnienie zdobycia sobie podobnéj chwały w ojczyznie; to uważamy za bardzo naturalne i właściwe; ale obok tego sądzimy, iż na zmianę kierunku jego twórczości, daleko więcéj innych, razem wziętych i ogólniejszego znaczenia przyczyn wpływało. Najprzód we Włoszech pod tchnieniem renesansu rozwinęła się już bogata narodowa literatura. W czasie swego pobytu w Padwie mógł się był Kochanowski przekonać, że Sława Dantego, Petrarki, Boccaccia, Aryosta, Machiavela nic na tém nie ucierpiała, choć owi mężowie dzieła swe w ojczystym pisali języku. Za Alpami znowu, gdziekolwiek religijna reforma swoim wpływem dosięgła, wszędzie używała krajowego języka do przekładu Pisma S. i służby bożéj—wszędzie wpływała na jego udoskonalenie. Była więc powszechna dążność do jego uprawy i podniesienia go na stanowisko książkowego języka. Nadto—trudno przypuścić, by Kochanowski wyjeżdżając z kraju nie wiedział nic o działalności Marcina Bielskiego, który już w r. 1545 wydał: *Żywoty Filozofów*, a w r. 1550 *Kronikę Świata*, ani o *Żywocie Józefa* Mikołaja Reja ogłoszonym w r. 1545, oraz o Zasłudze Jana Seklucyana w przełożeniu Pisma S. (1551—1552). Prace te mogły go już wtedy przekonać o możliwości użycia narodowego języka w poezyi. Jeżeli jednak koniecznie idzie o wpływ literatury francuskiéj na kierunek naszego poety, to wpływu tego raczéj w teoryi Du Bellay'a, niż w utworach Rousarda szukać należy. Du Bellay, przewódca tak zwanéj *Brygady* poetów, która się następnie miała zamienić w głośną plejadę i która zaciętą walkę wypowiedziała całéj szkole Marota, nakreślił

progammat, według którego miała się rozwijać przyszła poezya francuska (*L'illustration de la langue francoyse*). Polegał on na zupełném zerwaniu z dotychczasowym jéj kierunkiem, z tém wszystkiem, co ją poprzedziło, co było czysto francuskiém, a zwróceniu się do klasycyzmu, do źródeł greckich i łacińskich. Z nich miano jedynie czerpać natchnienie. „*Ly donques et rely premierment, ô poete futur*! powiada w zapale Du Bellay—*feuillette de main nocturne et journelle les exemplaires grecs et latin.*“ Podobny wszakże programat mógł doprowadzić albo do bezdusznego naśladownictwa wzorów za doskonałe uznanych, albo też do artystycznego odtworzenia, w nowożytnéj formie zapożyczonéj z nich treści i zastosowania jéj do ducha i potrzeb narodu. Że Rousard nie należał do tego drugiego rodzaju poetów, że całą literaturę starożytną uważał raczéj za łup, którym bezkarnie można było swą literaturę ozdabiać, zamiast ją przyswojeniem złożonéj w niéj treści wzbogacić (1); to rzeczą jest znaną, już od czasów Boileau w literaturze francuskiéj. Gdyby też tak przeważny wpływ miał wywrzeć na Kochanowskiego, to ślady tego musiałyby się odbić przynajmniéj na początkowych jego utworach. Tymczasem pierwsza pieśń Jana ułożona w Paryżu, jak się różni duchem od wszystkich utworów przewódcy swéj plejady. Gdy ten *pindaryzuje* (2), i tworzy Francyadę, biorąc do niéj przedmiot najmniéj znany narodowi, dla tego tylko, że go mógł najniezręczniéj związać z wojną trojańską: Kochanowski wyśpiéwał natchnioną pieśń *O Dobrodziejstwach Boga*, któréj nastrój zapowiada już przyszłego tłómacza hymnów Dawida, a piérwszym polskim utworem, jaki za powrotem do kraju ogłosił drukiem to *Satyr* i *Zgoda* (1563), których treść wyłącznie z rzeczy swojskich, bo spółczesnych, bieżących, w duchu czysto obywatelskim pojętych, zaczerpnął. Gdzież tu są ślady jakiegokolwiek wpływu Rousarda—tego Rousarda, który Horacyuszowskie: *Odi profanum vulgus*, posuwając do śmieszności, chlubił się z pychą pedanta, że mało przez kogo z Francuzów zrozumianym być może:

---

(1) Je pillai Theb et saccageai la Pouille
T'enrichissant (luth) de leur belle depouille.
Rousard. Ode XXII L. 1.

(2) Si, dès mon enfance
Le premier de France
J'ai *pindarisé*...
Rousard.

Les François qui mes vers liront
S'ils ne sont et Grecs et Romains,
Au lieu de ce livre ils n'auront
Qu'un pesant faix entre les mains.

To téż gdy Rousard zagmatwał język wprowadzeniem do niego z obcych języków nowo-potworzonych wyrazów, Kochanowski przeciwnie stworzył mowę jasną, przeniknioną duchem swojskości, malowniczą, szlachetną, pełną wzniosłéj prostoty, i która téż po dziś dzień nie przestała dla piszących być wzorem. Od Rousarda nie miał czego zapożyczać nasz poeta, a jeżeli jakim wpływom ulegał, to, jak powiedzieliśmy, daleko rozleglejszego znaczenia. Był to wpływ literatury włoskiéj widoczny zresztą w jego sonetach (*Do Franciszka, i do St. Wapowskiego*), w użyciu tercyny (*kiedyby kogo Bóg swojemi słowy*) oraz w wierszu do Petrarki (*Foricoenia*), daléj religijnéj reformy a w końcu dopiéro literatury francuskiéj i to za pośrednictwem Du Ballay'a którego programmat, jako współczesnego pisarza, zapewne był znany Kochanowskiemu, i który téż to, co w nim było żywotnego genialnie wykonał. Tak syntątyczny umysł tylko ogólnym wpływom ulega.

Po fakcie nie dającym się zaprzeczyć, iż Kochanowski uczęszczał na Akademią Krakowską, najważniejszém w pracy p. Loewenfelda jest zestawienie wielostronnych świadectw, na mocy których można oznaczyć czas pobytu poety na dworze królewskim i datę jego ożenienia z Anną Dorotą Podlodowską, co zupełnie zmienia dotychczasowe poglądy na ostatni dziesiątek lat jego życia i wszystkie domowe stosunki. Pr. Przyborowski w *Wiadomości o życiu i pismach J. Kochanowskiego*, opiérając się na liście jego do Fogelwedera pisanym i w skutek tego, podejrzewając świadectwo tych, którzy mniemali, że Kochanowski jeszcze za Batorego spełniał urząd sekretarski, wnosi, że już w roku 1567 zerwał z dworszczyzną i że Hannę w roku następnym poślubił. W każdym razie rok 1571, w którym ów list był pisany, uważa za datę nie ulegającą żadnéj wątpliwości, iż wtedy Kochanowski żył na wsi, przy boku ukochanéj żony i w otoczeniu, choćby bliższych przyjaciół. Pewność tego widzi w następującym zakończeniu listu: „*Tak my sami na wsi, kiedy już zasiejemy, komin wkoło obsiądziemy a lada co mówimy i piszemy*“ (1). Tymczasem p. Loe-

(1) W Gazecie Codziennéj, z roku, jeśli się nie mylimy 1855, gdyż tylko posiadamy jéj odcinek, list ten, przedrukowany z autografu, będącego własnością Władys. hr. Ostrowskiego z Kobylnik pod Szkalbmierzem, różni się w nieco zakończeniu od przytoczonego

wenfeld, zestawiając różne dane, dochodzi do przekonania, że świadectwo Starowolskiego, iż Kochanowski na stanowisku dworzanina królewskiego doczekał się jeszcze króla Stefana, nie ze wszystkiém zasługuje na odrzucenie. To jednak, że Myszkowski, którego osobistość głównie przywiązywała poetę do dworu, dopiéro w roku 1570 wjechał na biskupstwo płockie, i że zatém mógł do tegoż roku, a przynajmniéj do 1569 pozostawać przy dworze i tym sposobem i Jana powstrzymywać od stanowczego z nim zerwania; zdaje nam się być mniéj uzasadnionym dowodem, gdyż od r. 1567 powołany na koadiutora przez biskupa płockiego Noskowskiego, po złożeniu podkanclerskiéj w r. 1566 pieczęci, nie mógł się tak łatwo z miejsca swych nowych obowiązków oddalać. Koadiutor bowiem, czyli sufragan, jako pomocnik biskupa spełnia za niego, w razie podeszłego wieku, albo wszystkie czynności, albo téż niektóre z nich, w téj części dyecezyi, która jest więcéj odległą od stolicy biskupiéj. Zwykle téż miejsce pobytu sufragana jest przy kollegiacie i takiém miejscem w dyecezyi płockiéj był Pułtusk. Ten więc dowód p. Loewenfelda mniéj uzasadnionym nam się wydaje. Ale nie ulega najmniejszéj wątpliwości testament Andrzeja Nideckiego z roku 1572, w którym egzekutorami swéj woli naznacza czterech dworzan królewskich, do których i Jana Kochanowskiego zalicza. Owszem dokument ten stanowi niezbity dowód, że poeta, nawet po oddaleniu się Myszkowskiego zostawał na liście dworzan, a zatém w rok późniéj od daty listu do Fogelwedera, wysłanego z Czarnolasu. To przypuszczenie potwierdzają i same szczegóły w liście do Fogelwedera zawarte, a które wykazują zupełną jeszcze Kochanowskiego od króla zawisłość. Zapytanie: *Quid fit Mecenas*? zdawałoby się, iż się do Myszkowskiego stosuje. Ale zaraz następne słowa: „*Kiedym w liście znalazł: Król Jeg. m. już pozwolić raczył, ba! to już rękę, nie śmiech; nie będzie już mi ten mówił: radzę, rozmyśl się na to dobrze*“—najwidoczniéj wskazują, że przez owego mecenasa — może w ironiczném znaczeniu — rozumie samego króla; a owe: „rozmyśl się na to dobrze“— bodaj czy nie odnoszą się do starań poety o zupełne zwolnienie go z obowiązków sekretarza. W każdym razie, owa uprzednia obawa (*usque metu micuere sinus)* i późniejsza radość (*Tak żem przecie chwilę był raptus*), dowodzą, że w owym 1571 r. w ścisłym zostawał z dworem stosunku. Należałoby jeszcze usprawiedliwić lat cztery, to jest przeciąg czasu do

---

powyżéj. Zamiast bowiem: *a lada co mówimy i piszemy*, wydrukowano z niego: *a cudno, mówimy i piszemy*. Dodać winniśmy, iż list ów wydrukowano bez zachowania właściwéj mu pisowni. (P. A.)

roku 1576, ażeby wersya Starowolskiego o usilném naleganiu króla Stefana na poetę, by pozostał na jego dworze, okazała się prawdziwą, zwłaszcza, że pod tę porę był już Kochanowski żonatym. Jeżeli jednak za życia Zygmunta Augusta przebywał w Czarnymlesie, choć do jego dworzan należał (a że był, tego dowodzi testament Nideckiego z 1572 r.); to tém bardziéj przez ciąg bezkrólewia mógł wiejskich wczasów używać, chyba iżby należało przypuścić, że dworzanin królewski nie miał prawa w stan małżeński wstępować. Tę jednak wątpliwość usuwa sam Kochanowski, kreśląc nagrobek Mikołajowi Trzebuchowskiemu, dworzaninowi królewskiemu, zmarłemu w skutek zarazy, w czasie sejmu w Piotrkowie w roku 1563, w którym powiada:

Kości twe Trzebuchowski zamknęła w tym grobie
Żona, którąś zostawił w żałości po sobie.

Nie widzimy przeto za rzecz niewłaściwą przyjąć za prawdę, że Kochanowski, pomimo przeniesienia się do Czarnolasu i ożenienia mógł się znajdować na liście dworzan, aż po rok 1576 i że Batory usiłował zatrzymać go w tym charakterze przy sobie (in regia retinere cum precuperat), jako cenionego przez naród poetę.

Pozostaje teraz powiedzieć nam o dacie ożenienia się poety, różnéj od daty, jaką prof. Przyborowski przypuszczalnie na rok 1568 podaje. P. Loewenfeld opiéra się: 1. na słowach Starowolskiego: *nihilque cunctatus dimissis beneficiis ecclesiasticis uxorem ex nobili Podlodoviorum familia duxit*; 2. na dokumencie ogłoszonym przez ks. Gackiego, a okazującym, że Kochanowski w r. 1570 był proboszczem Zwoleńskim, 3. na mniéj podług nas uzasadnionym dowodzie, że w r. 1573 był Sieciechowskim Opatem, i po 4. nakoniec, na dokumencie wyjętym z akt kapituły poznańskiéj, w którym prof. Przyborowski odnalazł rok 1574, jako datę rezygnacyi Kochanowskiego z probostwa Poznańskiego, a których to beneficiów nie mógłby posiadać, gdyby wcześniéj wstąpił w związki małżeńskie; wnosi stanowczo i bardzo słusznie, iż za datę ożenienia Kochanowskiego zaledwie rok 1574 przyjąć należy. Tym sposobem domowe szczęście poety tylko do ostatnich dziesięciu lat życia ograniczyć wypadnie. Wobec tak jednak przedstawiającéj się historycznéj prawdy, w cóż się obrócą owe obrazy domowego szczęścia poety, otoczonego gronem dorosłych córek, z których jednę Hoffmanowa w swéj powieści „Jan Kochanowski w Czarnolesiu“ nawet z Podlodowskim zaręcza! A szkoda! gdyż powieść ta, po dziś dzień mająca w kole młodych czytelników szerokie wzięcie, przez długi czas jeszcze będzie się przyczyniać do szerzenia historycznego fałszu i bałamucić

umysły. Obecnie jednak tém zrozumialszą dla nas staje się jedna z pieśni poety, w któréj zwracając się do Myszkowskiego, już naówczas krakowskiego biskupa, mówi, że go z domu wyciągnął *od małych dzieci i od tęskliwéj żony*. Gdy bowiem Myszkowski objął biskupstwo w roku 1578 i zapewne zaraz po swém do stolicy przybyciu zaprosił Kochanowskiego w gościnę; nic zatém dziwnego, że wspomina o *małych dziatkach*, gdyż od chwili jego ożenienia się zaledwie lat cztery mogło upłynąć. Sprostowawszy powyższe dane, odnoszące się do życia poety, p. Loewenfeld, w dalszym ciągu swéj pracy, zajmuje się skreśleniem jego charakterystyki i swego zadania dokonywa w sposób wyczerpujący, wszechstronny. Przedewszystkiém przytacza liczne świadectwa téj głębokiéj czci i uwielbienia, jakie Kochanowskiemu za życia i po śmierci okazywali wszyscy bracia po piórze. Z poetów po łacinie piszących: Niegoszewski, jakiś Jakób Vitellius i Stanisław Stosław. Z piszących zaś po polsku Mikołaj Réj, Sebastyan Klonowicz (*Żale nagrobne)*, Kacper Miaskowski (*Lutnia Jana Kochanowskiego*) wreszcie z późniejszych Kochanowski. Nawet Bartosz Paprocki w swych: *Herbach Rycerstwa polskiego* poświęca jego chwale czterowiersz, twierdząc, iż gdyby bogowie mieli mówić po polsku, z pewnością poprzestaliby na mowie Kochanowskiego. Z tym jednozgodnym chórem pieśniarzy, łączą swe głosy współcześni mu historycy, jak Joachim Bielski, Łukasz Górnicki, Świętosław Orzelski i uznają za właściwe, wśród wypadków dziejowego znaczenia, zajmować się jego osobistością. Do całości skreślonego przez się obrazu, autor gromadzi wreszcie rozpierzchnione, pojedyncze rysy z własnych utworów poety i ich wewnętrzną wartością usprawiedliwia to słuszne dla niego uwielbienie współczesnych. Rozwinięcie w poecie głębokiego uczucia, jakie się w jego dziełach przebija, przypisuje wpływom macierzystym; jasny, pogodny, pełen spokoju pogląd na życie, wpływowi nieba włoskiego i Francyi, oraz przejęciu się duchem Horaciuszowskiéj poezyi. Jakkolwiek wszakże co do tego w zupełności się z autorem zgadzamy, to jednak uwzględniamy wpływ i greckich wzorów, a obok tego sądzimy, iż do osiągnięcia tego iście antycznego spokoju, jaki na nas wieje z jego utworów, w znacznéj części przyczyniło się i ówczesne położenie kraju. Zjawienie się Kochanowskiego, przypada właśnie w chwili gdy ogół ówczesnéj szlachty, po długiéj walce z królewską władzą zdobył dla siebie prawie wszystkie możliwe polityczne i religijne swobody. Jak człowiek zmierzając długo do upragnionego celu, nakoniec go osięgnie i wtedy, czując zupełną zgodność między własném uczuciem, a otaczającym go światem, całą pełnią szczęścia oddycha; tak téż i naród ówcześnie, zwłaszcza po dokonaniu unii w roku 1569

w obec poczucia własnéj siły na zewnątrz, spokoju, wzmagającego się dobrobytu wśród szlachty i płynącego ztąd zadowolenia, po raz pierwszy, a przynajmniéj na chwilę, doszedł do zupełnéj w swych uczuciach zgody i harmonii z rzeczywistością, która musiała się odbić i w usposobieniu i w utworach głównego jego przedstawiciela, za jakiego słusznie można Kochanowskiego uważać. To zadowolenie z życia odbija się téż w wielu jego utworach. Nie gardzi on biesiadą w dobraném gronie przyjaciół, ani ochoczym tańcem, pieśnią i towarzystwem niewieściém. Słusznie także autor podnosi jego pełne ludzkości usposobienie względem wiejskiego ludu i prawdziwie patryarchalny do niego stosunek, jaki przebija w znanéj pieśni: „*Pij ty włodarzu i mów coć się będzie zdało*,“ oraz w uroczéj *Sobótce*. Obok zaś téj umiejętności zniżania się do maluczkich duchem, zostaje w ścisłych stosunkach z możnymi świata tego: Ossolińskim, Firlejem, Mileckim: jest ich przyjacielem od serca, i nawet, odbierając od Myszkowskiego hojną ręką świadczone sobie dobrodziejstwa, umie zachować swą godność i *Muzą* odwdzięczając mu za nie, nie poniżyć się pochlebstwem. Mało sobie ceniąc bogactwa i dostojeństwa; uważając złotą mierność i poprzestawania na małem za istotny szczęścia warunek: widzi główny cel życia w pełnieniu cnoty i tę nad wszystkie skarby świata przekłada. Po niéj — *uczciwa sława* — najpierwsze miejsce zajmuje. W dalszym ciągu, dosyć zresztą znaczny ustęp autor poświęca sercowym stosunkom poety i nie dziw, gdyż miłość w życiu wieszczów zawsze ważną rolę odgrywa. Dwie głównie kobiéty wywarły wpływ na życie i pisma Kochanowskiego; jedna z nich znana jedynie pod nazwą Lidyi, zapisała się w sercu poety w epoce pierwszéj jego twórczości, mianowicie w Paryżu; druga, w łacińskich utworach opiewana pod nazwą Pasiphili, a w polskich pod imieniem Hanny jest późniejszą towarzyszką żywota i koroną głowy poety. Z utworów wszakże, jakie poświęcił tym dwóm kobiétom widać, że nie zawsze szczęśliwym był w miłości. Lidyja wznieciwszy namiętne w jego sercu uczucie, odpłaciła mu zdradą i tylko przyjaźń Ossolińskiego i Nideckiego, zdołała uleczyć zranioną tym sposobem duszę poety (El. 11. 6). Druga Podlodowska, głębokie, pełne czci przywiązanie, odpłacała mu się przez długi czas chłodem obojętności, nawet, gdy już z nim zaręczoną została: +.

> Na palcu masz dyament, w sercu twardy krzemień
> Pierścień mi, Hanno, dajesz: już i serce przemień!

W końcu jednak stałość, połączona z głęboką czcią dla wybranéj sercem Hanny, zwyciężyła jéj opór. Szlachetna pełna wyższych przymiotów niewiasta, oceniła nareszcie moralną wartość poe-

ty i za chwile zatrute mu przez siebie, za cichą, głęboką boleść, od któréj twarz jego bladła, odpłaciła mu późniéj wierną, pełną poświęcenia miłością małżonki i przez ostatni lat dziesiątek stała się dla niego najpiękniejszą życia ozdobą, wzorową matką dzieci, podporą domu, — słowem, ową *głowy koroną.* Hanna téż dopiéro właściwie uświęciła i ubłogosławiła jego żywot. Zmysłowy i swawolny w młodocianych, ezotycznych utworach; namiętny w elegjach do Lidyi— w pieśniach do Hanny-Pasiphili czuje całą godność ukochanéj przez się kobiéty, waży każde zwrócone do niéj słowo, jakby się lękał jakim śmiałym zwrotem dziewiczą jéj skromność obrazić *jej tylko jednéj chce się podobać*, i byle ją posiadał a już *wtedy nieba głową dosięgnie.* Rodzinne téż życie poety zażegnało wszystkie burze serca; w jego cieple słoneczném rozwinęły się najpiękniejsze kwiaty jego uczuć i myśli.

Określiwszy stosunek Kochanowskiego do żony; przedstawiwszy go jako ojca, bolesnie odczuwającego stratę dwóch córek: Urszulki i Hanny; maluje go nam jako nie mniéj przywiązanego i do reszty rodzeństwa, jak do siostry (*Dziewosłęb*) i do starszego brata Kacpra, któremu w mowie pogrzebowéj daje pełne czci i miłości świadectwo, jako temu, który całemu rodzeństwu umiał ojca i matkę zastąpić. Wreszcie jego stosunek do szwagra Podlodowskiego, którego stratę uczuł tak głęboko, że ją własném życiem opłacił, stawia wymowny dowód, jak seryo pojmował i obowiązki przyjaźni. Rozważając działalność Kochanowskiego, jako obywatela kraju, przedstawia nam go autor przyjmującego udział w wyprawie Zygmunta Augusta w r. 1568 przeciw W. K. Iwanowi Wasilewiczowi. Była to jedyna wyprawa wojenna, w jakiéj udział przyjmował i zapewne o niéj to wspominając, nazywa się w jednéj z swych pieśni *do miecza przypasanym rycerzem.* Jakoż słabe zdrowie, o czém sam nadmienia w pieśni XX ks. I. (wyd. Mostowskiego), a nie zamiłowanie spokoju i chęć poświęcenia się wyłącznie pracom poetyckim, jak to utrzymywali niektórzy biografowie, nie pozwalało mu podejmować trudów obozowych. To wyjaśnia także dla czego przyjął urząd *wojskiego.* Nie mogąc służyć wojskowo spłacał choć tym sposobem dług ziemianina-rycerza, iż czuwał nad mieniem i bezpieczeństwem rodzin tych obywateli, którzy wyruszyli na potrzebę wojenną.

Wyprawa ta z roku 1568, która natchnęła poecie pieśń, zaczynającą się od słów: *O piękna nocy nad zwyczaj tych czasów*, zostaje w pewnym związku ze stosunkiem poety do Zygmunta Augusta. Na stosunek ten p. Loewenfeld zapatruje się podobnie, jak prof. Przyborowski. Powiada, iż nigdzie nie widzi śladu żywszego uwielbienia poety dla ostatniego z Jagielonów, że z każdéj pieśni, w któréj do

niego przemawia wieje chłód, odbijający rażąco od pełnych uwielbienia pieśni dla Batorego. To prawda! Nawet jednym wierszem nie uczcił zgonu Augusta. A jednak zdaje nam się, że ów sąd o stosunku naszego poety do króla należałoby zmodyfikować pod pewnemi względami. Będzie to sprawiedliwiéj odnośnie do stron obu. My sądzimy, że w początkach Kochanowski przejęty był żywą czcią dla Zygmunta. Nie dopatrujemy też owego chłodu ani w łacińskiéj elegii, w któréj opiewa zwycięzki powrót króla z wyprawy Inflanckiéj, w r. 1557, podjętéj:

> Sparge, puer, violas et stactae profer odores
> Et remove limphas et mihi funde merum,—

ani téż w epigramacie, noszącym napis: In natalem Regium, ani wreszcie w pieśni, któréj początek przywiedliśmy powyżéj, a w któréj się o Zygmuncie wyraża:

> Pan świętobliwy, którego nie miała
> Polska w dobroci równia, jako wstała.

Nie! gdyż wyrazić się, że był najdobrotliwszym z królów, nie znaczy użyć pustego frazesu dla tego jedynie, że na pochwałę nie ma się nic innego powiedziéć. Dobroć, łagodność była jednym z rysów charakteru Zygmunta. Poeta więc był szczery i zgodny sam z sobą. Ta niechęć téż musiała się późniéj wyrodzić i to w skutek jakiegoś zajścia na dworze, które zapewne na zawsze tajemnicą dla nas zostanie, ale czego ślad dotykalny odnajdujemy w pieśni do Jana, t. j. do samego siebie, w któréj jest mowa o jakiejś zdradzie i o tém, że przy cnocie, służba mu się dobrze nie płaci. Widocznie jakaś intryga i wskutek niéj doznana niesprawiedliwość zraziła go do króla i obmierziła mu dwór, który potém pożegnał z taką goryczą.

W dalszym ciągu autor rozwija działalność Kochanowskiego, jako polityka i miłującego kraj patryotę. Jako politykowi wszakże odmawia praktycznego na sprawy państwa poglądu a twierdzenie to popiéra zarówno wystąpieniem poety na zjeździe Warszawskim w roku 1575, jak i osnową pieśni (X ks. 1), w któréj wybór króla radzi spuścić na Boga, zawiesić w polu na słupie koronę i oddać ją temu, kto w gonitwie pierwszy do niéj dobieży. Jako patryocie przyznaje wielką zasługę, że się nie dał olśnić, ani zewnętrzną potęgą narodu, ani dobrobytem szlacheckim i pokojem, jakiego kraj ówcześnie używał; ale że owszem uderzał śmiało na wszystko, co tylko w jego przeko-

naniu zasługiwało na naganę. Słuszną jednak uwagę robi autor, że wytykając zdrożności, równie jak w polityce, nie zawsze kierował się zdrowym na rzeczy poglądem. Tak np. jego satyr wyrzuca ziemianom, iż z rycerzy przedzierzgnęli się w kupców, a ratajów i zbroję na pługi przekuli—słowem potępia przemysł i handel. Należało wszakże dodać, że ów ciasny pogląd na stosunki ekonomiczne kraju, nietylko Kochanowskiemu był właściwy. Podzielali go z nim i inni pisarze, nie wyłączając nawet Klonowicza, który jako syn mieszczański, powinien był w sobie inne, co do ważności handlu przekonanie urobić. Ale ówcześni pisarze, co do téj kwestyi w błędném obracali się kole. Polska wydawała tylko płody surowe, które w małéj ilości zaledwie na codzienną przerabiano potrzebę. Resztę wywożono za granicę, zkąd w nowéj formie, a zatém w zdwojonéj cenie, powracały jako towar do kraju. Wzrastający zaś zbytek możnych, zamiłowanie w kosztownych szatach, pojazdach, zastawie stołowéj, w pałacowym przepychu, pochłaniało ogromne sumy, z tém większą dla ogółu szkodą, że te nie powracały do kraju. Gdańsk—jedyny port—stawał się prawdziwém *Chłańskiem*, jak dowcipnie powiada we Flisie Klonowicz, pożerającém szkuty zboża i całe folwarki. Gdy zatém przywóz nie odpowiadał wywozowi, nic zatém dziwnego, że Polska mimo pozornéj okazałości, ekonomicznie była zawsze ubogą, że skarb był pusty i nędza panująca na dole. Tego jednak nie umieli wytłómaczyć sobie ówcześni pisarze i wszystko złe dotykające ekonomicznie społeczeństwo, przypisywali handlowi.

Podobnemu złudzeniu uległ i Kochanowski.

Biorąc na uwagę ówczesny system obrony krajowéj, polegający głównie na gotowości wojennéj ziemian; poczytywał za zgubne w swoich następstwach, budzące się zamiłowanie domu, roli, a jeszcze więcéj poranie się kupiectwem lubo jedynie ograniczającém się do spławu zboża i drzewa. Obawiał się, by szlachta, odwyknąwszy od dawnego rycerskiego hartu, dzielności, nie stała się w obec sąsiadów bezsilną i wśród szerzącego się zbytku, do którego przedmiotów handel dostarczał, nie zgnuśniała do reszty. Podobne lekceważenie kupiectwa tém więcéj zadziwia w Kochanowskim, że za granicą mógł się był przekonać, do jakiego stopnia handel, na wielką skalę pojęty, staje się źródłem potęgi, jak ważnym jest cywilizacyjnym pierwiastkiem. Owa Wenecya, w któréj był świadkiem niedoszłéj do skutku, z przyczyny ulewnego deszczu uroczystości, na cześć S. Patrona (De Spectaculis D. Marci), i któréj dziewice za niebezpieczne dla siebie Nerejdy uważał (Epigrammata); była właśnie najwymowniejszym ważności handlu dowodem, a zarazem służyć mogła za przykład, że choć głównie przezeń wyrosła, przecież po-

dobnie, jak i inne kupieckie miasta włoskie dokonywała olbrzymich rzeczy na lądzie i na morzu pyszniła się swą księgą złotą i stroiła w arcydzieła architektury i malarstwa. Jéj rozległe dzierżawy, nagromadzone bogactwa i przepych, dotykalnie unaoczniały znaczenie wzgardzonego u nas kupiectwa. Ale innemi prądami płynęło w nas życie, inne były fizyczne ziemi własności. Kochanowski zresztą nie na bogactwie zasadzał państwową potęgę i szczęście osobiste człowieka. Prostota, męstwo, przestawanie na małém, to były przymioty, które rozwinięte w przeszłości, na zawsze chciał utrwalić w narodzie. Ożywiony téż duchem ziemianina-rycerza, w dorywczych zajęciach handlowych szlachty, widział przeniewierstwo tradycyi i własnéj swojéj istocie.

Po nim wstręt do żeglugi i morza jeszcze energiczniéj wypowiedział w swoim Flisie Klonowicz. Potępiony téż handel przez wpływowych, piérwszorzędnych pisarzy, zaczął budzić w stanach szlacheckich odrazę i zeszedł na kramarszczyznę w rękach Izraelskiéj ludności lub stał się źródłem zysków dla cudzoziemców, którzy, osiedleni po miastach, uważając Polskę za miejsce czasowego tylko pobytu, owocem swéj pracy wzbogacali jedynie własną ojczyznę.

Otóż sądzimy, iż w tak wyczerpującém studyum, jakie p. Loewenfeld napisał, należało wykazać genezę owych pojęć, które w następstwie przywiodły kraj do materyalnego i politycznego bankructwa.

Wykazawszy polityczne i społeczne stanowisko poety, autor bardzo rozległy ustęp w swéj pracy jego religijnym przekonaniom poświęca i na mocy zestawionych przez siebie *danych* orzeka, iż nie był prawowiernym katolikiem, że się stanowczo na stronę reformy przechylał.

Zdaje nam się wszakże, iż p. Loewenfeld nie dość uwzględnił ducha panującego w XVI stuleciu i że w swych wątpliwościach, co do prawowierności Kochanowskiego, przykładał raczéj miarę pojęć dzisiejszego klerykalizmu, z całą jego wyłącznością i drażliwością, na wszelkie zboczenia, choćby te odnosiły się do form czysto zewnętrznych. Podług nas, należy tu dwie rzeczy wyróżnić: epokę przed koncylijum Trydenckiem i czasy które po nim nastały. Do czasu, dopóki w Trydencie stanowczo nie rozstrzygnięto wszystkich kwestyj spornych i nie wyrzeczono: *anathema sit*, na każdego, ktoby je nie w duchu ustaw koncylium tłómaczył; dyskusya w rzeczach wiary była przedmiotem zajmującym wszystkie umysły tak, jak nas obecnie kwestye literackie, filozoficzne lub społeczne zajmują. Z reformą, tém więcéj owionęła umysły atmosfera duchowéj swobody,

iż na seryo mniemano, że kościół sprzeczne zapatrywania się na przedmioty wiary pogodzi i wymaganiom reformy, które w wielu razach uznawano za słuszne, zadość uczyni. Ku reformie też skłaniali się, nie tylko świeccy i niższych stopni duchowni ale nawet sami dostojnicy kościoła, jak Jan Drojowski, biskup Kujawski, oraz Jakób Uchański, naówczas biskup Chełmski, a póżniéj arcybiskup Gnieżnieński, gdyż wobec powszechnego fermentu umysłów nie umiano sobie na razie z wielu zarzutów, stawianych kościołowi przez nowatorów, zdać sprawy, ani też wyróżnić, co było nadużyciem lub pozostałością z czasów średniowiecznéj ciemnoty, co należało zostawić, a co można było, bez naruszenia istoty wiary, usunąć. Dodajmy i to, że dekreta soboru Trydenckiego nie odrazu w Polsce przyjęte zostały, że na sejmie w r. 1563 nie uznano ich za obowiązujące powszechnie, że nastąpiło to dopiéro w 1578, po synodzie odbytym w poprzednim roku w Piotrkowie. Nic przeto dziwnego, że i Kochanowski umysłem mógł ku reformie się skłaniać, widząc w niéj środek naprawy kościoła, a o konieczności czego przekonani byli sami duchowni. Żeby jednak ostateczne jéj wyniki miał przyjąć to na to się zgodzić żadną miarą nie można. Ów Epigrammat: *De spectaculis D. Marci*, mający stanowić dowód protestanckich przekonań poety, dowodzi, podług nas, tylko ducha i smaku panującego ówcześnie. Polemika owéj epoki, nie przebiérająca w wyrażeniach, napadająca na przeciwnika gwałtownie, gotowa użyć każdéj broni, poczynając od poważnych rozumowań według najściślejszych prawideł dyalektyki do najgrubszych obelg i wszelkiego rodzaju dowcipu, właściwego podjazdowéj szermierce; musiała oddziaływać na umysłowy nastrój całego społeczeństwa, i ośmielać do ośmieszania często takich przedmiotów, na których dziś, dla saméj przyzwoitości i poszanowania przekonań drugich, nikt nie ośmieliłby się zaostrzać swego dowcipu.

Ów epigrammat przeto uważamy raczéj za chwilowy wybryk poety niż za dowód jego religijnych przekonań. Wszak dziś każdego pisarza poczytanoby za niemoralnego w wysokim stopniu, gdyby napisał coś podobnego do wielu fraszek Kochanowskiego, jak np. *Na Matematyka*, *o Kaznodziei*, *O starym*, *Na miecznika* i t. p. Toż w podobnym duchu pisane utwory, muzę Węgierskiego na zawsze podały w ohydę, a przecież nikt Kochanowskiego nie pomówi o chęć szerzenia zepsucia. Tkwiło to w duchu czasu i nie gorszyło nikogo. Jeszcze mniéj uzasadniony dowód stanowi fraszka, nosząca tytuł: *Na Świętego Ojca*, a wymierzona do Aleksandra VI. Fakt bowiem, wzięty do niéj za przedmiot, był i jest powszechnie znanym. A czyż prawowierność katolicka na tém się ma zasadzać, by aż zamykać

oczy na występki, dla tego tylko, że je popełnia człowiek potrójną uwieńczony tiarą? Za prawdę! byłby to smutny przywiléj katolicyzmu. Zresztą powstawać na złe, którego dopuszcza się ktoś stojący u władzy, nie jest to jeszcze nie uznawać saméj władzy, ani też nie być dobrym synem kościoła. Wszak ten sam Kochanowski w *Satyrze* całkiem w duchu katolickim przemawia:

> Znaczniejsze przodków naszych i bardzo znaczniejsze
> Ubóstwo w Polsce, niż te bogactwa dzisiejsze.
> Kto dziś zamek założy? *kto klasztor zbuduje?*

Pisał to pomiędzy rokiem 1562—1563. Gdyby tak był przejęty zasadami reformy, lub sprzyjał jéj rzeczywiście; nie widziałby zasługi w budowaniu klasztorów, aniby pisał na *Heretyki*. Dość zresztą z uwagą przeczytać *Wróżki*, w których *plebana*, obrał za tłómacza swych myśli. Dyalog ten przeprowadzony w tonie bardzo poważnym, wyraża najzupełniéj katolickie przekonania, a choć należy do pośmiertnych utworów Kochanowskiego, w każdym razie popiéra nasze twierdzenie. Tę zaś okoliczność, że ani razu w swych utworach nie wspomniał imienia Chrystusa i Matki Boskiéj i na uczczenie Ich żadnéj pieśni nie stworzył, objaśnialibyśmy raczéj wpływem klasycyzmu, którego duchem był na wskroś przejęty, niżeli wpływem reformy, która bynajmniéj nie odmawiała, ani czci dla Maryi, jako Matki Bożéj ani téż bóstwa Chrystusowi. Nie przeczymy wreszcie, iż w czasach późniejszych prawowierność Kochanowskiego była podawaną w wątpliwość. Wiadomo bowiem, iż ze wstąpieniem na biskupstwo krakowskie Bernarda Maciejowskiego, w r. 1603 rozpoczęła się gwałtowna reakcya, za wpływem jezuitów podjęta, przeciw wszystkim pisarzom XVI stulecia, którzy tylko większą samodzielność myśli zdradzali. Zaczęto ryczałtowo tępić i zamieszczać na indeksie ich dzieła.

W tym religijnym ferworze zwrócono uwagę i na Kochanowskiego, którego Fraszki, niekiedy zbyt wolne i przeciw duchownym niejednokrotnie wymierzone, jak równie psalmy, nie zawsze z tekstem zgodne i przez protestantów po zborach śpiewane, drażniły ówczesną, zbyt skrupulatną cenzurę duchowną. Wszakże wszystko skończyło się na tém, że tylko jego *Carmen macaronicum* zamieszczono na Indeksie. Takie zaś głosy, jak Jana Borkowskiego z Borek, który twierdził, iż Fraszek Kochanowskiego „pod klątwą czytać się nie godzi" są tylko smutném świadectwem zaciekłości ówczesnéj i przeciw takim to głosom wystąpił Wespazyan Kochowski z ową *Apologiją za Janem Kochanowskim, którego niektórzy rozumieją być heretykiem*.

Właśnie ta okoliczność, że w jego obronie podniósł głos jeden z najreligijniejszych tamtoczesnych poetów, dowodzi iż nieprawowierności Kochanowskiego, pomimo fanatycznego usposobienia epoki, nie brano nigdy na seryo. Sądzimy nawet, iż Kochowski nie byłby się kompromitował swą Apologiją w obec władzy duchownéj, gdyby ta istotnie Kochanowskiego za heretyka uznała. Najsłabszym zaś dowodem, popiérającém mniemanie p. Loewenfelda co do protestanckiego usposobienia poety jest podług nas, świadectwo Węgierskiego (Regenvolscius'a). Węgierski żył i pisał w czasie prześladowania różnowierców. Dzieło jego, choć historyczne, nosi apologetyczny charakter.

Nic przeto dziwnego, że stając w obronie reformy, zasłania się powagą Kochanowskiego, jako męża mającego tak powszechne w narodzie uznanie. Prześladowani, uciśnieni, chwytają się nawet pozorów prawdy, przyjmują za nią często własne złudzenia. I tak być mogło z Węgierskim. Zaliczył Kochanowskiego do zwolenników reformy, gdyż w jego utworach znalazł kilka ustępów, które wraz z podniesionemi przeciw niemu oskarżeniami jezuitów uprawdopodobniały to przypuszczenie, ale nadto nic więcéj.

Załatwiwszy się z kwestyą religijnych przekonań poety, p. Loewenfeld określa jego naukowe stanowisko, podnosi jego głęboką znajomość literatur starożytnych i biegłość we władaniu nie tylko językiem Rzymian, w którym tworzył swoje poezye ale i w greckim, w którym na próbę epigramat do Stefana Batorego ułożył, wreszcie jego umiejętność w stosowaniu zasad filologii do udoskonalenia rodzinnéj mowy, którą w swych polskich utworach wyniósł na stanowisko klasycznego języka, oraz w pracy, nad ustaleniem ortografii, podjętéj. Obok tego przyznaje mu dokładną znajomość języka i literatury włoskiéj i francuskiéj, nie przesądzając wszakże stanowczo, czy mu był znany język niemiecki.

Zakończa wreszcie autor część pierwszą swéj pracy krótką oceną polskich utworów poety, wykazuje różnorodność kierunków jego twórczości i oznacza jego stanowisko w literaturze. Co do oceny, jest ona nader trafną, choć treściwą. Co do określenia stanowiska, w literaturze to powiedzielibyśmy, że mu zbywa nieco na dokładności i jasności. Kochanowski nie był oryginalnym poetą, w dzisiejszém tego słowa znaczeniu; Kochanowski zapożyczał często treści od greckich i łacińskich poetów, przyswajał sobie z nich całe niemal ustępy; cóż mu przeto tak niepożytą trwałość w literaturze polskiéj zapewnia?... Oto właśnie, że treść tę umiał, nietylko sobie przyswoić, ale i zastosować do pojęć i potrzeb współczesnych, a co najważniejsza, na czém właśnie polega jego mistrzostwo, że dla téj

treści umiał stworzyć formę narodową tak doskonałą, tak odpowiednio dostrojoną do niéj i w jednę z nią całość harmonijną zlaną, jak tego już nikt ze współczesnych mu dokonać nie umiał w poezyi, słowem, że był genialnym twórcą języka poetycznego, co właściwie jego oryginalność stanowi.

Tak uogólnione streszczenie tego, co autor wypowiedział, wpoglądach tu i owdzie rozrzuconych w swéj pracy; byłoby, jako ostateczny wynik jego studyj, nad polskiemi utworami Kochanowskiego, o wiele ułatwiło czytującemu dokładne urobienie sobie pojęcia o jego stanowisku i zasłudze.

Przystępujemy nakoniec do drugiéj części téj pracy, w któréj autor zajmuje się jego łacińskiemi utworami. Obrobienie jéj stanowi największą p. Loewenfelda zasługę. W niéj bowiem, jak sam powiada, odsłonił nam drugą stronę medalu, wskazał na drugi, mało ogółowi znany kierunek twórczości Kochanowskiego, bez czego nie podobna urobić sobie dokładnego pojęcia o sile i rozległości jego talentu.

Dopiéro bowiem jego łacińskie poezye: jak elegie, ody, epigramata, zestawione z polskiemi, dają nam syntetyczną całość, pokazują rzeczywiste oblicze poety. Bez poznania ich, nikt się pochlubić nie może dokładną znajomością największego z poetów XVI stulecia.

To zapomnienie łacińskich utworów Jana z Czarnegolasu, autor przypisuje głównie jezuitom, skazującym na zagładę wszystkie pojedyncze egzemplarze, jakie wpadły im w ręce, a których tylko mała liczba doszła do naszych czasów. Jest to poniekąd słuszne. Ale nam się zdaje, że należy tu szukać innéj jeszcze przyczyny, mianowicie w zaniedbaniu wśród społeczności polskiéj studyj klasycznych.

Przy powszechniejszéj znajomości łaciny, łatwo byłoby, choćby z unikatów (a tak przecież nie jest) tworzyć nowe wydania. Nie myślano o tém, bo nikt nie czuł potrzeby poznania łacińskiéj muzy Kochanowskiego, nie było żądań. Stosunkowo téż do polskich jego utworów, mało zajmowano się niemi krytycznie. Prócz wiadomości bibliograficznéj w Jocherze, i podanéj przez Przyborowskiego w *Wiad. o Życiu i Pism J. Koch.*, autor dwie tylko prace przytacza: Jędrzeja Hoffmana p. t. *Auswahl aus Joh. Kochanowski's lateinischen Gedichten*, drukowaną w programacie Gim. S. M. Magd. w Poznaniu, w r. 1841; oraz Marcellego Ulkowskiego, p. t. *De Johannis Cochanovii Elegiislatinis. Particula prior*, wydrukowaną w programacie gim. Szremskiego w r. 1863. Prace te wszakże, o ile się zdaje w bardzo szczupłych zawarte były granicach. Z tego téż względu, wy-

czerpujące przedmiot studyum p. Loewenfelda, choć pośrednio, za nader cenny dla naszéj literatury uważamy nabytek.

Przedewszystkiém, uzupełniając wiadomości bibliograficzne przez swych poprzedników podane, autor wylicza wszystkie, znane mu pierwotne wydania poezyj łacińskich Jana Kochanowskiego, odbite w oficynie Łazarza Andrysowica, oraz późniejsze ich przedruki wyszłe z oficyny Jędrzeja Piotrkowczyka. Do pierwszych należą: *Dryas Zamchana* (z r. 1578), *Orpheus Sarmaticus* (1578). *Aratus* (1579), *De expugnatione Polotei* (1580), *Lyricorum Libellus* (1580), *Epinicien* (1583), *Epithalamion* (1583), oraz *Elegiae* i *Foricoenia* (1584). Nadto przypadkowo wydrukowane w zbiorowém dzieł polskich wydaniu z r. 1585: *Dryas Zamchana*, *Pan Zamchanus*, *Orpheus Sarmaticus*. Do drugich zaś: *M. T. Ciceronis Aratus*, *Elegiarum Libri IIII. Ejusdem Foriwenia sive Epigrammatum Libellus*, oraz *Lyricorum Libellus*, wszystkie wydane w r. 1672. Następnie opisuje szczegółowo cechy każdego z tych wydań, przyznając, tak pod względem poprawności, jak i staranności odbicia pierwszeństwo Łazarzowym edycyom nad wydaniami Piotrowczyka i, porównywając oba, wykazuje zachodzące w tekście między niemi różnice. Spis, błędnie wydrukowanych, lub przeinaczonych wyrazów i wyrażeń, jakiemi się edycya z r. 1612 od Łazarzowych wyróżnia zajmuje dość znaczne miejsce, bo od 89—95 stronnicy. Przechodząc daléj od cech bibliograficznych zewnętrznych, do osnowy utworów, zajmuje się ich klasyfikacyą i, według zawartéj w nich treści, odnosi je do dwóch okresów działalności poety. Pierwszy, który autor nazywa *okresem utworów miłosnych*, obejmuje elegie i ody napisane za granicą, zatém przeciąg czasu od r. 1552—1557. Drugi zaś okres: *polsko-łacińskiéj narodowéj poezyi* ciągnie się od r. 1557—1584. Nadto okres pierwszy p. Loewenfeld dzieli jeszcze na dwa *podokresy*, mianowicie: *padewski*, w którym podług krytycznie rozebranéj treści, powstały elegie ks. I-éj: 2, 3, 8, 9, 11, 14; ks. II-a: 2, 3, 4 (8 i 9), 10; ks. III-éj: 6, a nadto z liryków: oda VII do Liceny i IX do Wenezy. Drugi *paryski*, w ciągu którego utworzone zostały elegije, ks. I-éj: 4, 6, 10 (do Lidyi), 12, 13; ks. II-éj: 1, 5, 6, 11; oraz ks. III-éj: 17.

Utwory pierwszego okresu, zwłaszcza miłosne, p. Loewenfeld stanowczo za naśladownicze uważa. Dopiéro w utworach okresu drugiego, występuje treść swojska, ożywiona duchem obywatelskim. Poeta za przedmiot do swych pieśni, bierze, po największéj części chwałę znakomitych, zasłużonych krajowi mężów, albo wypadki dziejowego znaczenia. Jakoż spotykamy się tu z całym szeregiem przodujących narodowi osobistości, z imionami dostojników kościoła, wodzów, uczonych. Zaraz w pierwszéj księdze elegią 5 poświę-

cił poeta uczczenia Jana Tarnowskiego; elegiją zaś 2-gą, księgi IV, jego zgon, nastąpiony w r. 1561 uświetnił. W tejże I księdze spotykamy się z imieniem Mikołaja Mieleckiego. W księdze II-éj ze zwycięskim Zygmuntem Augustem (7). Daléj w księdze III elegij, jaśnieją imiona: Filipa Padniewskiego (El. 5, r. 1560), Piotra Myszkowskiego (El. 2, 10, 13), Jana Tenczyńskiego (El. 4), Mikołaja Radziwiłła (El. 9), Pawła Ossolińskiego (El. (7), Stanisława Fogelwedera (El. 11), wreszcie w księdze IV. Firleja (El. 3).

Co do liryków, te, oprócz ody II „In deos falsos,“ któréj czasu powstania trudno oznaczyć; ody VII do Liceny i IX do Wenezy, utworzonych w ciągu pierwszego okresu w Padwie, zalicza wszystkie p. Loewenfeld do drugiego okresu, zatém epoki męskiéj dojrzałości poety.

Jakoż większa ich część natchniona została gorącém pragnieniem dobra powszechnego. I tak w odzie I zachęca poeta Henryka Walezyusza do spiesznego objęcia korony (1573), III odę napisał na Zjazd Stężycki (*In conventu Stesicensi*), na którym postanowiono obiór nowego króla po ucieczce z Polski Henryka. W odzie IV, zachęca obywateli do zgody (*Ad concordiam*). W VI, napisanéj na Zjazd Warszawski (*In Conventu Varsaviensi*) wyraża myśl, iż równie mu obojętny wybór cesarza, lub Batorego na tron polski, byle tylko jego ojczyzna była szczęśliwą. Nie chodziło mu o osobistości, nie należał do żadnego stronnictwa, pragnął tylko widziéć Polskę silną: zgodą, jednością; potężną w obec sąsiadów. Wreszcie w XII opiewa wzięcie Połocka przez Batorego (1579). Dzielny téż Stefan obudzał w Kochanowskim najżywsze uwielbienie. Był on jego bohaterem,—ideałem panującego. Jego czci, stosunkowo, poświęca znaczną liczbę swoich utworów. *Dryas Zamchana*, *Pan Zamchanus*, oraz napisane na obchód weselny Jana Zamojskiego z Gryzeldą Batorówną: *Epinicien* i wcześniejszy od nich *Orpheus Sarmaticus*, oprócz poezyj skreślonych w polskim języku, są wymownym czci téj dowodem.

Następują tak nazwane przez autora *Carmina varia*,—utwory pomieszczone dopiéro w edycyi Jędrzeja Piotrkowczyka z roku 1612. (Na końcu Lyricorum libellus). Do nich należą oprócz wyżéj, wymienionych (Dryas, Pan Zamchanus, Orpheus) jeszcze następujące: *Epithapium Doralices*, *Gallo crocitanti*, utwór, którym się pomścił obelgi, wyrządzonéj narodowi, na Filipie de Portes‘ie, poecie towarzyszącym Henrykowi Walezyuszowi, z którym wszedłszy do Francyi, napisał sławne Pożegnanie Polski (*Adieu a la Pologne*); oraz wiersz do Andrzeja Patrycego (*Andreae Patricio*).

Czas, najwyższéj twórczości i dojrzałości talentu Kochanowskiego p. Loewenfeld oznacza pomiędzy rokiem 1570—1580. W tym okresie powstały najznakomitsze tak polskie, jak łacińskie jego utwory. Z łacińskich największą wartość przyznaje elegii 15, księgi I, w której Kochanowski opiewa dzieje Wandy, oraz Nagrobkowi Doraliki. Pierwszy z tych utworów, w duchu czysto objektywnym traktowany, przedstawia najartystyczniéj pojętą i wykonaną całość. Jest to, jakby zaokrąglony, skończony w sobie odłam wielkiéj, na tle bajecznych dziejów narodu osnutéj epopei, a z któréj tylko jeden rapsod wyłonił się z duszy poety. (Porównaj Omen J. Kochanowskiego). Jest téż na wskroś eposowéj natury. Znajdziesz w nim i wezwanie do Muzy i charakterystykę wypadków, jakie poprzedziły wstąpienie na tron Wandy i jéj do Rytygera stosunek, a wreszcie opis zwycięzkiéj z nim walki zakończonéj tragicznie przez rzucenie się bohatérki do Wisły, poświęcającéj siebie i łupy Bogom w ofierze. Wszystkie te szczegóły nakreślone z wielkim artystycznym rozmysłem i w całość harmonijną ujęte. Wprost przeciwny charakter przedstawia Epitaphium Doraliki. Jest to utwór na wskroś lirycznego nastroju. W nim poeta opłakuje skon, obdarzonego talentem poetyckim dziewczęcia, opisując ostatnie chwile jéj życia.

P. Loewenfeld opiérając się na wyrażeniu:

Doralice periit.....

Et fidium cantus et *Sclavica* mortua *Musa* est—

wnosi, iż Doraliką była Urszulka,—owa w Trenach *przyszła Muza Słowieńska*. Wszakże apostrofa do oddalonego Aviparata, zakończająca ten utwór, całkiem to przypuszczenie obala. Ów Aviparat bowiem, podług trafnéj uwagi p. Chmielowskiego (Niwa 1878 Luty), widocznie jest kochankiem Doraliki, co nie mogło mieć miejsca z trzydziesto-miesięczną Urszulką. Utwór ten przeto, jakkolwiek treścią zbliżony do Trenów, zdaje się do innéj osobistości odnosić.

W Wandzie i Doralice Kochanowski dosięgnął szczytu mistrzostwa w łacińskiéj poezyi.

Ostatnie czterolecie życia poety, poczynając od r. 1580, odznacza się stopniowém zamiéraniem jego twórczości. Śmierć Urszulki i Hanny, godząc podwójnym ciosem, złamała jego ducha nazawsze, stępiła lot wyobraźni. Ślady tego upadającego talentu widoczne, z polskich utworów: w *Jeździe do Moskwy*, z łacińskich w Epithalamionie na wesele Jana Zamojskiego skreślonym i w Epinicionie.

Tak się w streszczeniu studyum p. Loewenfelda przedstawia. Jest ono w całém tego słowa znaczeniu pracą źródłową. Co pod względem bibliograficznym i krytycznym dla polskich utworów Ko-

chanowskiego zdziałał prof. Przyborowski, tego p. Loewenfeld nad łacińskiemi dokonał. Pomimo pochopności do stawiania często zbyt śmiałych hypotez; przez wykryte przez się, a nieulegające zaprzeczeniu świadectwa, o wiele naprzód badania nad Kochanowskim posunął. Gdzie nie starczyły źródła postronne, szukał wskazówek we własnych jego utworach i, przez krytyczne zbadanie ich osnowy, niejeden fakt nowy wyświetlił, dla niejednego z tych utworów właściwą metrykę urodzenia odszukał. Ważniejsze też z nich treścią, rzucające światło na stosunki i życie poety, lub z wypadkami ówczesnemi związane, w dokładném tłómaczeniu prozą przytoczył.

Za tak sumienną pracę, szczéra się wdzięczność p. Loewenfeldowi należy.

A teraz, z powodu pojawienia się jéj, na zakończenie kilka słów jeszcze powiemy.

Za lat sześć, poczynając od chwili obecnéj, w d. 22 Sierpnia 1884 roku przypada trzechsetletnia rocznica zgonu wielkiego poety. Jeżeli kto, toć zapewne Jan Kochanowski, genijalny twórca języka, zasługuje na to, by ogół uczcił jego pamięć i zbudował mu pomnik, wyrównywający niepożytym jego zasługom.

Takim pomnikiem, może być tylko zbiorowe wszystkich dzieł jego wydanie, bez żadnych opuszczeń, zarówno polskich, jak łacińskich. Łatwo jednak pojąć, iż tu nie może być mowy o samym ich przedruku. Taka edycya pamiątkowa powinnaby ogółowi uprzytomnić poetę takim, jakim był dla współczesnych; jaśniéj mówiąc, powinna być dokonaną *według wydań Łazarzowych*, *pierwotnych*, ze wszystkiemi właściwościami języka, ortografii, z tą samą barwą, jaką miały utwory, wychodząc z pod pióra poety. Wszelkie modernizowanie nie odpowiadałoby celowi. Znaczyłoby to jedno, co odzierać z ozdób renesansową Zygmuntowską na Wawelu kaplicę, by je dzisiejszemi sztukateryami zastąpić. Dosyć już mieliśmy wydań, które nam w nowożytne fraki i tużurki postroiły pisarzy XVI stulecia!

Nadto, taką edycyą należałoby zaopatrzyć we wszelkiego rodzaju objaśnienia: wyrazów i form wyszłych z użycia; składni, niekiedy naśladowanéj z greckiego lub łacińskiego języka, obrazów mytologicznych, wypadków i osób historycznych, do których odnoszą się pojedyncze ustępy, następnie zająć wyjaśnieniem genezy, każdego z utworów i oznaczyć czas, w którym mógł być skreślonym. Tym bowiem tylko sposobem, drukując je w chronologicznym porządku, możnaby unaocznić stopniowe rozwijanie się talentu poety. Nie dość na tém. Ponieważ Kochanowski niejednokrotnie czerpał

pomysły, z pisarzy greckich i rzymskich i zapożyczał z nich, nietylko obrazów, ale myśli i wyrażeń, które spolszczając, przenosił do swych utworów, tam nawet, gdzie się tego najmniéj można spodziéwać; przeto należałoby i pod tym względem krytycznie obrobić wszystkie jego utwory i, wykazawszy, co w nich jest obcém, a co jego własnością, przy każdym z nich w odsyłaczu, dla dokładniejszego porównania: zapożyczone ustępy w oryginale przytaczać. Każdy zresztą utwór winien być poprzedzony krytycznym i estetycznym rozbiorem.

Podobną miarę i do łacińskich utworów należałoby stosować. Więcéj nawet powiemy! Uważalibyśmy za właściwe, prócz objaśnień w dopiskach, nawet dokładny przekład obok tekstu zamieszczać. Tyle, co do opracowania saméj osnowy. Życiorys poety winien być nie mniéj w obszerne ramy ujęty. Samo z siebie wynika, iż należałoby go skreślić, nie tylko na tle swojskiém, ale powszechno-dziejowém, w otoczeniu renesansowéj atmosfery, ktorą poeta oddychał. Taka zresztą biografia, oprócz zestawień wszystkich danych, odnoszących się do życia poety, powinna przedstawić najdokładniejszy obraz jego stosunków, bliższego i dalszego otoczenia, charakteru, oraz wpływu tak na współczesną, jak i późniejszych czasów literaturę, jak niemniéj krytyczną i estetyczną wszystkich dzieł jego ocenę. Pojmujemy, iż podobne przedsięwzięcie z wielkiemi połączone być może trudnościami; ale zawczasu myśl tę podnosząc, nie wątpimy, iż znajdą się ludzie dobréj woli i nauki, którzy w tym celu zjednoczywszy swe siły, dokonają tak ważnego dla naszéj literatury i społeczeństwa zadania i spłacą dług wdzięczności, jaki potomność winna ojcu naszéj poezyi.

Roman Plenkiewicz.

KRONIKA NAUKOWA

Nowe drogi nauki i przemysłu.

Szkice z wystawy paryzkiéj.

Machiny słoneczne.

Jeżeli cały nasz układ słoneczny będziemy uważali jako wielką machinę, to słońce gra w niéj rolę ogniska dającego ruch całéj machinie. Jest ono tém, czém węgiel w kotle parowym. Ono rządzi biegiem wszystkich planet, ono rodzi wiatry na ziemi, przenosi wodę z oceanów na wyżyny, niszczy promieniami swemi skały, i z węgla buduje rośliny.

Bez słońca niemasz ruchu, a więc niemasz i życia.

Gorące jego promienie padając na powierzchnię oceanów, zamieniają wodę w parę, która się unosi w górę i tworzy obłoki. Wiatry biorące swe źródło w cieple słonecznem unoszą te obłoki w głąb lądów, gdzie się one napowrót skroplają, opadają na ziemię i spływają przez doliny do swego źródła, do morza, tworząc strumyki i rzeki. Rzeki te rozrywają swe brzegi, noszą ciężkie statki i poruszają maszyny. Siła więc biegu wody, jest siłą wziętą od słońca, którego ciepło według ogólnéj zasady zamiany sił, na ruch mechaniczny się zamieniło.

Lecz nie samo tylko ciepło słońca jest przyczyną zmian na powierzchni naszéj ziemi. Promienie, które ono wysyła mają wielką potęgę chemiczną, którą na każdym kroku widzimy. Słońce daje barwy roślinom, bieli płótno, odbija obrazy na czułéj płycie fotograficznéj. Z kwasu węglowego rozlanego w powietrzu buduje rośliny osa-

dząjąc zeń węgiel w łodygach i liściach a oswobadzając tlen, bez któregobyśmy żyć nie mogli. Według poetycznych słów Moleschotta, rośliny, są to „istoty utkane z powietrza przez słońce.“

Rośliny w kształcie drzewa używamy do opału kotłów parowych i znów mamy przed sobą przykład, jak siła promieni słonecznych chemicznie działających, została w ruch mechaniczny zamieniona.

W tkance roślinnéj składa słońce zapas swéj siły, który człowiek w każdéj chwili do swych celów zużytkować może. Są one magazynami, z których bez przerwy czerpiemy potęgę słońca.

W łonie ziemi leżą największe magazyny, które napełnione zostały przed wiekami, a które dopiéro od niedawnych czasów wyzyskiwać poczęto. Są tu potężne warstwy węgla kamiennego, owych resztek przedpotopowéj roślinności, która w przewrotach geologicznych dostała się do głębi ziemi i tam spokojnie, w kamiennéin łożysku czekała na użytkowanie, przez długie lat tysiące, aż do naszych czasów.

Któżby mógł sądzić że czarny kawał węgla jest zbiorem owéj jasności słońca, którą nam dzień daje i owego ciepła, które nas ogrzewa?

Zużytkowanie węgla kamiennego na wielką skalę jest istotną przyczyną rozwoju olbrzymiego przemysłu w naszym wieku, który całą swą siłę bierze od ognia, czerpiącego z kolei rzeczy z powszechnego źródła—ze słońca.

Lecz zapasy węgla w łonie ziemi nie są niewyczerpane, i jeżeli przemysł rozwijać się daléj będzie tak wielkiemi krokami idąc naprzód, jak obecnie, to przyjdzie czas wprawdzie bardzo jeszcze daleki, w którym wielkie magazyny słoneczne, nagromadzone przed wiekami, będą zupełnie wyczerpane. Zkąd wtedy wziąć siłę do poruszania fabryk, okrętów, lokomotyw? Zkąd? Brać znowu od słońca, lecz o ile można bezpośrednio, jak najbliżéj od samego źródła, skupiając jego promienie wtedy gdy świeci na firmamencie, zużytkowując na większą skalę siłę wiatrów, deszczów, burzy, fal morskich, prądów na oceanie, siłę, która od słońca bierze początek.

Słońce na całéj powierzchni ziemi rozlewa swą potęgę. Tu podnosi wodę, tam zmienia skład chemiczny, wietrzy skały, wytwarza rośliny, słowem bez przerwy, we wszystkich punktach pracuje. Otóż chodzi żeby te prace, które w ogólnéj ekonomii przyrody mają swoje znaczenie lecz giną nieraz bez użytku dla ludzkości skierować wprost do bezpośredniego użytku człowieka.

Od wieków myślano nad tém i pracowano. Siłę wiatrów, biegu wody, zbiorników na wyżynach napełniających się deszczem, uży-

wano wszędzie, lecz gdy nastały maszyny parowe, rzucono się do bardziéj podręcznego źródła siły do węgla, który dziś pędzi statki, młyny i lokomotywy. Jednak poszukiwanie w kierunku skupienia sił rozlanych wszędzie na powierzchni ziemi i ginących bezużytecznie, nie ustały zupełnie i od czasu do czasu pojawiają się projekta użytkowania siły przypływu i odpływu morza, różnicy w średniéj temperaturze dnia i nocy, a wreszcie bezpośredniéj siły ciepła słonecznego.

To ostatnie szczególniéj zadanie zwracało na siebie uwagę od najdawniejszych czasów. Już Egipcyanie myśleli o użytkowaniu promieni słonecznych, skupiając je za pomocą zwierciadeł, a późniéj Euklides w Aleksandryi wskazywał sposoby ustawienia takich źwierciadeł. Lecz pierwsze praktyczne zastosowanie, o którém nam historya donosi było zrobioném przez wielkiego Archimedesa z Syrakuzy, który miał spalić za pomocą źwierciadeł odbijających promienie słońca flotę Marcellusa. Podanie to wielokrotnie poddawane było wątpliwości, lecz późniejsze doświadczenia Buffona, który zapalał deski z odległości 78 metrów dały mu cechę podobieństwa do prawdy.

Późniéj u Rzymian spotykamy znowu źwierciadła słoneczne, które uderzają nas tém, że są podobne co do kształtu i materyału do tych, które doświadczenie obecnie, jako najbardziéj odpowiadające celowi, zaleca. Miały one kształt wydrążonego stożku i były zrobione z bronzu, tj. mieszaniny miedzi i cyny, która jest, jak się z nowszych doświadczeń okazało najlepszym materyałem, po srebrze, do odbijania promieni cieplikowych. Westalki zapalające ogień święty takiemi źwierciadłami, najbardziéj się zbliżyły co do kształtów i materyału źwierciadeł do tego, co nauka obecnie jako najlepsze zaleca.

Późniéj Alhazen w swoich pismach o optyce donosi, iż Arabi posiadają sposób robienia źwierciadeł kaustycznych. Następnie Ciołek (Vitellio) podaje teoretyczne rezultaty do ustawienia źwierciadeł skupiających światło. Daléj Salomon de Caus chce zastosować te rezultaty praktycznie, używając ciepło słońca, zebrane przez źwierciadła, do podnoszenia wody, lecz prace jego pozostają niedokończonemi.

W XVIII wieku Saussure i jego następca Ducarlat zajmuje się żywo tą kwestyą, szczególniéj ten ostatni, który pod kilku ustawionemi jeden nad drugim kloszami zdołał gotować mięso. Następnie przyszedł wiek wielkich odkryć, wiek dziewiętnasty, który przerobił zupełnie dawniejsze teorye ciepła i przygotował grunt do rozwiązania wielkiego zadania, mającego na celu zbudowanie machin poru-

szanych wprost siłą słońca. Zbadano dokładnie przewodnictwo i pochłanianie promieni ciepła przez różne ciała, a imiona Melloniego i Mariota, na zawsze zostaną zapisane w historyi machin słonecznych, bo oni odkryli te zasady na których się opierają najnowsze przyrządy, o których mówić zamierzamy.

P. Mouchot, profesor Lyceum w Tours w roku 1860 poświęcił wszystkie swe usiłowania, na zbadanie sposobów któreby można było zastosować bezpośrednio do użytku przemysłowego promienie słoneczne. Pierwsze jego próby nie byly uwieńczone świetnemi rezultatami. Przedewszystkiém zaczął używać żwierciadeł walcowych. Wiadomo, że zwykłe żwierciadła wklęsłe, koncentrują promienie od słońca w jednym punkcie. Otóż jeżeli zechcemy takiém zwierciadłem nagrzewać kociołek z wodą, to tylko jedno miejsce, będzie się nagrzewało i daleko korzystniejszém by było, żeby ciepło rozlaném było na całéj powierzchni kociołka. W tym celu zamiast wklęsłego żwierciadła kulistego, użył walcowe, które promienie koncentrowało w jednéj linii. Mały kociołek walcowy umieszczał się tak przed żwierciadłem, żeby jego oś upadała na ognisko linijne żwierciadła. Aby zresztą promienie cieplikowe nie odbijały się od jego powierzchni, pokrywał go warstwą sadzy, absorbującéj wszystkie prawie promienia. Lecz mimo tych wszystkich ostrożności, woda nie chciała się gotować, bo chociaż ilość ciepła dostarczanego przez skupione promienie słońca była dość znaczną, to jednak kociołek wysyłał zaraz te promienie na wszystkie strony w powietrze, tak, że następowała pewnego rodzaju równowaga. Woda nagrzewała się do dość znacznéj temperatury, lecz po za pewną granicę nie przechodziła.

Jedno małe ulepszenie usunęło naraz te wszystkie trudności i rozwiązało zupełnie zadanie.

Mouchot pokrył kociołek kloszem szklannym i miał odrazu machinę wybornie funkcyonującą. Zastosowanie to było postawieniem jajka kolumbowego.

Tuż znacznie dawniéj słynny Mariotte dowiódł, że szkło przepuszcza promienie cieplikowe, które są jasne lecz ciemnych nie przepuszcza wcale. Ciepło jasne, słoneczne przechodzi przez szybę naszych okien i ogrzewa ściany pokoju, które wysyłają od siebie napowrót promienie ciepła, lecz już nie świecące lecz ciemne i te nie mogą wyjść z pokoju przez szybę szklanne na zewnątrz. Dla tego też w pokojach słońcem oświeconych i mających zamknięte okna, tak szybko podnosi się temperatura.

Otóż jeżeli kociołek, poczerniony sadzą, umieścimy pod dzwonem szklanym i skoncentrujemy nań za pomocą zwierciadła ciepłe i jasne promienie słońca, to przejdą one swobodnie przez dzwon szklanny i będą pochłonięte przez czarną powierzchnię kociołka, która się nagrzeje. Jednocześnie kociołek ten zacznie wysyłać promienie na wszystkie strony i będzie się starał udzielić swe ciepło przedmiotom sąsiednim. Lecz promienie, które on wysyła nie są jasnemi, nie widać ich wcale, i są one tego samego rodzaju co promienie wysyłane z pieca kaflowego lub gotującego się samowara. Dla tego téż dzwon szklany nie wypuszcza ich wcale na zewnątrz i ciepło złowione w tę szklaną pułapkę, nie może się wydostać na swobodę i musi służyć do ogrzewania kociołka.

Znalazłszy ten sposób rozwiązania zadania, Mouchot przystąpił do praktycznych zastosowań i dziś na polu Marsowém i Trocadero wystawił kilka aparatów wybornie funkcyonujących. Rząd popiérał jego usiłowania i wysłał go nawet do Algieru na rok jeden, gdzie mógł mieć słońca pod dostatkiem, które w niektórych okolicach tego kraju jest istotną plagą. Tam leży przyszłość machin słonecznych bo nieraz całe miesiące żadna chmurka nie zakryje nieba i słońce z całą siłą rzuca z wysoka swe promienie na ziemię.

W swych machinach Mouchot używa obecnie zwierciadeł stożkowatych, których gładkie i błyszczące zewnętrzne ściany odbijają promienie słoneczne i skupiają je w jednę linią stanowiącą oś stożka. W téj osi umieszczony jest kociołek, pokryty szklanym kloszem, i poczerniony na swéj zewnętrznéj powierzchni.

Przyrządy Mouchota wystawione są w dwóch miejscach na wystawie: na placu Marsowym i na Trocadero. W głównym gmachu znajdują się one w pierwszéj sali galeryi sztuk wyzwolonych. Sala ta należy całkowicie do francuskiego ministerstwa oświaty i jest zajętą wyłącznie przez przedmioty zebrane w misyach naukowych wysyłanych przez rząd francuski na wszystkie strony świata. Otóż w kąciku obok starożytności peruwiańskich, znajdujemy kilka małych przyrządów Mouchota, które się tu dostały z powodu, iż jak już wspomnieliśmy Mouchot był wysłany przez rząd do Algieru w celu wypróbowania działalności swoich machin. Aparaty tu wystawione są bardzo niewielkich rozmiarow i służą wyłącznie do podręcznego domowego użytku, naturalnie tylko wtedy, kiedy słońce świeci na niebie. Zwierciadła mają wszystkiego w szerokiéj części swego otworu około dwóch stóp średnicy, a kociołek zawiera może nieco więcej nad jeden litr płynu.

Jeden z przyrządów przeznaczonym jest do gotowania kawy, która się przyrządza tak, jak w powszechnie używanych obecnie ma-

szynkach. Gdy się woda zagotuje w kociołku, a trwa to około pół godziny, przy użyciu jednego litru, para wypycha ją do naczynia z miałką kawą, ztąd się przelewa do zbiornika w stanie gotowym do użytku.

Inny aparacik małych rozmiarów służy do pieczenia mięsa, które na ostrzu wstawia się do cylindra. Operacya ta trwa krócéj znacznie niż gotowanie kawy, bo zaledwie 10 minut.

Ciepło wysyłane przez małą stosunkowo powierzchnię zwierciadła, i skupione wewnątrz szklanego walca, jest tak wielkie, że kociołek od kawy bez wody, wstawiony na 30 sekund ogrzewa się tak silnie, iż go do rąk wziąść nie można.

Podczas pobytu swego w Algierze, p. Mouchot zrobił niektóre ciekawe spostrzeżenia, które wykazują wpływ stanu meteorologicznego powłoki atmosferycznéj na wydajność maszyny słonecznéj. Zdarzało mu się nieraz, że na wyżynie gór, chłodnemi nawet rankami, mógł daleko prędzéj zagotować wodę, aniżeli w południe podczas największego upału na piaskach Sahary. Przypomina to owe różnice temperatury, które się poznaje wędrując po szczytach gór wyniosłych, pokrytych śniegiem. Nieraz brnie się w tym śniegu po kolana, a mimo to głowę i całe ciało pali upał nieznośny, upał rażący, o którym opowiada Sausure, iż wobec takiéj ilości śniegu w dolinach nawet pojęcia mieć nie możemy. A jednak umarłby z pragnienia, gdyby nie prosty nadzwyczaj sposób dostania wody, który mu wskazał przewodnik, a który polegał na tém, że się przykłada śnieg do ściany skały nagrzanéj słońcem.

W saméj wędrówce po Saharze, zdawało się Mouchotowi, iż rankami niedługo po wejściu słońca, kiedy panował chłód ostry i przeszywający, a temperatura była niżéj zera, maszyny funkcyonowały wybornie i o parę minut można było mieć wcześniéj kawę, aniżeli w samo południe.

Największa machina słoneczna, która była dotąd zbudowana, znajduje się na pochyłości Trocadero i dopiéro od paru dni funkcyonuje. Zaczęto ją dawniéj ustawiać, zaraz po otwarciu wystawy, lecz z powodu pęknięcia stalowéj podstawy, musiano odłożyć aż do chwili obecnéj. Jest to machina ogrzewająca kocioł parowy, na dwa i pół konie. Para z tego kotła podnosi na godzinę podczas pogody 3000 litrów wody. Zwierciadło ma ze cztery metry średnicy w otworze i składa się z blachy żelaznéj posrebrzonéj i wyszlifowanéj do połysku. W środku stożka znajduje się kocioł parowy na parę metrów wysoki, złożony z rur żelaznych napełnionych wodą. Ogromny walec szklany z jednéj sztuki odlany przykrywa ten kocioł i u góry po nad nim wystają tylko klapy bezpieczeństwa.

Zwierciadło wraz z kotłem umocowaném jest w ten sposób na dwóch osiach, że pokręceniem korby można je ustawiać w rozmaitych kierunkach i zwracać z wielką łatwością ku słońcu, pochylać i obracać około osi pionowéj.

Wielka ilość siły otrzymywana przy pomocy téj machiny, daje już niekiedy dowód jéj pożyteczności i wynalazca, aż do chwili wysłania do Algieru bardzo mało popierany i prawie ignorowany, jest obecnie przedmiotem ogólnych owacyj.

Podczas swéj misyi w Algierze, Mouchot studyował przedewszystkiém możliwe praktyczne zastosowanie tam téj machiny w przyszłości i robił bardzo wiele prób, które go dokładnie o granicach zastosowań poinformowały.

Machina słoneczna będzie przedewszystkiém pożyteczną tam, gdzie w chwili silnego działania słońca można zebrać dostateczny zapas siły dający się przechować do późniejszego zastosowania. Algier ma wyborne rudy, ale nie posiada dosyć paliwa, żeby mógł z nich tanio metale wydobywać. Otóż Mouchot urządził wielki stos termoelektryczny, który umieszcza w ognisku źwierciadła. Skupione promienie słońca wywiązują wielką ilość elektryczności, która się zużytkowuje do rozkładu wody, składającéj się jak wiadomo z tlenu i wodoru. Jeżeli oba druty od jednego i drugiego bieguna zanurzymy w wodę, to zacznie się ona rozpadać na swe części składowe i jeżeli nad obu drutami ustawimy klosze, to jeden z nich napełni się tlenem a drugi wodorem. Nabrawszy dwa wielkie zbiorniki tych obu gazów podczas pięknéj pogody, można je potem spalać w połączeniu, a jak wiadomo wywiązuje się wtedy olbrzymia ilość ciepła, któréj się nic nie oprze. Z obu gazów tworzy się napowrót woda, i wywiązuje się siła zużyta poprzednio na rozkład, na oddalenie atomów, jeden od drugiego. Mamy tu przed sobą piękny i bardzo pouczający przykład zamiany sił fizycznych i tego wielkiego kołowrotu, który się ciągle odbywa w przyrodzie. Promienie słoneczne wywołują prądy elektryczne ginąc same, to znaczy przemieniające się na elektryczność, która z kolei rzeczy zużywa się na rozkład wody, to jest zamienia się na siłę chemicznie rozkładającą i ukrywa się w drobinach dla powstających gazów. Dopiéro gdy te gazy złączymy i zapalimy, wtedy otrzymujemy napowrót pierwotnie przez słońce przysłane ciepło.

Lecz nie zawsze potrzeba tak wysokiéj temperatury i nieraz bezpośrednio można używać ciepła zebranego w ognisku źwierciadła. Naprzykład gdy chodzi o wypalenie gipsu, do czego potrzebną jest temperatura około 120°, to można uskutecznić to bezpośrednio uwiązując gips w środkowym cylindrze.

Zastosowanie do destylacyi jest bardzo proste. Trzeba tylko wprost u zbiornika przeprowadzić rurę do oziębiającego parę kondensatora. W tym wypadku machiny słoneczne mają tę przewagę, że się nie potrzeba obawiać eksplozyi, gdyż ani alkohol, ani też eter nie zapalają się bezpośrednio od promieni słonecznych.

Zastosowanie ciepła słonecznego do fabrykacyi lodu jest również bardzo prostém, dość jest tylko użyć jakiegoś ciała szybko się ulatniającego jak np. eteru i zaprowadzić takie urządzenie jak w znanych powszechnie machinach lodowych Raoula Picteta albo też Toselliego. W tych wypadkach będziemy mieli jeszcze tę wygodę, że im bliżéj zwrotnika, im klimat gorętszy i słońce mocniéj pali, tém łatwiéj będzie dostać lodu.

Niektóre południowe kraje jak np. Algier produkują dobre wina, lecz nie można je zwykle wysyłać za granicę, bo się psują bardzo prędko. Pasteur, podał przed paru laty nadzwyczaj prosty sposób ich przechowywania, polegający na zagrzaniu ich do dość znacznéj temperatury. Otóż, ponieważ w Algierze słońce w większéj części dni roku jasno świeci na niebie, więc machiny Mouchota dadzą w rękę sposób preparowania wina bez żadnych prawie kosztów.

Aparaty słoneczne mają tę wielką zaletę, że z powodu prostéj budowy nie kosztują wiele, a raz zakupione dają ciepło darmo, skoro tylko słońce świeci. Gdy w przyszłym szerokiém zastosowaniu machin Mouchota, potrzebném będzie ciepło ciągłe nieprzerwane i co chwilowe, kiedy chmury słońce zakrywają albo też w nocy, to można będzie urządzić zbiorniki ciepła zasilane wielu zwierciadłami przez dzień cały. W ten sposób dadzą się urządzić zapasy wystarczające na długie godziny. Można np. nagrzewać wielkie zbiorniki z olejem do wysokiéj bardzo temperatury, a w nocy zużywać nagromadzone ciepło do destylacyi albo też ogrzewania wody.

Wystawa obecna w historyi rozwoju machiny Mouchota grać będzie główną rolę. Od niéj bowiem zacznie się dla praktycznego zastosowania na większą skalę. Tu po raz pierwszy zbudowanym był generator pary o wielkich rozmiarach i podróżni ze wszystkich stron świata mogli przyjrzeć się jego działaniu. To też Mouchot otrzymuje ciągle zamówienia i po raz pierwszy wynalazek zaczyna mu się opłacać.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor, **J. Trejdosiewicz**.